

Swan Susan

Damy z Bath

Przekład: Agata Szczepanowska

TORUŃ

Powiedzcie, po cóż by Boża moc święta Nadała ludziom rodne instrumenta? Po cóż Bóg ulepił ludzką istotę?

Z „Prologu do Opowieści Damy z Bath”

z Opowieści kanterberyjskich Geoffreya Chaucera

(tłum. Helena Pręczkowska)

Część pierwsza

Podobna do ducha kobieta na olbrzymim trzykołowym rowerze spoglądała na mnie jak na dawną przyjaciółkę. Chociaż spoglądała to nie jest najodpowiedniejsze słowo. Jej powieki zapadały się do we-wnątrz, a oczy przypominały bezzębne usta.

— Proszę pani — zawołałam, ale chyba mnie nie słyszała. Wes-  
tchnęłam i zaczęłam drzeć.

Dziwaczne zjawisko wydało z siebie podekscytowane mlaśnięcie, rodzaj przymilnego cmoknięcia, jakim przywołuje się konia. Uniosła kierownicę, aż przednie koło stanęło dęba.

— Gdzie go pochowałeś, Myszko? W klombie geranium? Czy  
w starej szopie na sprzęt do hokeja?

— Nie pamiętam — odpowiedziałam najpotulniej, jak umiałam.

Patrząc groźnie, pochyliła się w rajdowej pozie, jakby goniła ją

setka niewidzialnych rowerzystów i energicznie pedałując, przejechała przez drzwi. W ciemnościach słyszałam bulgotanie rur grzewczych. Nie miałam już innego wyjścia. Wokół mnie, zamiast szarych murów szkoły, ujrzałam rzędy błyszczących gałek ocznych z mrugającymi powiekami. Przełknęłam ślinę i pobiegłam jej szukać.

Nazywam się Myszka, Myszka Bradford. Mary Beatrice Bradford, gdybym chciała się nad tym rozwodzić. Mam szesnaście lat, tyle ile Paulie wtedy, gdy dokonała tego dziwnego napoleońskiego aktu samookreślenia. Użyła w tym celu skalpela mego ojca, a nie noża in-troligatorskiego, o którym mówili w wiadomościach. Było to ostrze chirurgiczne „B-P Rib Back”, długości jednego i trzech czwartych cala, całkiem nowe, które Sal, moja macocha, musiała zamówić dla Morleya z katalogu medycznego „Hartz”. Trzymałam je w lekarskim kuferku Morleya w moim pokoju w szkole. Torba była niewiele większa od damskiej torebki. Prawdziwe cudenka z czarnej cielejącej skóry z solidnymi skórzanymi rączkami. Trzymałam ją u siebie, żeby przypominała mi o Morleyu. Nie miałam nic innego, co potwierdzałoby, że jestem jego córką, oprócz głęboko osadzonych oczu o osobliwie błyszczącym spojrzeniu i palców długości pięciu cali. „Dłonie piana-stki” — stwierdziła pani z poradni zawodowej. Do głowy jej nie przyszło, że mam dłonie chirurga jak mój ojciec. Nie sądziła, że dziewczęta jak ja czy Paulie mogą mieć poważne zawody. Nawet nasza dyrektorka, panna Vaughan, uważała, że wystarczą nam umiejętności praktyczne. Nie mogę powiedzieć, żeby te przekonania specjalnie mi przeszkadzały. Wcale nie chciałabym umieć posługiwać się skalpelem z na wpół morderczą precyzją. Powinnam chyba wyrażać się jaśniej, bo inaczej Alicja zmyje mi głowę: jeśli ktoś potrafi zrobić precyzyjne małe nacięcia w odpowiednich miejscach, tak że nikt nawet się nie zorientuje, iż pacjenta pokrojono jak indyka na Święto Dziękczynienia, to jest w stanie pokroić każdego i to w każdej chwili.

Na szczęście praca lekarza nigdy nie była mi pisana. Po pierwsze szybko mdleję. Widok krwi po prostu mnie wykańcza. Robi mi

11

się słabo na sam dźwięk słowa „igła”. Nie jestem w stanie nawet wyobrazić sobie, jak ze skalpelem Morleya w dłoni wycinam sobie nową tożsamość.

Bez butów mierzę pięć stóp i cztery i pół cala — nie jestem specjalnie wysoka, ale znam wiele dziewczyn niższych ode mnie. Najbardziej mysie są moje malutkie, wachlarzowate uszy i długi, spiczasty nos, dzięki któremu wyglądam na starszą i mądrzejszą. Lewe ramię jest lekko zaokrąglone, niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że jestem po prostu garbata i nie mogłabym się z tym nie zgodzić. Nazywam mój garb Alicją, po mojej prawdziwej mamie. Imię to pochodzi od niemieckiego „Adelajda” i oznacza „szlachetnego pochodzenia”. Biedna Alicja nie jest tak bystra jak ja, ale to dzięki niej jakoś się trzymam. Dla niej liczy się tylko prawda.

Wiem, na przykład, że Alicja wolalaby, żebym opowiedziała wam o moim udziale w zbrodni popełnionej przez Paulie, bo nikt inny nie zechce tego słuchać. Nie mogę porozmawiać z Sal, której karcącego głosu zwyczajnie nie jestem w stanie znieść. Sal zabrała mnie ze szkoły, po tym jak Paulie zrobiła to, co zrobiła, i wysłała mnie do wu-ja w Point Edward (albo Punk Edward, jak mawiał Morley). Sal mówi, że to nie ma znaczenia, że z punktu widzenia prawa nie zrobiłam nic złego. Ale nie ma dymu bez ognia, więc lepiej, żebym zniknęła z oczu.

Nie urodziłam się z poważnym skrzywieniem kręgosłupa czy też kifozą, jak nazywają to lekarze tacy jak Morley. Po tym, jak zachorowałam na polio, mięśnie pleców skurczyły się i kręgosłup wykręcił się w lewo, jakby ktoś za mocno pociągnął korkociąg. Morley uważał, iż z wiekiem prawdopodobnie z tego wyrosnę, ale specjaliści, do którego zostałam skierowana przez szkołę, stwierdził, że potrzebuję pomocy kręgarza. Morley miał zamiar zabrać mnie kiedyś do takiego specjalisty. Morley miał zamiar zrobić wiele rzeczy.

Jak lubiła mówić Sal, dzieci szewca chodzą bez butów. Powtarzała to, gdy owijała mi twarz szalem, aż wyglądałam jak muzułman-ka, wypychając mnie przez drzwi kuchni w Madoc's Landing. Po drodze do szkoły szal robił się wilgotny od oddychania. Wilgoć zamieniała się w maleńkie kulki lodu i taki zmrożony materiał ocierał się o i tak już czerwony od wycierania nos. Chciało mi się płakać, ale od tego nos zrobiłby się jeszcze bardziej mokry i czerwony, wlokłam się zatem pomiędzy sięgającymi parapetu zaspami, wymyślając, co

by tu zrobić, żeby dostać gorączki. Gorączka była jedynym uznawanym przez Morleya objawem choroby.

Pół kreski powyżej 98,6 stopni Fahrenheita i mogłam zostać w domu. Od kiedy skończyłam dwanaście lat, eksperymentowałam z gorącymi szmatkami i małymi plastrami gorczycznymi przyklejanymi na czoło. Czoło robiło się gorące również od masturbowania się. Nie byłam jednak zbyt dobrze zorganizowana i bałam się, że mi się nie uda. Bałam się, że Sal wejdzie do pokoju i przytłapie mnie z dowodem występku na czole i z ręką w nieodpowiednim miejscu.

Zimno jest dosyć dziwnym symbolem nieodwzajemnionej miłości, ale w moim przypadku tak już jest. Każdej zimy przeziębiałam się kilkakrotnie z powodu nieodwzajemnionych uczuć do ojca. Zda się, że niektórzy ludzie wielbią zmarłych świętych. Ja mam Morleya. Zwykle przeziębienie nie jest przynajmniej tak krępujące jak czerwonka pełzakowa, której opis w starym podręczniku medycznym Morleya jako poważnego zaburzenia przewodzenia żołądkowo-jelitowego brzmiał jak opis zjawiska atmosferycznego. Często udawałam objawy choroby, żeby Sal zabrała mnie do Morleya. Trudno było uwierzyć, że ten wielki roztargniony mężczyzna w białym fartuchu pachnącym krochmalem i chemikaliami, kiwający się na biurkowym stołku, ma ze mną coś wspólnego.

Najpierw Morley zaczynał swoją gierkę. Mrugał do Sal i gryzmołił coś na recepcie. Muszę przyznać Morleyowi, że potrafił na poczekaniu znaleźć związek z pierwszą lepszą przypadłością z podręcznika medycyny. Sal mówiła wtedy, że ojciec uczy mnie kłamać, więc przestawał.

Zawsze, kiedy dopada mnie przeziębienie, które rozłożyłoby na łopatki samego wspaniałego doktora Morleya Bradforda, słyszę głos Sal powtarzającej przysłowie o dzieciach szewca. W chwilach, gdy jestem dla siebie twarda, pozwalam jej sobie pogadać. A czasami myślę sobie: Popłacz sobie, moja biedna Myszko. Wyrzuć to z siebie, moje biedactwo. Po czym, oczywiście, nie jestem w stanie uronić ani łezki.

Są jeszcze inne rzeczy, które mogłabym o sobie powiedzieć, ale najpierw chciałam podać najważniejsze fakty: moją beznadziejnie nieodwzajemnioną miłość do Morleya i krzywe plecy. Kolejną ważną cechą jest moja nieśmiałość.

13

Zazwyczaj nie mówię dużo, ale jeśli już mi się zdarzy, Sal orze-ka, że ciągle zmieniam tematy i przypominam jej krzak, który zbyt-nio się rozgałęzia. „Wróć do sedna, Myszko” — powtarza zawsze wtedy, gdy dochodzę do najciekawszego miejsca opowieści. Sal chcia-łaby, żebym trzymała się głównego tematu i unikała dygresji. A ja bardzo lubię to rozgałęzianie. Dla prostej kobiety ze wsi jak Sal, któ-ra dorastała na nizinach Elnwale i znalazła się w Madoc's Landing akurat po śmierci mojej matki, pierwszej Alicji, jest to jednak zupeł-nie niepotrzebne, a wręcz podejrzone. Sal ma przy tym więcej wyo-braźni niż można by się spodziewać. Potrafi na przykład wymyślać powiedzenia, jakie nigdy nie przyszłyby wam do głowy. W większo-ści z nich występują psy. Na przykład „Nie nauczysz starego psa no-wych sztuczek”. Albo „Pieskie to życie”. Czy jeszcze „Możesz zapro-wadzić psa do strumienia, ale nie możesz zmusić go do picia”.

Sal mówi, że kiedy skandal trochę ucichnie, będę mogła wrócić i pomóc jej w prowadzeniu pensjonatu, który urządziła w domu Mor-leya i moim w Madoc's Landing. Do tego czasu muszę jednak zostać w Point Edward z wujem i moją towarzyszką Alicją, która jest dla mnie jak matka. Tyle że żadna ze znanych mi matek nie opowiada nieprzyzwoitych dowcipów.

- O, właśnie, Myszko. Dlaczego dziewczyny nie mają penisów?
- Bo nie chcą?
- Nie bądź głupia. Bo do myślenia używają głowy.

Tak więc widzicie, Sal ma rację: znów zaczynam robić dygresje, kiedy powinnam wrócić do tematu Paulie Sykes i opowiedzieć o tym, jak w Bath Ladies College zagrała w przypinanie osiołkowi ogona\*.

\* Popularna zabawa dla dzieci, każdy uczestnik ma za zadanie z zawiązanymi oczami przyczepić ogon do powieszzonego na ścianie obrazka przedstawiającego osiołka. (Wszystkie przypisy od tłumacza).

14

W czasie procesu skalpel Morleya był Dowodem nr 3. Procesu Pauline Lee Sykes, oczywiście. W sprawie między Jej Wysokością Królową i Pauline Lee Sykes. Dowód nr 1 to były zdjęcia, siedem zdjęć denata leżącego za starą skrzynią na sprzęt rowerowy w tunelu prowadzącym do ciepłowni. Nie wiem, dlaczego zdjęcia były pierwsze, nawet przed narzędziem zbrodni. Sama pod numerem pierwszym umieściłabym kij do hokeja. Jak się okazało kij z długą rączką, wielokrotnie owiniętą czarną taśmą, stanowił Dowód nr 2.

WYSOKI SĄD: To są zdjęcia pomieszczenia, w którym dokonano zbrodni i użyto narzędzi?

INSPEKTOR GOSSAGE: Zgadza się, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Siedem zdjęć.

INSPEKTOR GOSSAGE: Tak, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Ciało denata zostało ukryte za skrzynią w najdalszym wschodnim końcu tunelu?

INSPEKTOR GOSSAGE: Tak, właśnie tam.

WYSOKI SĄD: A zatem było niewidoczne?

INSPEKTOR GOSSAGE: Tak, ponieważ zasłaniała je skrzynia. Poza tym ciało zostało przygotowane do ukrycia. Było owinięte w ubrania, spodnicę i tym podobne.

WYSOKI SĄD: Ale wcześniej schowano je w skrzyni?

INSPEKTOR GOSSAGE: Tak, wysoki sędzie, ale się nie mieściło. Ukryto je więc tak, jak tutaj widzimy, za skrzynią.

WYSOKI SĄD: A ta rakieta do lacrosse'a\*? A nóż?

\* lacrosse — zespołowa gra sportowa pochodzenia francuskiego i indiańskiego, której zasady ustalono ostatecznie w pierwszej połowie XIX w. w Kanadzie, gdzie uznano

INSPEKTOR GOSSAGE: Dwa wyjaśnienia, wysoki sędzie. Mamy tu do czynienia z kijem do hokeja na trawie i skalpelem.

WYSOKI SĄD: Pozostawiono je w skrzyni?

INSPEKTOR GOSSAGE: Tak jest.

WYSOKI SĄD: Proszę opisać ten kij do hokeja.

INSPEKTOR GOSSAGE: Waga około trzech funtów, wysoki sędzie. Dobrze, tępo zakończone narzędzie, którego można użyć do różnych celów.

WYSOKI SĄD: A nóż? Czy na zdjęciach jest nóż?

INSPEKTOR GOSSAGE: Skalpel, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Proszę opisać ten, no, skalpel.

INSPEKTOR GOSSAGE: Przypomina nóż introligatorski, ale jest soli-dniejszy. Kilkanaście połączonych ze sobą maleńkich, wygiętych ostrzy osadzonych w bakelitowej ręczce, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Rączka jest z plastiku.

INSPEKTOR GOSSAGE: Z bakelitu, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Jakiej długości jest ostrze noża? Około pięciu cali?

INSPEKTOR GOSSAGE: Moim zdaniem, wysoki sędzie, ma tylko jeden i trzy czwarte cala. Ostrze „B-P Rib Back” numer dwadzieścia — bardzo ostre, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Skalpel należał do innej uczennicy, nieprawda?

INSPEKTOR GOSSAGE: Tak, wysoki sędzie, do Mary Beatrice Bradford.

WYSOKI SĄD: Co to za szkoła? Dla lekarzy czy psychopatów?

INSPEKTOR GOSSAGE: Nie wiem, wysoki sędzie (śmiech).

Nie był to jedyny raz, gdy w czasie procesu padło moje nazwisko. Siedziałam z tyłu sali, zadowolona, że nie ma ze mną Morleya. Czulałam się jak na tych niekończących się porannych nabożeństwach w Bath Ladies College. „Tak, wysoki sędzie” obrońcy brzmiało, jakby zwracał się do samego Boga.

ją za sport narodowy; rozgrywana na trawiastym boisku, polega na umieszczeniu piłki w bramce przeciwnika za pomocą specjalnej, trójkątnej rakiety; obecnie bardzo rzadko uprawiana; uznawana za pierwowzór hokeja na lodzie.

16

Nie od razu poznałam Paulie. W każdym razie niejako Paulie. Gdybym wiedziała, co wydarzy się później, poprosiłabym Morleya, żebyśmy wrócili do domu jeszcze tego samego dnia, kiedy on i Sal przywieźli mnie do Bath Ladies College. Jak tylko wyjechalibyśmy z Landing, zaczęło padać. Widzisz, Myszko, to nieprawda, że przyroda jest obdarzona ludzkimi uczuciami — pomyślałam wtedy.

Żadne z nas nic nie mówiło, kiedy tak jechaliśmy dalej i dalej na południe, mijając wiejskie domki, które tak naprawdę nie były zwykłymi zagrodami, lecz rezydencjami, z wysokimi zielonymi żywopłotami i białymi płotkami do skoków na koniach, oraz sklepiki z umieszczonymi przy drzwiach kołami od wozu oznaczającymi, że tu sprzedaje się antyki. W takikliwej scenerii nietrudno wyobrazić sobie spacerującą Virginie Woolf w jednej z tych jej długich spódnic. Często myślałam o Virginii, kiedy było mi smutno. Z

nieszczęścia utopiła się w strumieniu z kieszeniami pełnymi kamieni. Zawsze mi pomaga, jak pomyślę, że komuś innemu jest jeszcze smutniej niż mnie.

Wszyscy troje, w nie najlepszych humorach, wpatrywaliśmy się w zalaną deszczem przednią szybę „Oczka”, nowego samochodu Morleya marki Olds 98 w kolorze turkusowym. Nazwałam go „Oczkiem” dla żartu, ponieważ jego otwierany dach składał się po-woli, a nie w mgnieniu oka. Czasami, w chwilach rozluźnienia, na-wet Morley tak o nim mówił. Tego dnia był zły, bo ze względu na deszcz nie mógł założyć ukochanego kapelusza. Po rozłożeniu dachu w „Oczku” było za mało

Pognieciona fedora i Oplaszamofras na kufrze wciśniętym obok mnie na tylne siedzenie  
Ba | l6BiJ | ^b^\zawalony rupieciami, jakie Sal wynalazła na dobrtazynL^J | Drze« | feJzy przy kościele.

Nie czułam się najlepiej. Sal kazała mi ubrać się w mundu-rek, choć w szkolnej broszurce nie było ani słowa o tym, że ma-my założyć je pierwszego dnia. Zmusiła mnie jednak do włożenia zielonej sukienki i białej bluzki (wykręciłam się przynajmniej od idiotycznego krawata). Spójrz tylko na siebie, Myszo — pomy-ślałam. Przez to ubranie, którego nikt przy zdrowych zmysłach by nie założył, będziesz odróżniać się od innych, rzucać w oczy jak więźniarka.

Oczywiście Sal również nie była zadowolona. W samochodzie za-wsze robiło jej się niedobrze, ale uważała, że dama nie powinna mówić o tym głośno. Zdaniem Sal przeznaczeniem kobiety jest cier-pieć w milczeniu. Wyglądać na szczęśliwą to zdradzić własną pleć. Powtarzała często, że urodziłyśmy się męczennicami. Może byliśmy nimi już w łonie matki.

Morley otworzył okno po swojej stronie i wilgotny wiatr zaczął szarpać czarnymi włosami Sal zwiniętymi w kok przypominający włochatego ślimaka ukrytego pod głupawym toczkiem przypiętym szpilką z perełką. Zaczęła wdychać i bawić się czarnymi kosmyka-mi, które oplatały jej jasną szyję jak ukwiały poddające się prądowi wody. Jej mała ciemna głowa sięgała niewiele wyżej niż ramię Mor-leya. Lubiłam się zastanawiać, jak kobieta jej wzrostu może upra-wiać seks z mężczyzną tak wysokim jak Morley. Często zerkałam na niego, gdy rano szedł przez przedpokój bez spodni od piżamy, my-śląc, że jeszcze śpię. Jego rozmiar przechodził moje najśmielsze przypuszczenia. Myślę, że penis Morleya określał pewien standard, do którego dążyć powinni wszyscy mężczyźni.

Morley przyspieszył na niewielkim wzniesieniu i nagle znaleźli-śmy się w długim krętym wąwozie. Zobaczyłam tabliczkę z napisem „Wilbury Hollow” i parking, na którym ludzie z parasolami tłoczyli się do czerwono-zielonych autobusów, by jak najszybciej schronić się przed deszczem. Po zachodniej stronie, na wzgórzu widać było ka-mienny budynek o średniowiecznym wyglądzie przycupnięty pośród wrzecionowatych drzew. Rozpoznałam Bath Ladies College ze zdję-cia w broszurce. Napisano tam, że budowę zlecił Sir Jonathon Gil-bert Bath. Zatrudnił on brytyjskiego architekta, który miał zapro-jektować budynek w stylu normandzkiego zamku. Pragnął stworzyć miejsce, w którym mógłby przyjąć królową Wiktorię. Sal uważała Sir Jonathona za nieudacznika. Najważniejsza persona, jaką zdążył

zaprosić na herbatkę, to księżę Artur, trzeci syn królowej. Później długi zmusiły go do opuszczenia posiadłości. Budynek zakupiła grupa zamożnych anglikanów, którzy chcieli otworzyć szkołę z internatem dla dziewcząt na przedmieściach Toronto. Nie usunęli nazwiska dawnego właściciela, ponieważ miejsce to było już znane w mieście pod nazwą „Zamek Bath”.

— Mój Boże! Wygląda jak więzienie. — Morley powiedział to chociaż do Sal siedzącej obok niego, na moim miejscu.

— Wszystkie szkoły tak wyglądają — odpowiedziała Sal i szybko podgłośniła radio. W wiadomościach mówili o amerykańskim prezydencie świętującym z rodziną rocznicę ślubu. Prezenter stwierdził, że w tym roku rocznica jest raczej smutna, bo w sierpniu państwo Kennedy stracili nowo narodzonego synka, Patricka.

— Biedny dzieciak — westchnął Morley.

Sal wyłączyła radio.

Powoli wjeżdżaliśmy pod górę, aż w końcu dotarliśmy do zielonej tablicy na wysokich metalowych słupkach ze złotopurpurowym napisem „Bath Ladies College”. Na porośniętym trawą boisku za wysokim ogrodzeniem z siatki tęgie kobiety, mimo padającego deszczu, uderzały zakrzywionymi kijami w piłkę. Skręciliśmy w wąską drożkę, po której obu stronach rosły wierzby płaczące. Ich mokre gałęzie, niby sierść zmokłego owczarka staroangielskiego, ślizgały się po przedniej szybie.

Morley zatrzymał się przed budynkiem z wieżyczkami, który wiodliśmy z drogi. Sal i ja wpatrywałyśmy się we frontową wieżę, sterczącą ku niebu jak palec wyciągnięty w geście przestrogi. Nagle z dachu poderwało się stadko szarych gołębi i przeleciało na porośniętą bluszczem bramę. Część bluszczu nad drzwiami została usunięta. Pod wyrzeźbionym bukietem koniczyny widniały następujące słowa: „Budynek powstał w 1890 roku jako rezydencja Sir Jonathona Gilberta Bath. Niedługo później został przekształcony w Bath Ladies College w celu edukacji panienek z dobrych chrześcijańskich domów. Nasze córki będą nam pożytkiem i ozdobą jak słodko pachnący kwiat koniczyny. Anno Domini 1896.”

Na oknach szkoły zauważyłam cienkie metalowe pręty. Kraty — okna były zakratowane. Nie zadałam sobie pytania dlaczego. Na moje szczęście zawsze byłam wystarczająco domyślna.



Chciałabym, żeby wszystko było jasne. Zostałam wysłana do szkoły z dwóch powodów:

1. Dyrektorka, Vera Vaughan (zwana Dziewicą), była daleką kuzynką Morleya.

2. Morley miał kompleks niższości w kwestii wychowywania dziewcząt.

Naturalnie koligacje te sprawiły mi trochę kłopotu. Każdy po-wiązany z Verą Vaughan był uważany za zdrajcę i szumowinę. Był jeszcze jeden problem. Nie chciałam być zamknięta z dziewczynami, dla których nie miałam odrobiny szacunku. Nie potrafiłam jednak wyjaśnić tego Morleyowi.

Widzicie, Morley nie miał siostry, moja matka zmarła z powodu guza mózgu cztery lata po moich narodzinach, a Morley liczył, że to ona będzie mnie wychowywać. Nie znaczy to, że Morley traktował kobiety z góry, tak jak ja. Może w skrytości uważał, że moja matka go opuściła, ale nigdy nie powiedział złego słowa na temat kobiet. A może po prostu czuł się winny, że nie rozumie kobiet, co nie oka-zało się dla mnie dobre. Chciałabym móc powiedzieć, że miałam do kobiet stosunek obojętny jak Morley. Chciałam być rozsądna. Ale dziewczyny były dla mnie tylko nieudanymi chłopakami. Wszystko zaczęło się od amerykańskich filmów kowbojskich, jakie oglądałam w Madoc's Landing. Nie podobało mi się, że jakaś piszcząca dziew-czyna podstępem zmusza Audiego Murphy, by ją pocałował. Zdecy-dowanie wołałam, kiedy prowadził szarżę kawalerii. Pytałam Sal, dlaczego Audie zgadzał się, żeby w jego filmach występowały dziew-czyny. „Żeby denerwować takie marudy jak ty” — odpowiadała.

W zasadzie Morley posłał mnie do Bath Ladies College, ponie-waż Sal podsunęła mu taką myśl. Sam nigdy by na to nie wpadł. Sal wiedziała, że jego daleka krewna prowadziła w mieście szkołę dla dziewcząt, i chciała się mnie pozbyć.

— Rozumiesz, co mam na myśli, Sal? Okna są zakratowane — odezwał się Morley.

Poczułam zadowolenie. Budynek nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Był za mało zniszczony. I nie mieścił się pośrodku cuchną-cego bagna jak Lowood, szkoła z „Jane Eyre”, gdzie uczennice umie-rały na tyfus jak muchy. Zdawałam sobie sprawę, że Morley nie miał

czasu na czytanie, a Sal uważała, że książki, które czytam, są dobre dla tych, co skończyli uniwersytet. Z wyjątkiem katalogu „Eaton's”, do którego zaglądała każdej jesieni, żeby zamówić dla mnie nowy płaszczyk na zimę, Sal właściwie nic nie czytała.

Oczywiście moje uczucia do Sal są dosyć skomplikowane. Potrze-bowałam jej, bo była jedyną znaną mi osobą, która mogła bez proble-mu pójść ze mną po zakup nowego korektora postawy i nie użalać się nade mną. Mały garb tu czy tam nie miał dla Sal znaczenia. Pra-cowała kiedyś w Afryce, gdzie opiekowała się kobietami z tasiem-cem, chorymi na leiszmaniozę i cierpiącymi z powodu obrzęku pier-si na skutek niedrożności naczyń chłonnych. Raz zajmowała się na-wet mężczyzną ze słoniowacizną

moszny. Pokazała mi jego zdjęcie w podręczniku „Choroby tropikalne” autorstwa Patricka Mansona. Genitalia tego biedaka wyglądały jak wąż ogrodowy zawiązany na supeł.

A Sal potrzebowała mnie, ponieważ skrywała pewien sekret. Otóż Sal piła. Oczywiście tylko wtedy, gdy była w nastroju „C”. Mie-wała też nastroje „A” i „B”. W nastroju „A”, kiedy Morley był w po-bliżu, głos Sal wibrował jak głos irlandzkiego dziewczęcia (tak wła-śnie Sal mówi o każdej ładnej osobie). W nastroju „B”, kiedy Morle-ya nie było, mówiła grubym głosem, jak farmerzy przyjeżdżający do miasta, żeby kupić wysokie do bioder buty rybackie do łowienia sty-nek. Nastrój „C” był koszmarny. Sal zasypiała w porze kolacji, a ja musiałam tłumaczyć Morleyowi, że zmęczyła się pastowaniem po-dłóg. Każdego dnia w pracy Morley miał do czynienia z tyloma cho-rymi, że nie chciałam, aby po powrocie do domu musiał zajmować się jeszcze pijaną żoną.

Jednakże nadużywanie alkoholu nie było wcale takie złe. Naj-gorszy był karcący ton jej głosu. Niezależnie od tego, co byśmy zro-bili, zawsze miała coś do zarzucenia mnie albo Morleyowi. Morley nie przejmował się tym, tak jakby się tego spodziewał, ale ja zawsze brałam to sobie do serca. W końcu nikt nie jest doskonały. Tak więc, cokolwiek Sal powiedziała, uważałam, że ogólnie jest w porządku, nawet jeśli specjalnie zwracała uwagę na same złe rzeczy.

Tymczasem na przednim siedzeniu Sal zwróciła się swym karcą-cym tonem do Morleya. Wsunęła szerokie pasmo czarnych włosów pod kapelusik i ze szpilką z perełką w zębach westchnęła:

— Czy nie jest trochę za późno na zmianę zdania, Morley?

01

Wyprostowałam się. Czy Morley powie teraz to jedno zdanie, któ-re powinien był powiedzieć, kiedy Sal wpadła na pomysł posłania mnie do szkoły? Moja córka nie pójdzie do tej szkoły. Po moim trupie!

Oczywiście nie chciałam wyjeżdżać i zostawiać Morleya. Może mój ojciec nie był wzorem „Kapitana zucha”\*, ale bardziej niż kto-kolwiek inny przypominał mojego ulubionego bohatera wszech cza-sów, Johna F. Kennedy'ego.

Sądząc z tego, co czytałam o Kennedym, nigdy nie wysłałby swo-jej córki Caroline do szkoły dla dziewcząt z internatem. Gdyby Sal mu to zaproponowała, trzasnąłby drzwiczkami limuzyny i wbiegł po schodach w taki sposób, żeby nikt nie zauważył jego zgarbionych, chorych pleców. Wreszcie stanąłby w poprzek przejścia, zasłaniając je ciałem.

— Posłuchaj, Sal — powiedziałaby. — To nienormalne zamykać kogokolwiek w szkole dla dziewcząt, odcinać od rodziny. W prawdzi-wym życiu tak się nie robi, Sal, przynajmniej nie tam, skąd ja po-chodzę.

I Sal skurczyłaby się jak zużyta chusteczka do nosa, padłaby mi do stóp i błagała o przebaczenie.

Kłopot z Alicją

Alicja zawsze sprawiała mi kłopoty. Alicja to garb, więc dzieci jej nie lubią. Uważam, że odpowiedzialność za to ponosi Wiktor Hugo. A także aktor Lon Chaney. Quasimodo miał garb z tyłu i z przodu. Do tego wystające zęby i pryszcze, które Wiktor Hugo nazywał ogłędnie wykwitami.

Wcale nie wyglądam jak Quasimodo, ale dzieciakom najwyraźniej przypominam właśnie jego — Łona Chaneya z filmowej wersji „Dzwonnika z Notre-Dame”. Stworzenie o dwóch garbach i jednym oku, z krzywymi jak sierpy nogami. Nieważne, że Quasimodo był w głębi serca dobry. Dzieci o tym nie myślą. Patrząc na mnie, widzą potwora i zachowują w się w sposób, o którym wolałabym nie mówić. Gdy miałam dwanaście lat, rzucały we mnie zgniłymi pomarańcza-mi, kiedy wracałam ze szkoły do domu. Wtedy właśnie Sal po raz pierwszy wspomniła o Bath Ladies College.

\* „Kapitanowie zuchy” — film z 1937 roku w reżyserii V. Fleminga, ze Spencerem Trący, na podstawie powieści R. Kiplinga.

22

— Ale czy te dziewczyny nie będą traktować jej jeszcze gorzej?

— zastanawiał się Morley.

— Nie bądź niemądry, w takich miejscach lubią dziwadła.

I wtedy ten głupi Morley rzucił tylko:

— No cóż, Sal, jesteś kobietą, więc chyba wiesz najlepiej.

A teraz Morley tak odpowiedział na pytanie Sal:

— Tak, już za późno, żeby zmienić zdanie.

— To dobrze — Sal znów zaczęła bawić się włosami. — Bo Myszkoszka nie ma ochoty wracać do Landing. Co Norman Vincent Peale powiedziałby o dziewczynce, która zrezygnowała ze szkoły, zanim jeszcze przekonała się, jak tam jest? — Na chwilę przerwała. — Pomyślałby, że nie można na niej polegać, czyż nie, Myszko?

Sal nieźle to rozegrała. Norman Vincent Peale ze swoją zasadą wytrwałości był moim faworytem już od dawna. Czytałam jego rubrykę w magazynie „Life” z takim samym zapałem, jak Sal swój ulubiony artykuł w „Ladies’ Home Journal”: Czy to małżeństwo da się uratować? Raz zdarzyło mi się popełnić błąd i napisać do Wielbnego Peale’a w sprawie Morleya:

Szanowny Panie Peale,

Sal i ja prubowałyśmy jusz wszystkich sposobów, żeby przekonać moje-go ojca, aby wziął sobie na Boże Narodzenie jeden cały wolny dzień. On właściwie nie ma wakacji. Jest jusz starszym panem i nie jest taki młody jak kiedyś. Obawiam się, że może umrzeć na atak z przeczerpowania. PRO-SZĘ o radę.

Z poważaniem i nadzieją, Mary Beatrice

Przez dwa lata nie było odpowiedzi, a na pewno napisałam dobry adres: Madison Avenue 488, Nowy Jork, Stan Nowy Jork. Aż w koń-cu znalazłam list na półce ze stanikami Sal. Moje wielkie uszy za-częły mnie palić, kiedy sobie wyobraziłam, jak musieli z Morleyem uśmieć się nad nim. Nie powiedziałam jej ani słowa o moim znale-zisku. Schowałam list do kieszeni, a potem poprawiłam błędy orto-graficzne i ponownie wysłałam. Wkrótce też otrzymałam odpowiedź Wielebnego Peale'a.

Szanowna Panno Bradford,

Niech Pani dalej pracuje nad ojcem. Proszę pamiętać! Ciężka praca przyniesie owoce.

Z poważaniem, Norman

Powinłam była poczuć się lepiej, ale już nigdy więcej do niego nie napisałam.

Morley robił właśnie coś typowo morleyowskiego. Nerwowo zwięks-szał obroty silnika samochodu. Robił tak zawsze, kiedy czuł się nie-swojo. Nie był to dla mnie dobry znak.

W końcu, między jednym a drugim brum brum, zapytał:

— Myszko, jesteś miłą, dużą dziewczynką, prawda?

Morley nazywał mnie miłą, dużą dziewczynką tylko wtedy, gdy czegoś ode mnie chciał. Przez ułamek sekundy zobaczyłam w luster-ku jego duże smutne oczy. Bezmyślnie pokiwałam głową. Uspokojo-ny, ciężko wytoczył się z samochodu i obszedł go, żeby otworzyć drzwi Sal. Tak nagle zapomniał o mojej obecności, że było to wręcz żenujące. Stanął przed szkołą i z szerokim uśmiechem na twarzy przyglądał się, jak Sal wysiada z auta, chwiejąc się na wysokich ob-casach. Złapała jednak równowagę i — w perfekcyjnym nastroju „A” — jak taka mała kokietka uśmiechnęła się do swego boga, Morleya.

A ja modliłam się na tylnym siedzeniu, żeby Morley spojrział na mnie i powiedział, że jeszcze się zastanowi.

— Och, Morley — wyszeptałam — jeżeli zabierzesz mnie z po-wrotem do domu, będę cię wielbić jak Sal. Przynosić ci biegiem „Biu-letyn Madoc's Landing", jak to robią pielęgniarki, gdy tylko przekro-czysz próg szpitala przy Lennox Street. Przysięgam na własną śmierć, jestem gotowa jak Sal i wszystkie inne usługiwać legendar-

nemu Morleyowi Bradfordowi, najwyższemu lekarzowi w Guilford i okolicach — bez butów sześć stóp i siedem cali. Olbrzymowi, który może spędzić całą noc grając z chłopakami w pokera w Grandzie, a następnego ranka operować świeżutki jak skowronek. Proszę cię, Morley. Jeśli zrobisz to dla mnie, będę ci tak oddana jak prezydentowi Kennedy'emu.

Kiedy tak stał na schodach Bath Ladies College, Morley wyglądał tak jak zawsze: wielki morleyowaty balon, który wzniósłby się

24

w powietrze, gdyby nie był przyczepiony do ziemi parą wielkich butów w kolorze byczej krwi z dziurkowanymi noskami. Reszta, zaczynająca się od szerokich mankietów luźnego ubrania z szarej flaneli, falowała ku górze, poza moim zasięgiem. Przypominał sobą stero-wiec. Jego sylwetka rozszerzająca się na wysokości dolnego guzika kamizelki kończyła się gdzieś wysoko nade mną wielką, roztargnioną głową w kształcie balonika. Zamglone, niebieskie oczy wpatrywały się w niewidzialny dla mnie punkt na horyzoncie. W końcu Sal pokazała na mnie i Morley wreszcie mnie zauważył.

— O, tu jesteś, Myszko — wymamrotał.

Jakbym naumyślnie ukryła się, podczas gdy ja mocowałam się z klamką. Patrzyłam w dół, jakby nie obchodziło mnie wcale, że o mnie zapomniął, i wystawiłam kule. Potem powoli, bardzo powoli wysunęłam słabe nogi z samochodu.

25

Zęby wykopać dół, trzeba odpowiednio posługiwać się szpadlem. Należy przyciskać krawędź środkową częścią stopy. Widzisz, Sierżancie, jak przytrzymuję szpadel ręką i jednym ruchem wbijam go w ziemię?

W wiązowym lasku duża siwowłosa kobieta uczyła dziwnego małego człowieka kopania ogrodu. Była dwa razy od niego wyższa i ubrana w dość nietypowy strój do prac ogrodowych: czarny kostium i wysokie obcasy, choć pantofle z zadartymi noskami należały do tego rodzaju butów, jakie Sal nazywała „użytkowymi”. Na pewno nie były to żadne z tych fikuśnych pantofelków z noskiem tak ostrym, że można by wybić oko wężowi. Stopy człowieka ukryte były w dziecięcym kaloszach. Kombinezon również był w dziecięcym rozmiarze. Na głowie miał wełnianą czapkę. W Madoc's Landing gracze w cur-ling\* zakładali takie czapki na zawody. Co chwilę schylał się, żeby pogłaskać pieska rasy corgi siedzącego u jego stóp. Był karzełkiem.

Nieopodal widać było dwie postaci. Wysoki mężczyzna, prawie dorównujący wzrostem Morleyowi — ze względu na długie, zwisające wąsy wydał mi się Europejczykiem. W Madoc's Landing wszyscy wężsaci mężczyźni pochodzili z Polski czy podobnych miejsc. Pochylił się nad taczkami podawał chryzantemy szczupłemu nastolatkowi w starej czapce z daszkiem i spodniach khaki, który wkładał kwiaty do świeżo wykopanych przez starszą panią dołków. Chłopak był cały mokry i brudny.

\* Curling — zimowa dyscyplina sportu, polegająca na przesuwaniu po lodzie kamieni z uchwytem, tak by zatrzymywały się najbliżej środka tarczy malowanej na powierzchni lodu, zawodnicy rzucają kamieniami, partnerzy rzucającego mogą pocierać lód szczotkami w celu zwiększenia śliskości lodu, gra bardzo popularna w Wielkiej Brytanii i Ameryce Północnej.

26

Wysoka kobieta dostrzegła nas i przestała kopać. Uśmiechając się, podniosła dłoń do nieba i nagle zauważyłam, że przestało mżyć, choć nadal nie było śladu słońca, a niebo nad rozmokłym trawnikiem i kamiennymi budynkami szkoły miało kolor ostrygi. Morley i Sal stali niezgrabnie, zupełnie jakby też byli nowymi uczennicami, podczas gdy kobieta zbliżyła się do nas. Żeby skrócić sobie drogę, przeszła przez klomb, aż obcasy jej praktycznych czółenek zagłębiły się do połowy w ziemi.

— Witam, kuzynie Morley — wyciągnęła swą dużą dłoń do Morleya, który uściśnął ją nieśmiało, kiwając się na czubkach tych dziurkowanych butów. — To zapewne pani Bradford, twoja nowa żona?

Mówiła cichym głosem nadęsanej dziewczynki. Przy czym wzrostem przypominała mężczyznę. Spojrzałam na nią z zaciekawieniem. Czyżby była to jedna z tych osób, o których Sal mawiała „pół na pół”? Nigdy nie widziałam nikogo podobnego. Była duża i okrągła jak ogromny „Toby”.

Przyszło mi do głowy, że tak pewnie wyglądałaby Dama z Bath\*\* Chaucera, gdyby przeniosła się do dwudziestego wieku: szerokobiodra, pewna siebie, nie przejmująca się tym, co pomyślą inni. Wiedziałam, że istnieje pewien rodzaj kobiet, które żyją poza narzuconymi przez mężczyzn regułami, i ta wydała mi się właśnie jedną z nich, niezależnie od tego, czy wolała kobiety, czy nie. Siwe włosy miała przedzielone pośrodku, gładko zaczesane i podpięte dziecięcymi spinkami. Z tyłu głowy włosy zwinięte były w koczek i przytrzymane czarną siateczką. Jej kostium był pomięty, zupełnie tak jak moje ubrania, kiedy zbyt długo przebywam na dworze. Nieco za duży zakiet wisiał na szerokich ramionach, a na mankietach zauważyłam ślady kredy. Byłam pewna, że Sal nie wiedziała, co o niej myśleć. Przynęła się bliżej do Morleya.

— Dzień dobry, panno Vaughan — rzekła nerwowo.

— Proszę mi mówić Vera, pani Bradford. — Panna Vaughan za-

uważała, że Sal patrzyła na jej zabłocone buty i uśmiechnęła się. —

\* Toby — kufel w kształcie postaci grubego mężczyzny w kapeluszu, nazwa pochodzi z XVII-wiecznego wierszyka o Tobym Phillpott, który lubił zaglądać do kieliszka. \*\* Dama z Bath — jedna z postaci poematu Geoffreya Chaucera „Opowieści kan-terberyjskie”, kobieta o szerokich horyzontach umysłowych, uczona, wykazująca szacunek dla mądrości książkowej.

27

Gdyby Sierżant umiał posługiwać się szpadem, nie zniszczyłabym moich niedzielnych butów. Ale nie mogę pozwolić, żeby znów nabił się bólu pleców. — Zachichotała, a Morley, Sal i ja również wy-daliśmy z siebie coś w rodzaju chichotu.

— Też mi! To tylko pęcherze. — Karzeł podszedł do nas bez po-  
śpiechu z pieskiem rasy corgi przy nodze. Podskakując, piesek dwa  
razy okrążył maleńkiego człowieczka, który za plecami dyrektorki  
zabawnie zsalutował dwoma palcami. Tymczasem ona obróciła się  
i spojrzała gniewnie smutnymi, podkrążonymi oczami. Karzeł sta-  
nął w miejscu jak wryty i zwiesił głowę, a piesek skulił się tak jak  
Lady, nasza suczka rasy golden retriever, kiedy Morley każe jej  
usiąść.

— A ty pewnie jesteś Mary — rzekła dyrektorka, obracając się do  
karzełka plecami. — Zawsze miło jest spotkać członka rodziny.  
Poczułam, jak ściska mnie w dołku. Nie wiedziałam, co odpowie-dzieć.

— Mary Beatrice jest bardzo nieśmiała — powiedziała Sal —  
zacznie mówić, kiedy poczuje się jak w domu.

— Rozumiem. Też jestem nieśmiała. — Dyrektorka pomachała  
do nastoletniego chłopaka, który pomagał wysokiemu ogrodnikowi  
przy sadzeniu kwiatów. — Mary Beatrice, poznaj Lewisa. Będziesz  
w pokoju z jego siostrą Paulie.

Chłopak podszedł do nas. Na przemian zaciskał i rozluźniał pięści. Jak na swój wzrost miał duże, silne dłonie. Chodził jak chłopcy w Madoc's Landing, powłócząc nogami, jakby ruch zaczynał się od dużych palców. Tam, skąd pochodzę, dziewczyny chodzą, kołysząc biodrami i stawiając palce stóp na końcu.

— Jak się masz? — spytał i ukłonił się.

Nie mogłam oderwać wzroku od jego karku, gdzie wystające spod czapki włosy były wygolone i tak króciutkie, i rzadkie jak włosy w uszku kociaka. Ja też chciałam zgolić tak włosy.

— Co się tak gapisz? — syknął. Zabrzmiało to złośliwie, jakby chciał mnie urazić. Z przodu brakowało mu jednego zęba.

Jest niewykształcony, pomyślałam. I uważa, że nim pogardzam. Wstydliwie odwróciłam głowę i udałam, że nie słyszałam.

Wskazał na samochód, gdzie na tylnym siedzeniu został mój kufer. — Czy mogę zanieść bagaże nowej dziewczyny do pokoju?

W głębi serca musiałam przyznać, że spodobało mi się to.

28

— Dziękuję, Lewis. To zadanie dla Sierżanta — odpowiedziała panna Vaughan.

— Tego kurdupła! — Lewis wyciągnął rękę do kapelusza karzełka, na co corgi ruszył w stronę chłopca i próbował złapać go za nogawkę, ale dyrektorka chwyciła go za obroź i odciągnęła.

— Wystarczy, Lewis! A teraz odejść. — obaj! — rzuciła oschle, a potem znów szeroko się uśmiechnęła, jakby nagle się opamiętała i zdała sobie sprawę, że wszystko słyszymy. — Sierżant pokaże Mary Beatrice pokój, a potem zaprowadzi ją na herbatkę, by mogła poznać pozostałe dziewczęta.

Dyrektorka wskazała na połać jasnej zieleni i po raz pierwszy odważyłam się spojrzeć na grupkę dziewczyn z rodzicami. Już wcześniej słyszałam ich wysokie, podniecone głosy dochodzące spod ociekającego wodą namiotu. Żadna z dziewczyn nie miała na sobie zielonego mundurka, wszystkie były w długich granatowych wizytowych sukienkach. Z niepokojem spjrzałam na błyszczące czarne półbuty.



Wezmą mnie za nadgorliwą idiotkę.

Morley spojrzął na zegarek.

— Obawiam się, że musimy już jechać. Muszę wracać do Ma-  
doc's Landing, do pracy.

Pochylił się i poklepał mnie mocno po policzku grzbietem dłoni. To było jego pożegnanie.

— Do widzenia, tatusiu — wyszeptalam z najlepiej udawanym  
uśmiechem.

Tak naprawdę wcale nie potrzebowałam kul. Kiedyś zdarzało mi się symulować, żeby wzbudzić litość Morleya. Potem Sal uparła się, że nie powinnam się bez nich nigdzie ruszać, a ja byłam zbyt dumna, żeby przyznać się do oszustwa. To prawda, czasami bolała mnie dolna część pleców, a lewa strona troszkę wystawała. Kiedy to się zdarzało, chciałam kłaść się do łóżka, ale Sal mi nie pozwalała. Ra-dziła mi udawać, że miałam wypadek na nartach albo że jestem bo-haterem rannym w drugiej wojnie światowej.

Tego pierwszego ranka w Bath Ladies College stałam tak w przestronnym kamiennym foyer w towarzystwie karzełka zwane-go Sierżantem. Pokazywał mi wnęki w ścianie, w których kiedyś umieszczone były broje. Po mojej lewej stronie znajdowało się dru-gie duże pomieszczenie recepcyjne. Oddzielono je, prawdopodobnie

29

dla ochrony bibliotecznych szaf, kilkunastu ogrodowych ławek z wy-sokimi oparciami i zniszczonego stołu bilardowego wielkości basenu — pozostałości po Sir Jonathonie. W tym czasie wokół nas dziewczy-ny w granatowych sukienkach z krzykiem rzucały się sobie w ramio-na. Zacisnęłam zęby i udawałam, że nie słyszę karzełka, każącego mi podziwiać parkiet. Wzór w jodełkę zmieniał odcienie od jasnego do ciemnego, w zależności od miejsca, w którym się stało. Jakby mnie to obchodziło. Czułam się wystarczająco źle z powodu nieodpo-wiedniego ubrania i kul. Do tego musiałam stać tu z tym liliputem, co po prostu mnie upokarzało.

Bez słowa poszłam za nim długim korytarzem. Stopy ślizgały się na jasnych, wyfroterowanych, pachnących woskiem podłogach. Sta-rałam się nie patrzeć na nasze odbicia w błyszczącej powierzchni parkietu: tułów Sierżanta kołyszący się na boki jak u marynarzy na nabrzeżu w Landing, zaś moje ciało lekko pochylone do przodu. Ściany po obu stronach udekorowano zdjęciami dawnych roczników absolwentek i tabliczkami, na których złotymi literami wypisano nazwiska zdobywczyń stypendiów. Na jednej z nich zobaczyłam na-pis: „Dziesięć przykazań przyjaźni”. Zdążyłam przeczytać numer piąty (Bądź serdeczna — mów i działaj tak, jakby wszystko, co ro-bisz, sprawiało ci prawdziwą przyjemność) i numer szósty (Interesuj się ludźmi — MOŻESZ polubić każdego, jeśli tylko spróbujesz).

Zakręciliśmy i ujrzałam przed sobą starą klatkę schodową, wznoszącą się ku górze ponad naszymi głowami piętro za piętro. Spirala poręczy kręciła się bez końca, dochodząc wreszcie do ogromnego, okrągłego świetlika. Przypominało to nagryzłone oko jakieś olbrzyma. Ze względu na słabe nogi bałam się wspinać, ale wchodziliśmy powoli. Karzełek sapał i zataczał się pod ciężarem starego kufra, który obijał się głośno o każdy stopień. Zrobiło mi się go żal.

Zatrzymał się na pierwszym półpiętrze, żeby złapać oddech.

— Przeklęta cholera. Wolałbym chyba nieść trumnę.

Potem zdjął czapkę i pokazał dłonią na olejny obraz.

— Nasza angielska dyrektorka. Pierwsza i ostatnia.

Z obrazu spoglądała na nas tęga kobieta w edwardiańskim stroju cyklistki. Siedziała na wysokim trzykołowym rowerze.

— Czy nie jest przerażająca? — karzełek przyklęknął przed obrazem.

30

Nie wiem, czy robił sobie z niej żarty, czy to na poważnie.

Dziki spójrzanie oczu pod wypukłym czołem sprawiało wrażenie, że może przejrzeć człowieka na wylot. Przestraszona przeczytałam słowa wypisane na kamiennej tablicy obok portretu:

Moje kochane dziewczęta!

Pracę, jaką nasz Stwórca przydzielił Wam na ziemi, wykonujcie najlepiej, jak potraficie, aż do tego wspaniałego dnia, w którym rzeczywistość żywota wiecznego zastąpi materialne symbole.

Wasza w wierze, Viola Higgs (1874-1957)

Zastanawiałam się, czemu siedziała na tym dziwnym rowerze, ale nie miałam zamiaru sprawiać mojemu przewodnikowi satysfakcji zadawaniem pytań. Znów wspinaliśmy się po schodach, coraz wyżej i wyżej w tej dziwacznej wieży. Karzełek zaczął podrzucać kufr jak jakiś narwaniec, chociaż nie wiem, czy to ułatwiało mu wchodzenie.

Na czwartym z kolei półpiętrze usłyszałam śmiechy. Nagle zza drzwi wzdłuż wąskiego korytarza o niskim suficie wyrzały dziewczęce głowy.

— To dopiero siódma klasa — poinformował karzełek.

Kufer spadł z trzaskiem. Po chwili przerażona kobieta w podomocce wybiegła zza drzwi jednego z pokoi i

wymachując rękami, biegła w naszą stronę. Na rudych włosach miała papiloty. Jej policzki były dziwnie napuchnięte, jakby wypchane watą.

— Proszę nie przeszkadzać — powiedziała wysokim zdenerwowanym głosem. — Dziewczęta mają teraz drzemkę. Proszę natychmiast wyjść.

Karzeł zaczął chichotać i również wymachiwać ramionami. Dziewczyny zaśmiały się jeszcze głośniej. Karzełek potrząsnął dużą głową i zacisnął malutkie usta: ciiiiiiiiii. Był o połowę niższy od wychowawczynie i niewiele większy od jej małych podopiecznych, które teraz śmiało wyszły na korytarz. Zanim kobieta zdążyła cokolwiek powiedzieć, w niespodziewanym przystępie siły szarpnął moim ku-frem, pociągnął go i zniknął z zasięgu wzroku.

Wdrapałam się na ostatnie piętro wieży. Plecy trochę mnie roz-bolały, wzięłam więc dwie aspiryny z buteleczki, którą zawsze noszę

31

przy sobie. Przed nami widać było wąski, kręty korytarz z rzędem wysokich drzwi. Karzeł powiedział, że to stare służbówki, w których urządzono pokoje do ćwiczeń muzycznych. Na niektórych drzwiach przytwierdzono małe mosiężne tabliczki z inskrypcjami religijnej treści, na przykład anglikańskimi hymnami Frances Ridley Haver-gal\*, które czasami śpiewaliśmy w kościele w Madoc's Landing. Zwróciłam uwagę na wojskowe określenia, jak choćby „poczet sztan-darowy” czy „wybrany, by być żołnierzem”. Ich radosny ton sprawił, że zrobiło mi się smutno.

Karzeł otworzył ostatnie drzwi i pociągnął mnie za rękaw do wysokiego, wąskiego pokoju.

— Szczęściara z ciebie! — rzucił i zachichotał. — To sypialnia angielskiej dyrektorki. Najlepszy pokój w całej szkole. — Zniżył głos i pokazał na sufit, gdzie zobaczyłam zakurzoną kulę na metalowym haczyku. — To ona zawiesiła.

Z obawą rozejrzałam się wokoło. Zastanawiałam się, czy sobie ze mnie kpi. Może i był to najlepszy pokój, ale poza widokiem nie było tam nic, z czego można by się cieszyć. Z okna po wschodniej stronie widać było parking i garaż dla dwóch samochodów (gdzie, jak powiedział karzełek, on i drugi woźny, Czech o imieniu Willy, mieli swój pokoik). Dalej ciemna masa liści w wąwozie jakby podpełzała ku wypieszczonemu trawnikom szkoły. Wyglądało to jak wysypka na wypie-lęgnowanej dłoni. Od południowej strony roztaczał się widok na ogromne kamienne patio otoczone zabawnymi drzewami o kształcie wrzeciona. Później dowiedziałam się, że są to wiązy płaczące. Dalej, na południowym zachodzie, majaczyły srebrne wieże miasta, jak Kraina Oz nad wesołą niebieską wstążką jeziora.

Zaraz pode mną, nieopodal patio, dojrzałam namiot, gdzie wciąż trwało przyjęcie dla rodziców. Słońce już prawie całkiem zaszło. Słyszałam radosne głosy dorosłych szczebioczących jak ptaki po burzy. Bez

celu snułam się po pokoju. Był w pełni wyposażony: trzy łóżka ustawione równiutko pomiędzy trzema komodami. Za ramami lu-ster komód powtykane były karteczki białego liniowanego papieru. Na jednej z nich przeczytałam nazwisko Wiktorii Queen, na drugiej — Pauline Sykes. Nad każdym łóżkiem przytwierdzono korkowe ta-

\* Frances Ridley Havergal — (1836-1879), brytyjska autorka hymnów reli-gijnych.

32

blice. Na pierwszej wisiał stary niewyraźny plakat z filmu „King Kong”. Na drugiej zdjęcie piosenkarza calypso Harry'ego Belafonte, a obok arkusik papieru z żółtym, tłoczonym napisem następującej treści: Kobieta powstała z żebra Adama, by być mu równą, by chro-niły ją jego ramiona, a serce kochało. Domyślałam się, że plakat na-leżał do Wiktorii Quinn. Na komodzie stała ramka ze zdjęciem ja-snowłosego chłopaka ostrzyżonego na jeża z podpisem: Na zawsze, Rick. Obok leżały szczotka z poplątanymi włosami, wypchana ko-smetyczka, dzbanuszek w alpejskie kwiatki i paczka papierosów Ca-meo. Uśmiechnęłam się do siebie. Miałam coś wspólnego przynaj-mniej z jedną ze współlokatorek.

— No, teraz już lepiej — karzełek odezwał się przyjaźniejszym tonem. Podał mi cukierka lukrecjowego w kształcie fajki. — Poczę-stuj się.

Potrząsnęłam głową odmownie, chociaż cukierki lukrecjowe to moje ulubione słodycze. Mimo to karzełek zostawił fajkę na kufrze.

— Nie martw się, jeśli będziesz tęsknić za domem. To mija. Na-gle, któregoś dnia budzisz się, i bingo! Stara wyga z ciebie. — Sta-nął na palcach, patrząc na papierosy. — Wychowawczyni zmyje Wik-torii głowę. Co za nieostrożna dziewczyna.

Nagle usłyszeliśmy zza okna jakieś hałasy. Karzełek wyjrzał, stając na jednym z kufców.

— Co tam się dzieje? — Klepnął się małą dłońią w czoło. —

Obcy na naszym terenie! Nie wiedzą, że panem zamku jest stary

Sierżant?!

Zobaczyłam grupkę męskich postaci przechodzących przez wyso-kie ogrodzenie z drutu. Zdałam sobie sprawę, że płot okala chyba ca-ły teren szkoły. Patrzyłam, jak jeden za drugim przypadali do ziemi, niektórzy przewracali się na boki lub plecy. Z mojego wysoko umie-szczonego okna ich ciała przypominały zabawki. Nagle rozłożyli transparent i zaczęli skandować w kierunku zaskoczonych gości.

Dzika zabawa! Balanga klawa! Bath Ladies College Jest nasz — hurra!

Na trawniku niektóre dziewczyny w granatowych sukienkach zaczęły krzyczeć, a ich rodzice stali tylko, spoglądając na siebie z za-

33

kłopotaniem. Chłopcy powtórzyli swoje hasło, krzycząc jeszcze głośniej. Kilku potrząsało dzwoneczkami. Przede mną karzełek walnął pięścią w okno.

— No gdzie jest ten cholerny Lewis, kiedy go potrzebujemy? Czekaj, jest. O nie, Boże! To Dziewica!

Spojrzałam w dół. Dyrektorka stała w samym środku tłumu. Na szeroko rozstawionych nogach, z wężem ogrodowym skierowanym w stronę intruzów, którzy przez chwilę patrzyli z zaskoczeniem na lecący prosto na ich głowy, mieniający się kolorami tęczy strumień wo- dy. Sekundę później obrócili się i z powrotem zaczęli wdrapywać na ogrodzenie. Woda przemoczyła transparent, rozmazując słowa „Bath Ladies College jest nasz”.

Wtedy też zauważyłam turkusowy kabriolet na krętej drodze po- między wierzbnymi płaczącymi. Wydałam z siebie zduszony, cichy dźwięk i rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy Sierżant mnie słyszał. Ale już go nie było. Doszły mnie tylko jego przekleństwa, gdy biegł długim korytarzem w pościgu za ostatnimi intruzami.

34

Myszko, jesteś żałosna, powiedziałam do samej siebie. W pokoju hulał przeciąg. Wpatrywałam się w lustro, nienawidząc tej przyglą- dającej mi się sprytnej, mądrej twarzyczki. Wargi cienkich, wykrzy- wionych ust nie poruszały się. Widzisz, zgadza się z tobą.

Położyłam się na łóżku. Nie miałam ochoty rozpakowywać się czy robić czegoś w tym rodzaju, co oznaczałoby, że naprawdę tu JE-STEM. Postanowiłam się nie przebierać. Gdybym tylko zdjęła bluz- kę, weszłaby jakaś dziewczyna i zobaczyła moje krzywe ramię, Ali- cję Garb.

Przez większość czasu właściwie o niej nie pamiętałam. Jasne, że Alicja czasami trochę boli, zwłaszcza jeśli wejdę pięć pięt po schodach, a w niektóre dni zupełnie mnie wykańcza. Jest jak waliz- ka, która staje się tym cięższa, im dłużej się ją niesie. Ale nie spra- wia wielkiego kłopotu. Tylko kiedy się rozbiore i widzę na lewym ra- mieniu wystające kręgi jak ślady opon traktora, wiem, że Alicja ni- gdy mnie nie opuści.

W końcu podniosłam się i wsunęłam najlepsze zdjęcie Morleya, jakie miałam, za ramkę lustra w komodzie. Przyczepiłam też foto- grafie mojej prawdziwej mamy i kilka zdjęć prezydenta Kenne- dy'ego. Potem otworzyłam kufer. Na równiutko poskładanych su- kienkach Sal zostawiła podaną przez szkołę

listę ubrań. Przy każdej pozycji był rozmazany ptaszek zrobiony niebieskim długopisem:

Granatowy płaszcz

Mundurak — sukienka bez rękawów z zielonej wełny

Granatowe wełniane rybaczki

Granatowy beret (do mundurka)

Bawełniane podkoszulki lub staniki (tylko dla starszych dziewcząt)

35

Granatowa sukienka wizytowa na przyjęcia i do kościoła

Fioletowe bluzki z długimi rękawami i kołnierzykiem (do mundurka)

Obok leżał pożegnalny prezent Sal, nowiutki egzemplarz „Siły pozytywnego myślenia”. Trzasnęłam pokrywą kufra i poszłam po-szukać toalety.

Przed lustrem w łazience, z przyklejonym do ust papierosem, stał Lewis. Kiedy tak moczył twarz w ciemnej kabinie, wyglądał na jeszcze drobniejszego, niż był. Jego usta miały ten beczelny wyraz, którego nienawidzą ojcowie i kontrolerzy biletów. Pełne wargi na ko-ścistej twarzy miały złowrogi wyraz.

Nie wydawał żadnego dźwięku, ale męski rytuał sprawiał mu widoczną przyjemność. Zatopił się w nim, jego twarz miała rozma-rzony wyraz. Podobnie wyglądała Sal, kiedy fryzjer robił jej trwałą. A może zauważył, że stoję przy drzwiach? Najpierw wziął pędzel z brązowego kubeczka i namydlił policzki i szyję. Potem chwycił sta-roświecką maszynkę na długiej rączce i powoli zaczął się golić. Jed-ną ręką podciągał skórę przy lewym oku do góry, druga zsuwała się wraz z maszynką po lewym policzku. Następnie zrobił to samo z szy-ją, tylko że tu naciągał skórę w dół, a maszynka szła do góry. Roz-ciągnął górną wargę, opierając ją o przednie zęby, żeby ogolić się pod nosem i nie skaleczyć ust. Przeszedł do prawego policzka, zaciskając wargi tak, jak Morley, kiedy nie wiedział, że go podglądam.

Skończył i wytarł dłoń w ręcznik, tak mocno zaciągając się pa-pierosem, że ten zwisał mu z ust zupełnie pionowo. Po tym wirtuo-zerskim wyczynie położył niedopałek na drewnianym parapecie, na którym zrobił się czarny ślad. Musiałam wydać z siebie wystraszo-ny dźwięk, bo podniósł wzrok i zobaczył mnie.

Nie udało mi się powstrzymać i pisnęłam. Lewis szybko wyrzu-cił niedopałek przez okno. Złapał lakier do włosów z najbliższej pół-ki i rozpylił go w powietrzu. Przepychając się koło mnie, syknął:

— Spróbuj tylko komuś o tym powiedzieć, a pożałujesz.

Wstuchiwałam się w głos kroków, ale wieża jakby pochłonęła Le-wisa. Wokół mnie unosił się zapach lakieru.

Podeszły do mnie dwie wychowawczynie, które usłyszały mój pisk. Nie wspomniałam imienia Lewisa, ale powiedziałam, że wiedziałam w łazience chłopaka. Rzuciły się w panice na korytarz, otwierając po kolei drzwi do wszystkich sypialni. Słyszałam ich roz-

36

drażnione głosy, jak przepytywały inne nowe dziewczyny, które pewnie się rozpakowywały. Wreszcie wróciły i znów zadawały mi pytania. Poczułam się trochę nieswojo, broniąc Lewisa. Jedna z wychowawczyń źle odebrała mój wymijający ton. Wężowym ruchem języka poluzowała sztuczną szczękę, a potem z młaśnięciem znów ułożyła ją na swoim miejscu. Ze złości aż zaniemówiła. Wreszcie stwierdziła:

— W Bath Ladies College nie lubimy takich kawałów. Jeszcze jedna skarga tego rodzaju i dostaniesz karę.

37

Tego wieczora siedziałam na łóżku, zasłaniając uszy rękoma, kiedy do pokoju weszły moje współlokatorki. W wieży rozbrzmiewał dzwonek głośny jak alarm przeciwpożarowy. Po chwili uspokoił się, a szkoła wydała się dziwnie cicha. Słychać było tylko lejącą się z kranów w łazience wodę. W pokojach uczennice przygotowywały się do snu.

Nie wiedziałam, jak się odezwać do tych dwóch dziewczyn z jedenastej klasy. Ja przeskoczyłam dwie klasy, więc wyglądały na dużo starsze ode mnie. Jedna z nich była bardzo wysoka, miała ciemne oczy o ciężkich powiekach i wąskie, cieniutkie usta o szyderczym wyrazie. Poruszała się z pewnością siebie akrobaty. Przetłuszczone czarne włosy miała zaczesane do tyłu, a długi warkocz zwieszał się pomiędzy łopatkami jak frędzel. Kogoś mi przypominała.

Druga dziewczyna była tak piękna, że aż dech mi zaparło. Gdy patrzyłam na jej włosy w odcieniu mlecznego blondu i pełne policzki, chciało mi się zanucić ulubioną piosenkę Morleya o tym, że dziewczyna, którą poślubi, musi być słodka i różowa jak dziecinny pokoik. Domyślałam się, że to właśnie musi być właścicielka plakatów ze złotym napisem i alpejskich kwiatuśków — Wiktoria Queen we własnej osobie. Z kolei jej przyjaciółka to pewnie Pauline Sykes, której brata, Lewisa, przytapałam w łazience w czasie golenia.

— Nie idziesz się kąpać? — Pauline Sykes przerwała ciszę. Jej wymowa przypominała akcent ludzi z Dołlartown, wioski w pobliżu Madoc's Landing. Kiedy nie chciałam jeść warzyw, Sal zawsze pytała, czy mam ochotę przeprowadzić się do Dołlartown, gdzie ludzie jedzą tylko i wyłącznie dollartownowskie steki, czyli ogromne kawały smażonego ohydztwa.

38

Nie odezwałam się. Nie wiedziałam dlaczego, ale Pauline Sykes trochę mnie przerażała.

- Trzeba ci powtarzać? Idź się wykąpać.
- Ale ja nie chcę się kąpać — wyszeptałam w końcu.
- Daj spokój, Paulie — powiedziała Wiktoria.
- Psujesz całą zabawę — Pauline Sykes przeszła do swojej części pokoju i usiadła na krześle twarzą do ściany. Potem, głośno i powoli, zaczęła walić głową w ścianę.

Przy każdym uderzeniu ściana drżała i rozlegał się cichy, dzwońniący odgłos. Trzęsły się lustra nad komodami. Prawie natychmiast otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła przerażona wychowawczyni. Musiała przed chwilą zdjąć wałki z włosów, bo dwa sprężyste loczki sterczały jej nad czołem jak baranie rogi.

- Kto tak hałasuje? — rozejrzała się gniewnie po pokoju. —

Czy to ta Sykes?

- Nienawidzę tej dziury — rzuciła Pauline. Ciągle siedziała do nas tyłem, ale przestała tak strasznie walić głową w ścianę.

- Słyszysz mnie, Pauline? Wiesz, że w tym semestrze panna Vaughan oczekuje, że będziesz poprawną uczennicą naszej szkoły.

Oznacza to również myślenie o innych, nie tylko o sobie. Pewnie nie przyszło ci do głowy, żeby zaopiekować się nową koleżanką?

Pauline ustami wydała dźwięk przypominający pierdnięcie. Nie byłam pewna, czy powinnam wziąć to do siebie. Usiadłam na łóżku z głową ukrytą w dłoniach. Wychowawczyni westchnęła i szybkim krokiem podeszła do mojej komody. Poczułam dziwny zapach, coś jakby naftę.

- Kto to jest? — pociągając nosem, wzięła do ręki wycięte z gazety zdjęcie Johna Kennedy'ego z córką Caroline na pokładzie żagłówki „Manitou”. Mimo wiatru tak silnego, że bandera powiewała prosto jak sztandar, ładne falowane włosy prezydenta przylegały gładko do skóry głowy.



— Prezydent Stanów Zjednoczonych — odpowiedziałam ci-  
chutko.

— To katolik, prawda? Jest bardzo młody jak na prezydenta. —  
Potem wzięła fotografię mojej prawdziwej mamy i mój ulubiony por-  
tret Morleya. Kolorowe zdjęcie zrobione w sierpniu przedstawiało  
Morleya, Sal i mnie na pikniku w rezerwacie Indian niedaleko Len-  
nox Point. Morley wyciągnął się na leżaku na „Thebusie” (motorów-

ka była, zaraz po „Oczku”, ulubioną zabawką Morleya). Na fotogra-  
fii jego siwe włosy, podobne do  
dwóch błyszczących skrzydeł mewy, przybrały dokładnie taki sam odcień jak złote futro Lady. Zza burty  
wystawał nos Lady. Merdała ogonem. Ja siedziałam daleko od ojca, wciśnięta w pomarańczową  
kamizelkę ratunkową. Na leżaku koło Morleya leżała Sal w ciemnozielonych okularach  
przeciwsłonecz-nych.

— Och, panno Philips, dlaczego nie możemy trzymać zdjęć na  
lustrach? — zapytała Wiktoria, kiedy wychowawczynie zdjęła moje  
fotografie. — W czym to przeszkadza?

— Lustro to nie miejsce na prywatne rzeczy. Do tego służą tabli-  
ce nad łózkami.

— Ale wtedy robią się dziurki od pinezek. Lepiej wsuwać je za  
ramę lustra.

Wychowawczynie dwoma palcami wzięła szczotkę z poplątanymi włosami i wrzuciła ją do górnej szuflady  
komody, mówiąc:

— Wiktoria, dobrze znasz zdanie twego ojca i panny Vaughan  
na temat tego, że palisz papierosy na terenie szkoły...

— Proszę nie mówić ojcu o papierosach. Proszę, panno Philips.  
Zaciągnęłam się tylko raz i tylko jednym papierosem. Kupiłam je  
dla kogoś innego.

— Obawiam się, że nie pozostawiasz mi wyboru. — Wychowawczynie chwyciła paczkę i schowała do kieszeni. — Możesz podyskutować o tym z panną Vaughan.

— Panna Vaughan ma to gdzieś i pani dobrze o tym wie — odezwała się Pauline, skacząc na równe nogi. — To są moje fajki. Poza tym to nie pani sprawa.

— Wiktorio, czy to prawda? — wychowawczynie zignorowała Pauline.

— Po co ją pani pyta? Przecież mówię, że fajki są moje.

— Bardzo dobrze. Za niewyparzoną buzię Pauline dostanie naganą. — Panna Philips wycofała się bokiem z pokoju, twarzą do nas, tak żeby widzieć moją wysoką współlokatorkę. — I światło zgasimy dzisiaj wcześniej. — Zgasło, gdy tylko trzasnęła drzwiami.

W nagle zapadłych ciemnościach nic nie widziałam, ale wydawało mi się, że dziewczyny leżą na łózkach, patrząc na siebie i coś szepcząc. Zdawało mi się, że słyszałam, jak Pauline mówi Wiktorii, że zawsze z nią będzie i że nie można pozwolić, żeby wychowawczynie

40

znalazła sobie ofiarę. Potem obie wstały i, jakby mnie nie było, zaczęły szukać piżam w komodach. Wiktoria zauważyła, że ciągle się-dzę w mundurku, i uśmiechnęła się.

— Lepiej się pospiesz albo stara Fobia Philips cię złapie — zachichotała. — Śmierdzi stęchlizną, nie? To dlatego, że czyści ubrania naftą.

Dzwonek zadzwonił jeszcze raz i drzwi otworzyły się. Oślepił mnie strumień światła.

— Mam nadzieję, że wszystkie dziewczynki przygotowują się grzecznie do snu — usłyszałam śpiewny głos z angielskim akcentem.

Promień latarki zataczał kręgi po całym pokoju, aż oświetlił łóżko, na którym Pauline leżała z głową schowaną pod kołdrą.

— Nie chcę słyszeć, że zaczynasz swoje stare sztuczki, Paulie.

Wydaje mi się, że osoba w twojej sytuacji powinna zachowywać się rozsądniej.

Pozbawiona ciała głowa unosiła się nad nami oświetlona od dołu światłem latarki. Okrągłe upudrowane policzki przypominały ogromne purchawki, jakie rosły na łąkach niedaleko Landing.

— Dlaczego nowa dziewczynka jest jeszcze w ubraniu?

— Trochę jej przeszkadza, że jest ciemno — odpowiedziała Wiktoria, a ja poczułam, że wzdłuż kręgosłupa aż po krzywe ramię oblewam się rumieńcem. Alicjo, pomyślałam, ona nas lubi.

— Rozumiem. Może będzie jej łatwiej, kiedy już zamknę drzwi

— stwierdziła ta nowa wychowawczyni.

— Bardzo przepraszam — odezwała się Pauline. — Natura mnie wzywa.

— Mnie też — dodałam żałośnie.

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Tutaj w Bath Ladies College musimy umieć przewidywać. Teraz nie chodzi się do toalety.

— I zamknęła drzwi.

Oczy zaczęły mi łzawić. Myszko, nie bądź dzieckiem, powiedziałam sobie najgorszym, najbardziej karcącym głosem Sal. Uspokój się, i to już. Gdyby Morley wiedział, przez co musisz przechodzić, nie spędziłabyś tu nawet sekundki. Odwróciłam się, żeby Wiktoria nie widziała mojej twarzy i leżałam z mocno zamkniętymi oczami.

— Nie martw się — usłyszałam głos Wiktorii z łóżka obok. Wydawało mi się, że od wyjścia wychowawczyni upłynęły wieki. — To

tylko pani Peddie, nauczycielka angielskiego. Jest niegroźna. Miejszka na górze wieży, a Fobia na dole, w Niebieskim Skrzydle. Pani Peddie ma się nami zajmować, ale jest tak zajęta, że zwykle prosi Fobię o

pomoc.

— Wiktoria, ja muszę iść do łazienki.

— Mów na mnie Tory. Posłuchaj. Możesz nasusiać do szklanki.

Paulie i ja już tak robiłyśmy. — Pokazała na stojące na komodach

szklanki i zachichotała. — Na pełny pęcherz trzeba by ze dwie.

Bez słowa wzięłam szklankę z komody. Zsunęłam majtki i przykucnęłam nad szklanką. Oczywiście nie trafiłam. Połało mi się po ręce i prysnęło na łóżko. Pauline zajęczała przez sen.

— Trzeba trochę praktyki. — Chichocząc, Tory pomogła mi zdjąć pościel i rozłożyć na ceglany parapacie.

— Przyzwyczaisz się do tego miejsca — powiedziała i otworzyła oba wąskie okna. Otwierały się na zewnątrz za metalowymi kratami, tak że nie można było wystawić głowy. — Tam jest wąwóz. Kiedyś w płocie była dziura, ale ją naprawili. Nie wolno nam tam chodzić, bo czasami w porze lunchu w lasku stoi mężczyzna i pokazuje się dziewczynom nago — ściszyła głos. — Powiedział mi o tym brat Paulie.

— Lewis? — wyszeptalam.

— Tak. W weekendy Dziewica pozwala mu pracować w szkole, bo jest już za duży na średnią szkołę. Zresztą, nie jest moim kolegą. Ale Lewis jest zawsze tam gdzie Paulie. Paulie i Lewis nie mają rodziców.

— Och — byłam pod wrażeniem.

— Dziewica zabrała Paulie z anglikańskiego zakładu dla trudnych dziewcząt, Ridgeley House. Przekonała radę, żeby Paulie dostała u nas stypendium. A wcześniej Paulie mieszkała na ulicy. Wyobrażasz sobie? Jej brat też.

— Fajny jest jej brat? — spytałam, przypominając sobie, jak wyglądał, kiedy się golił.

— Lewis i ja kochamy się — wyszeptała Tory ochryple. —

Wiesz, jak to jest.

Pokiwałam głową, jakbym rzeczywiście wiedziała. Stałyśmy tak przez chwilę, nieśmiało dotykając się ramionami. W wąwozie na dole zauważyłam pierzaste, ciemne czubki dwóch starych sosen. Na-słuchiwałam wiatru w ich gałęziach, ale doszły mnie tylko stłumio-

42

ne dźwięki klaksonów i silników samochodowych z autostrady. Och Morley, pomyślałam, jak mogłeś pozwolić Sal zamknąć mnie w miejscu, gdzie nawet nie słyszać wiatru! Znowu zaczęło padać i Tory zamknęła okno, żeby pościel nie zmokła. Dała mi jeszcze jeden koc, w który owinęłam się, drżąc.

— Mary, nie przebrałaś się jeszcze — powiedziała cichutko To-

ry. Usłyszałam, jak odkaslnęła. — Rozumiem, wstydzisz się. No to

dobranoc. — Odwróciła się do ściany.

— Tak w ogóle to jestem Myszka — wyszeptałam.

W małym pokoiku zrobiło się nagle strasznie cicho. Do tego śmierdziało sikami. Bałam się zasnąć. Przez tę ciszę w wieży, zupełnie jak w piwnicy, czułam się nieswojo. Wydawało mi się, że ciężki smutek wydostaje się z mego serca i unosi się długim krętym korytarzem jak zbłąkany duch, szukający wyjścia.

43

Obudził mnie jakiś furkot — delikatny mechaniczny dźwięk obra-cających się maleńkich metalowych skrzydełek. Potem usłyszałam głos mojej zmarłej mamy, pierwszej Alicji, śpiewającej hymn numer 576 z „Księgi wspólnej modlitwy”\*. Napisany przez Frances Ridley Havergal.

Weź moje życie, Panie, Niech Tobie będzie poświęcone, Weź minuty, godziny i dni, Na Twą cześć nieskończone

Drżąc, wyczołgałam się z łóżka i spojrzałam na Tory. Bardzo chciałam ją obudzić, ale nie ośmieliłam się. Wymknęłam się na ko-rytarz. Było zupełnie ciemno. W odległości około dziesięciu kroków żółte światelko nie większe od robaczka świętojańskiego odbijało się od ścian wieży. Troszkę dalej zobaczyłam figurę peda-lującą na olbrzymim trójkołowym rowerze. Wyglądała jak zjawą. Dziwaczny pojazd miał z tyłu dwa małe kółka i jedno duże koło z przodu, podobnie jak rowerek dla dzieci, tyle że przednie koło było

co najmniej trzy razy większe od tylnych. Rozpoznałam rower i kobietę z portre-tu, jaki Sierżant pokazał mi na schodach. Była ubrana w tę samą długą czarną suknię z koronkowym kołnierzem, w której wyglądała jak pokojówka. Wiedziałam jednak, że nią nie była. Ktoś taki jak ona nie mógł być niczyją służącą. Miała w sobie tę samą radosną nonszalanję w kwestii stroju co dyrektorka, panna Vaughan. Jej

Księga wspólnej modlitwy — The Book of Common Prayer, podstawowa księga liturgiczna anglikanizmu, odpowiednik mszału w kościele rzymskokatolickim.

44

policzki były niechlujnie upudrowane. Przez plecy miała przerzuconą męską, skórzaną torbę. Kiedy tak się przyglądałam, jechała powoli zygżakiem, omijając pasy księżycowego światła na podłodze wieży. Przyczepiona do kierownicy staroświecka lampka, kołysząc się, oświetlała to jedną, to drugą stronę.

Wreszcie mnie zobaczyła i nacisnęła hamulec. Siwa głowa poleciała do przodu. Wydało mi się, że zjawia przeleci nad kierownicą, ale zaraz się wyprostowała i zwróciła ku mnie upudrowaną twarz.

— Wiesz, gdzie opuściłam ten świat? — pokazała zakrzywionym

białym palcem na drzwi na końcu korytarza. — W tamtym pokoju,

w twoim pokoju.

— Gdzie jest moja mama? — zapytałam.

Nie słyszałam już jej śpiewu i wydawało mi się, że jeśli będę uprzejma, to dziwne zjawisko powie mi to, co chciałabym wiedzieć. Nie odpowiedziało. Wsiadło na rower i zaczęło pedałowac. Furkot robił się coraz głośniejszy, aż wreszcie dziwna postać pędziła co sił, trzymając się pod boki. Dojeżdżając do ostatniego z pokoi ćwiczeń, nacisnęła posrebrzany dzwonek roweru i drzwi otwarły się na oścież. W środku, z dłońią na klamce, stała moja zmarła mama.

Wyglądała młodo i na troszkę zaskoczona, tak jak na zdjęciu, które wychowawczynie wyjęła z ramy lustra na komodzie. Miękkie jasne włosy, pod którymi lubiłam się chować, kiedy byłam niemowlęciem, opadały złotymi puklami na szczupłe ramiona. Rozpoznałam jedwabną bluzkę z falbankami i długą dopasowaną spódnicę sięgającą do połowy łydek. Zjawia zsiadła z roweru i obróciła się szeroki-mi plecami do mamy, która rozpięła skórzaną teczkę i zaczęła wy-mować z niej różne rzeczy. Zauważyłam oliwiarke, narzędzie podobne do klucza francuskiego i sekator. Potem usiadła na taborecie od pianina i złożyła ręce na kolanach. Starsza kobieta ostrożnie, bardzo, bardzo powoli, podniosła oliwiarke i przechyliła ją nad szyją mamy, aż nafta powoli spłynęła szerokim strumieniem po falbankach bluzki. Matka otworzyła usta i zaczęła śpiewać:

Weź, Panie, moje ręce,

Niech pracują Tobie w podzięce.

Potem starsza kobieta odstawiła oliwiarkę i wzięła do ręki seka-tor. Czułam, że zaraz stanie się coś strasznego. Zanim zdążyłam ją

45

ostrzec, wycięła dziurę w bluzce, zaraz nad sercem. Po policzku ma-my spłynęła jedna jedyna łza. W końcu krzyknęłam, ale z moich ust nie wydostało się żadne słowo. Chciałam się poruszyć, ale bose sto-py miałam przyklejone do zimnej drewnianej podłogi. Kobieta zaczę-ła wyrywać jej kępki włosów, jakby wyciągała kłębki sierści z bezna-dziejnie poplątanego kociego futra.

Nareszcie mogłam się ruszyć. Na krzywych nogach pobiegłam szybko do mamy Ale zanim dotarłam do pokoiku, dyrektorka za-trzasnęła mi drzwi przed nosem. Pociągnęłam za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Usłyszałam odgłos sekatora i stłumione krzyki. A potem nic. Nasłuchiwałam przez długą chwilę. Wciąż nic. I nagle, tak cichutko, że nie byłam pewna, czy to ona, usłyszałam łagodny głos mojej mamy. Wydawało się, że wydobywa się nie z pokoiku, ale ze ścian wieży.

Weź moje stopy, Panie,

uczyni je chryżymi ku Twej chwale.

46

Następnego poranka, po dzwonku o 7.30, panna Philips kazała nam uklęknąć na podłodze, żeby zmierzyć, czy mundurki sięgają równiutko do połowy kolana — idealna regulaminowa długość. Po-tem, bez żadnych wyjaśnień, dała mi nową pościel i wysłała nas na poranny spacer wzdłuż żywopłotu. Tory powiedziała mi wtedy, że panna Philips zawsze jest miła, jeśli wcześniej się zdenerwowała, czasami nawet podaruje gumę do żucia, co jest zabronione. Przez ca-ły czas Pauline, czy też Paulie, jak nie śmiałam jej nazywać, przy-glądała mi się podejrzliwie spod puszystej grzywki. Domyślałam się, że pogardzała moim aktem rozpacz.

Po śniadaniu zeszliśmy we trójkę krętymi schodami do infirme-rii na kontrolę lekarską. W środku zobaczyliśmy rząd dziewczyn z opuszczonymi głowami. Wszystkie były rozebrane do staników i majtek, z wyjątkiem niektórych grubasek próbujących pozostać w szkolnych bluzkach do ostatniej chwili. Kilka obróciło się i spoj-rzało na nas z przestraczem. Patrzyły na Paulie. Syknęła, po czym wyciągnęła palec wskazujący i mały w ich kierunku, co miało zna-czyć, że ma już ich dosyć. Jedna czy dwie zaśmiały się i usłyszałam, gdy szepcząc między sobą, wypowiadały słowa „ta Sykes”, jakby to było przekleństwo. Paulie gwałtownie odwróciła się tyłem i opuściw-szy fioletowe spodenki, pokazała im tyłek. Szarpnęła za rączkę na ścianie za nami i drzwiczki podniosły się do góry, ukazując coś, co przypominało wnętrze szafki kuchennej.

— Cześć, frajerki — krzyknęła Paulie i wskoczyła do wyciągu

kuchennego, z hukiem zatrzaskując drzwiczki.

Wszystkie dziewczyny zebrały się dookoła, chichocząc i rozmawiając cichymi zdziwionymi głosami.

— Nie złapią jej? — spytałam.

47

— Paulie wyjdzie, zanim dotrze do kuchni — wyszeptła Tory.

— Wyciąg przechodzi przez małe pomieszczenie, którego nikt nie używa.

Kolejka posunęła się. Znalazłyśmy się na rogu. W korytarzu stały dwie pielęgniarki w białych kitlach. Pierwsza z nich mierzyła i ważyła każdą dziewczynkę, i wykrzykiwała wyniki, a druga je zapisywała. Potem głośno, tak jakby chciała, żebyśmy wszystkie słyszały, pytała każdą po kolei, czy zaczęła miesiączkować.

Zawstydzone dziewczyny odpowiadały cichutko. Wiedziałam, co mówiły, bo gdy mówiły, że tak, druga z pielęgniarek, machając trzymaną w ręku podkładką, kazała im przyjść później do gabinetu, by podać datę ostatniej miesiączki. Wszystkie grube dziewczyny pozdejmowały już bluzki. Tuż przede mną Tory stała na wadze. W okrągłych ramionach miała dołeczki, dokładnie w tych samych miejscach co Bess, siusiąjąca lala, którą dostałam od Morleya, gdy miałam sześć lat. Zrobiło mi się żal Tory, gdy zobaczyłam jej smutną minę, kiedy pielęgniarka podała jej wagę: 140 funtów.

Zbliżała się moja kolej. Nie chciałam zdejmować sukienki, bo wszystkie gapiłoby się na Alicję albo mój nowy korektor postawy. Kupiłam go z Sal w sklepie Starkmana. Poszłyśmy razem, Sal w jednym ze swych toczków, ja o kulach. Weszłam szybko do środka, z oczami utkwionymi w podłogę, żeby tylko nie zobaczyć jakichś pałętających się tam kalek. Oczywiście, zaraz obok nas, w małej, zawalonej pudłami kabynie, smutno wyglądający mężczyzna z krostami na twarzy patrzył przed siebie. Nogi miał skurczone, jakby Sal wyprała je zbyt wiele razy. Podeszła do nas sprzedawczyni. Posłała Sal złe, zimne spojrzenie swych wodnistych, niebieskawych oczu, kiedy zauważyła, że ta przygląda się jej utlenionym włosom i nic nie mówiąc, weszła do kabiny smutnego mężczyzny.

— O, zajęte — rzuciła.

Wyjęła z pudła plecioną uprząż i pokazała mi, jak powoli zaciśnąć pasek na dole, żeby całość nie podsuwała się zbyt szybko do góry.

— Będzie ci łatwiej oddychać — stwierdziła.

Kazała mi to założyć, ale odmówiłam.

— Nie ma się czego wstydić, nie tutaj — powiedziała to auto-



rytatywnym, pogardliwym tonem, ruchem głowy pokazując, że chodzi o sklep Starkmana.

48

Rozejrzałam się wokół i zobaczyłam stoły zastawione pudełkami aż do sufitu i poskładane wózki inwalidzkie. Wpuściła mnie do kabiny zaraz po wyjściu krostowatego mężczyzny. W tej uprzęży na ciele poczułam się lepiej, poczułam się silniejsza, jak anioł, któremu wyrosły skrzydła. Mogłabym wznieść się w powietrze ponad głowę sprzedawczynie nie widzącej mojego ukrytego piękna.

— Nie zdjęłaś bluzki — odezwała się pierwsza pielęgniarka. —

Tak się trudniej mierzy.

Nic nie odpowiedziałam. Z okna widać było to samo ogrodzenie z drutu, przez które pierwszego dnia przechodzili chłopcy z Kings College i czworoboczną wieżę tej szkoły z zegarem. Tory powiedziała mi przy śniadaniu, że wszyscy nazywają zegar kłamcą o czterech twarzach, bo ze względu na siadające na jego wielkich czarnych wskazówkach gołębie nie pokazywał dobrze czasu.

— Jestem nieśmiała, tak? — zapytała pierwsza pielęgniarka, wykrzywiając twarz. Wyjęła z kieszeni taśmę do mierzenia. — Proszę, zdejmij bluzkę. A może ja mam to zrobić?

Wbiłam wzrok w moje nowe półbuty i zrobiłam, co kazała. Cały świat mógł zobaczyć golutką Alicję. I płaską zapadniętą klatkę pierśsiową.

— Dwadzieścia sześć — powiedziała, a druga pielęgniarka zapisała wynik.

Ta pierwsza spojrzała mi prosto w oczy i spytała, czy zaczęłam miesiączkować. Również patrząc jej w oczy, odpowiedziałam, że nie.

— Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Ale jesteś w jedenastej klasie. Większość dziewcząt z jedenastej klasy ma piętnaście, szesnaście lat.

— Przeskoczyłam dwie klasy.

Pierwsza pielęgniarka spojrzała na mnie zimnym wzrokiem.

— Może cię to zdziwi, ale słyszałam, że lubisz robić kawały, Mary Bradford — dodała.

Popatrzyłam na nią obojętnie. Pierwsza zaszeptała coś drugiej do ucha. Dotarło do mnie tylko „zdeformowana klatka piersiowa”. Skuliłam się, zastanawiając się, ile mogły dosłyszeć stojące z tyłu dziewczyny.

— Czy jest jakaś medyczna przyczyna tego stanu? — spytała druga pielęgniarka łagodnym głosem.

49

— Kifoza — wyszeptałam.

— Mów, proszę, głośniej.

— Kifoza. Lekarze mówią, że to wpłynęło na rozwój organizmu.

Mogę nigdy nie mieć okresu.

Z korytarza dochodziły mnie szepty tych głupich dziewczyn. Zwiesiłam głowę. Głosy brzmiały nieprzyjaźnie.

„Bardzo proszę — chciało mi się krzyknąć. — Gadajcie sobie, ile chcecie. Ja jestem zadowolona. A wy możecie sobie dorosnąć i być ko-bietami. Ja nie.”

— Wszystkie dziewczynki miesiączkują — powiedziała szybko pierwsza pielęgniarka. — Kiedy zaczniesz, przyjdź do infirmerii, wpiszemy datę do specjalnej książki.

Druga pielęgniarka poszła ze mną do innego korytarza. Za nami słychać było głosy dziewczyn, nadal szepczących na mój temat. Stałyśmy w wąskim prostokątnym pomieszczeniu. Zaskoczył mnie widok uczennic leżących na rozkładanych łóżkach. Czytały albo spały. Zastanawiałam się, kiedy zdążyły się rozchorować.

— Aparat jest całkiem nowy, ale powinnaś mieć wkładkę w bucie

— powiedziała pielęgniarka. — Pomówię z pianną Vaughan, żeby wysłała cię do mojego kręgarza. Nie jest z tobą aż tak źle.

— Nie chcę mieć dziwaczego buta — odpowiedziałam i zaczę-

łam płakać.

Objęła mnie ramieniem i zapytała, czy nie napiłabym się ciepłego mleka. Przytulona do jej miękkich piersi, wyszeptalam, że tak. Pomogła mi się rozebrać. Moja reputacja buntowniczkki rozpadła się na kawałki.

50

Rozmowa z Alicją

Przez całe życie słyszałam w głowie głos Alicji. Nawet jeśli nie chcę słuchać albo nie chcę wierzyć w to, co mówi, słyszę Alicję, tak jak czasem słyszy się to, co matka powie o czymś, co mamy zamiar zrobić.

Wydaje mi się, że ja też mogę do niej mówić, skoro i tak usłyszę wszystko, co ona powie. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła w Bath Ladies College. Albo bez prezydenta Kenned^ego.

— Alicjo, wiesz, że nigdy nie chciałam stać się kobietą.

— Wiem, ale mężczyznę też nie.

— No, nie całkiem. Chciałabym mieć wszystko, co mają mężczyźni, oprócz penisa. W przeciwieństwie do Paulie, która oprócz tego miała już wszystko.

— Czy twoim zdaniem nie chciała mieć penisa?

— Inni myśleli, że chciała, ale nie Paulie. W każdym razie nie na początku. Och, Alicjo, czy widziałaś kiedykolwiek dziewczynę, która nie zachochałaby na samo pytanie, czy nie chciałaby mieć penisa?

— O właśnie, coś mi się przypomniało. Dlaczego dziewczyny nie opowiadają żartów o penisach?

— Nie jesteś specjalnie pomocna. Wiesz przecież, że nie mam prawdziwej mamy, a na Sal nie mogę liczyć. A ten twój stary kawał już słyszałam.

Bo penis jest nie na żarty.

— Chciałam tylko poprawić ci humor, Myszko. No i pamiętaj, że mam tyle samo lat co ty.

- Przepraszam. W piersi się biję. Niech cię kot podrapie w szyję.
- No dobrze, dobrze, nie denerwuj się tak. A przy okazji, jaka jest różnica między penisem i fiutem?
- Alicja, proszę cię.

51

- Nie czepiaj się, Myszko. Penisa mężczyzna używa do robienia dzieci, a fiut to cała reszta.
- Teraz to już posunęłaś się za daleko. Nic dziwnego, że marzę o rozmowie z Prezydentem Kennedym. Założę się, że nie opowiada głupich dowcipów.
- Opowiada, opowiada, Myszko. I dobrze o tym wiesz.

16 września, 1963

Szanowny Panie Kennedy!

Pan mnie nie zna, ale ja znam Pana. Pozwoli Pan, że przejdę od razu do sedna. Jestem w kłopotcie. Jestem zamknięta w więzieniu dla kobiet, które udaje kanadyjską szkołę z internatem. Zabrać stąd powinien mnie mój własny ojciec, ale on też ma za dużo pracy i jest za dobry dla swoich pacjentów, więc dla rodziny (tzn. dla mnie) nie zostaje już nic. Na przykład nigdy nie zdarzyło mi się porozmawiać z nim, i tylko z nim, chociaż przez pięć minut. Nigdy nie było czasu. Ojciec ma pół godziny na każdy posiłek w domu, a potem pół godziny na drzemkę. Później wraca do pracy. Pracuje od 7.00 do 23.00. Również w niedziele i święta. Szczerze mówiąc, Morley (mój ojciec) wygląda na naprawdę wykończonego. Powinien schudnąć ze czterdzieści funtów i zafarbować włosy na czarno. Z oliwkową cerą wyglądałby świetnie, a policzki przestałyby mu obwisać jak dętki, z których zeszło powietrze.

Na żadnym zdjęciu nie widać, żeby był Pan wykończony. Może czasami ma Pan trochę niepewną minę — wiem, że ma Pan kłopoty z kręgosłupem. Ale nigdy nie wygląda Pan na śmiertelnie zmęczonego, tak jak Morley każdego dnia.

Zawsze sprawia Pan wrażenie wypoczętego. Gdy bije Pan brawo Caroline stojącej na rękach w Pana gabinecie albo kiedy uśmiecha się Pan do niej na zdjęciu z Hyannis Port, gdzie stoi w ślicznej, wyjściowej, białej sukience. Jeden jedyny raz widziałam ją odrobinę samotną. Caroline pije po-południową herbatkę z bratem i angielską nianią na Trawniku Południowym Białego Domu, a Pana nie ma w pobliżu. Mogę oczywiście się mylić, gdyż przez większość czasu wydaje się szczęśliwa. Zwłaszcza na

zdjęciu, na którym siedzicie razem w samochodzie. Caroline przytula się do Pańskiego ramienia i oboje patrzycie na drogę. Wyglądacie, jakby cały świat Was nie obchodził.

Pańska przyjaciółka, Myszka Bradford

52

18 września, 1963

Szanowny Panie Kennedy!

Po napisaniu pierwszego listu zdałam sobie sprawę, że przecież mogłam napisać cokolwiek, a Pan i tak nie będzie wiedział, czy to prawda. Mogłabym na przykład napisać, że jestem córką Marilyn Monroe. Albo że mieszkam w Kanadzie, kraju odkrytym przez piosenkarza Paula Ankę, który zarządza nim z igloo na wyspie Baffin, o ile nie jest akurat zajęty nagrywaniami płyt. A nasz główny przemysł to dostawy kostek lodu, żeby w Białym Domu było chłodno!!

W każdym razie obiecuję, że zawsze będę mówić Panu prawdę, Panie Kennedy. (I tak sprawdzi Pan to tylko, jeśli nas Pan tu odwiedzi.)

Poniżej opisuję Panu nasz dzień w tej dziurze — przysięgam, że to sama prawda.

O 7.00 budzi nas dźwięk dzwonka. O 7.30 musimy być już w mundurkach, gotowe na poranną kontrolę. Między 7.30 a 7.40 wychowawczynie sprawdzają pokoje, a my spacerujemy wzdłuż żywopłotu niedaleko boiska do hokeja. Wieczorem musimy gasić światło o 8.00. Przypuszczam, że nawet w wojsku jest lepiej.

Od czasu do czasu, w soboty wychowawczynie zabierają nas na tak zwane „wyjście” — na zakupy do Eaton's. Jest to duży dom towarowy w centrum miasta. Za jej plecami wszystkie dziewczyny z internatu robią zapasy gumy i papierosów. W inne dni nie możemy chodzić do miasta. Patrzymy na nie przez zakratowane okna. Jest od nas oddalone o trzy mile. W nocy światła nad brzegiem jeziora Ontario wyglądają jak łańcuch lampek choinkowych.

Szczerze mówiąc, Panie Prezydencie, jest mi trochę smutno. Chciałabym poprosić ojca, żeby mnie stąd zabrał, ale wiem, że nie posłucha. Założę się, że kiedy jedzie z wizytami po Madoc's Landing, jestem ostatnią osobą, o jakiej myśli. Gdy zamknę oczy, widzę go, jak jedzie naszym kabrioletem do sklepu przy County Road 14. Moja macocha Sal mówi, że Kanaadyjczycy francuskiego pochodzenia, którzy go prowadzą, są przekonani, iż nasz pies Lady to nowa dziewczyna Morleya. Lady siedzi tak blisko, jak tylko się da. Z zewnątrz widać tylko blond czuprynę przy ramieniu Morleya. Szkoda mi Sal. Na jej miejscu brałabym do siebie to roztargnienie, z jakim on ją traktuje. Komuś tak zmęczonemu jak Morley może się przytrafić każde nieszczęście. Muszę kończyć, bo czuję na sobie sokoli wzrok nauczycielki do brych manier.

Pańska na zawsze, Myszka Bradford

25 września, 1963

Szanowny Panie Prezydencie!

Piszę do Pana w czasie porannego nabożeństwa. Wczoraj panna Vaughan wygłosiła pogadankę o autorce religijnych hymnów, Frances Ridley Havergal. Przeczytała nudny rozdział z książki „Poranne dzwony” i mówiła, że powin-nyśmy całe oddać się Bogu, tzn. Panie Prezydencie, nie tylko nasze dusze, ale również nasze ręce, stopy, usta, oczy, uszy itd. A dlaczego? Żeby stać się wzorem cnoty. „Te małe dłonie nie będą już służyć Szatanowi, nie będą bić ani szczypać, małe nóżki nie będą kopać, tupać ani ociągać się, gdy trzeba szybko biec, by wykonać zadanie, usteczka nie będą się odymać, a język nie poruszy się, by powiedzieć coś złego.” Osobiście, Panie Prezydencie, zamie-rzam zachować swoje dłonie dla siebie, żeby móc do Pana pisać. Dzisiejsza pogadanka jest nie lepsza: historia Bath Ladies College. Ta głupia szkoła wzoruje się na Cheltenham Ladies College w Anglii, jak wiele szkół dla dziewcząt w Kanadzie. Niektóre nauczycielki, np. panna Vaughan i pani Peddie, uczyły kiedyś w brytyjskiej szkole. Teraz panna Vaughan czyta nam zabawny wierszyk o dwóch dawnych dyrektorkach:

Panno Beale i panno Buss, Strzała Amora nie trafi was! Zupelnie inaczej niż w nas, Panno Beale i panno Buss!

Wszystkie dziewczyny śmieją się. Panna Vaughan również, tak jakby nie wiedziała, że uczennice myślą to samo o niej i o pani Peddie.

W rzędzie pod północną ścianą siedzą dziewczyny z trzynastej klasy i przewodniczące klas z udrapowanymi żółtymi szarfami. Pod ścianą południową nauczycielki. Każda stara panna ma skrzyżowane nogi i ręce złożo- -ne na kolanach. My też mamy siadać w ten sposób. Jeśli nie zachowujemy odpowiedniej postawy, szargamy reputację szkoły. Na ścianie za pulpitem wisi portret Królowej Elżbiety. Ma ładniejsze włosy niż panna Vaughan, lepszy makijaż, no i ma MĘŻA.

Teraz przynajmniej znam już nazwiska wszystkich nauczycielek. A tak- -że, co ważniejsze, przezwiska, jakimi dziewczyny nazywają je za ich pleca- -mi. Panna Vaughan, dyrektorka, to Dziewica, bo nigdy nie tknęła jej męska dłoń. Dziewczyny mówią, że to na jej cześć noszą agrafki cnoty. Są to małe srebrne agrafki, które wszystkie przypinają do ubrań, gdy nie muszą zakła- -dać mundurków. Panna Charlotte Ibister, nauczycielka gimnastyki, to Ry-

ba- -młot, bo wygląda jak rekin i ma wielkie uda. Doprowadza grube dziewczy- -ny do płaczu, gdy nie udaje im się zrobić szpagatu nad koniem. Pani Peddie ma przezwisko Lola Les, bo kocha się w Dziewicy, która załatwiła jej mie- -szkanie niedaleko szkoły. Pani Peddie uczy angielskiego, biologii i Pisma Świętego.

Niektóre nauczycielki uważają ją za rozwiązłą, ponieważ jest roz-wódką. (Ja nie. Facet musiałby być wariatem, żeby umówić się z kimś ojej wy-gładzie.) Jak się uśmiechnie, widać jej dziąsła. Nosi obcisłe wełniane swe-try, a ma ogromne piersi. Wyglądają jak torpedy, które zaraz wyskoczą ze stanika. Wszystkie dziewczyny chichoczą, kiedy pani Peddie i Dziewica idą razem korytarzem. Ich duże, tłuste ciała podskakują przy każdym ruchu, a im jakby zupełnie to nie przeszkadzało. Do tego bardzo różnią się wzro-stem. Pani Peddie jest niska i zawsze się uśmiecha, a wysoka Dziewica ma po-nurą minę. Wyglądają jak figurki w szwajcarskim zegarze z kukułką: jedna za-powiada słońce, a druga ulewę.

Wiem, że nie powinnam sobie pozwalać na taką poufałość, bo jest Pan wysokim urzędnikiem państwowym, Panie Prezydencie, ale czy myśli Pan, że jak zostanę tu dłużej, to zmienię się w starą wiedźmę? Kilka lat w tej no-rze i nawet nie zauważasz, że chodzisz w tej samej głupiej bluzce, którą za-kladałaś na nabożeństwa dwadzieścia lat temu. Nie ma tu mężczyzn, któ-rzy mówiliby komplementy, więc zapominasz, że masz ciało i twarz, na które patrzą ludzie. (Oczywiście z wyjątkiem innej les).

Niektóre wychowawczynie z internatu są beznadziejne. Panna Philips, zwana Fobią, nie używa dezodorantu. Czyści plamy na ubraniach naftą, bo szkoda jej pieniędzy na pralnię. Nie cierpię jej, bo zasady jej się mieszają i nie pozwala nam wychodzić do łazienki po zgaszeniu świateł. Tak więc widzi Pan, Panie Kennedy, powoli nabieram wprawy. Nie znam jeszcze imion i nazwisk wszystkich dziewczyn. W mundurkach wszystkie są ta-kie same.

Serdeczne pozdrowienia, Myszka Bradford

26 września, 1963

Drogi Panie Kennedy!

Pewnie Pan o tym nie wie, ale Morley też jest pisarzem. Nie wydał co prawda dwóch książek, tak jak Pan (wiem na przykład, że „Dlaczego Anglia spała” opublikowano, kiedy miał Pan tylko dwadzieścia trzy lata — dziesięć lat więcej niż ja!). Morley pisze każdego tygodnia do „Biuletynu Madoc's Landing”. Jego rubryka nazywa się „Przy łozu chorego”. Przykład:

55

„Mimo przeciwnych twierdzeń kręgarzy i osteopatów, nie ma powodów, aby stwierdzić, na podstawie istniejących dowodów, że niektórzy lekarze traktują szarlatanów, o których wspomniałem, na poważnie”.

Zdania Morleya są troszkę zagmatwane. Pan, Panie Prezydencie, pisze bardziej przejrzyście. Na przykład:

„A zatem, rodacy, nie pytajcie, co kraj może zrobić dla was, lecz co wy możecie zrobić dla swojego kraju”.

Zauważyłam, że lubi Pan zdania o budowie równoważnej. Stosuje je Pan, by wywołać u odbiorcy wrażenie logicznego sensu i sprawiedliwości. To sztuczka dobrego mówcy. Nie mogę powiedzieć tego o Morleyu, ale on ma inną pracę. Musi obniżyć ludziom ciśnienie. Dużo poplątanych słów i orga-nizm musi

trochę zwolnić, jeśli rozumie Pan, co mam na myśli. Zwolnić i zastanowić się nad tym, co Morley powiedział. Jak na lekarza Morley pi-sze całkiem dobrze. Z drugiej strony mógłby czasem spróbować wziąć z Pa-na przykład, a Pan — proszę wybaczyć moją śmiałość — urozmaicić trochę budowę zdania.

Najgorsze w pisaniu Morleya jest to, że nigdy nie pisze do mnie. Ale cóż, c'est la vie.

Ściskam, M.B.

PS Inne podobieństwa między Panem i Morleyem. W kwestii bohater-stwa. Morley wygrał Międzyszkolne Mistrzostwa Futbolowe w meczu Var-sity przeciw McGill. Na dwie minuty przed końcem gry strzelił zwycięską bramkę z odległości 43 jardów. Morley został bohaterem dnia. Tak jak Pan wtedy, gdy uratował Pan jednego ze swoich ludzi z tonącej łodzi torpedowej, trzymając linę w zębach.

Dzięki tym listom przestałam przynajmniej czekać, że Morley ode-zwie się i powie, że mogę wracać do domu. Wiedziałam, że nie było ta-kiej możliwości. Nie po tym, jak w drugim tygodniu pobytu w szkole dostałam kartkę od Sal.

Kochana Myszko,

Na pewno zdążyłaś już polubić szkołę. Dyrektorka mówiła nam, że dziewczynki często bardzo przeżywają pożegnania, ale szybko się przyzwyczajają. Morley prosi, żeby ci przekazać, że na Boże Narodzenie wybierze-my się do Nassau i będziemy się dobrze bawić. (Tak teraz mówi ten pierw-szy rozrzutny, ale obie wiemy, że to nic pewnego, prawda?). Nie nastawiaj

56

się, że będziemy często przyjeżdżać, Myszko. Ani ja, ani Morley nie lubimy Toronto. Zbyt wiele tam podejrzanych lokali, w których tylko czekają na ta-kich biedaków z prowincji jak my. Morley nie mógł doczekać się powrotu do domu i spotkania z Lady.

Pozdrawiam, Sal

Na górze nabazgrane było jakieś zdanie, zupełnie nie do odszy-frowania. Wiedziałam, że to pozdrowienia od Morleya. Wypisywał tyle recept, że jego pismo zrobiło się nieczytelne.

57

Wiem, wiem, znowu zaczynam się rozgałęziać, a przecież powin-nam zająć się wyczynem Paulie. Ale niełatwo było mi przyzwyczać się do szkoły i internatu. Na samym początku wszystkie nowe mu-szą zapoznać się ze słownictwem, czyli nauczyć się słów, jakich nig-dy wcześniej się nie słyszało, słów oznaczających uczucia i rzeczy, o których nie przyszłoby nam do głowy mówić głośno.

Szajba, kulawi i les



les — wszyscy myślą, że dziewczyny ze szkoły właśnie takie są

szajba — fajny, super

niuniuniu — chłopak tak przystojny, że nie da się opisać słowami

kulawy — ktoś, kto taki nie jest

bananorama — kawałki przejrziałych bananów, którymi Paulie rzuca w inne dziewczyny

dreńwota — nasze życie w Babskiej Ciupie, czyli w Bath (Ladies) Col-lege

niesamowity — jedyne słowo znane mi przed przyjazdem tutaj (oprócz słowa fajny)

Po drugie, trzeba było nauczyć się zupełnie nowych manier, znacznie przesadzonych w stosunku do normalnie obowiązujących. A kiedy wychowawczynie odwracała się tyłem, trzeba było mieć wy-starczająco dużo odwagi, żeby wszystkie nowe zasady po prostu wy-rzucić przez okno. Przykładem może być jedzenie bananów. W każ-dy czwartek dostawałyśmy na deser galaretkę, a w piątki owoce. Stąd właśnie Paulie brała banany, którymi w piątkowe popołudnia rzucała w Ismay Thom na lekcjach matematyki.

— Może masz ochotę na banana, Mary Beatrice?

58

— Nie, dziękuję, panno Vaughan.

Dziewica spojrzała żałośnie na paterę z owocami, którą kucharka postawiła na głównym stole. Z naprzeciwka przyglądała nam się z uśmiechem na twarzy Ismay Thom, Angielka.

Ismay Thom była prymuską z muzyki. Paulie jej nie znosiła. Ismay mieszkała obok nas. Zawsze unosił się wokół niej zapach talku. Każde-go dnia w sąsiednim pokoju ćwiczyła na pianinie, aż ściany się trzę-sły. „Jamaican Rumba” wzruszała mnie kiedyś do głębi mego mysie-go serduszka, a teraz robiło mi się od niej niedobrze. To Ismay Thom śmiała się z Paulie i mnie, kiedy przed wyjściem na niedzielne nabo-żeństwo zakładaliśmy nasze granatowe kapelusze i płaszcze. Jej rodzi-ce byli ateistami, więc mogła zostać wtedy w domu. I to właśnie mądra-lińska Ismay besztła Paulie za jej niechlujną wymowę.

— Czy pani ma ochotę na banana, panno Vaughan? — Ismay

uśmiechnęła się głupkowato.

— Dziękuję, Ismay. Nie odmówię.

Panna Vaughan położyła banana na talerzyku, jak gdyby parzył jej palce. Wbiła w niego widelec, odchylając przy tym mały palec. Sal często powtarza Morleyowi, żeby tego nie robił. Nigdy jeszcze nie wi-działam, żeby ktoś jadł banana nożem i widelcem. Zastanawiałam się, co Sal powiedziała o

manierach panny Vaughan. Może spodobałoby jej się to i kazałaby nam z Morleyem jeść banany w ten sposób. Potem szybkim, nerwowym ruchem odrąbała nożem obie końcówki.

— Jak ci się podoba w naszej szkole, Mary Beatrice? — spytała.

— Znacznie różni się od tej, do jakiej jestem przyzwyczajona — odpowiedziałam, przyglądając się, jak obiera banana. Skórka opadała na talerz długimi paskami.

— To przechodzi, prawda, Ismay?

— O, tak — odpowiedziała Głupia Ismay.

Banan na talerzyku Dziewicy wyglądał jak opuchnięty język. Me-todycznie, bardzo powoli, Dziewica zaczęła go kroić — ciach, ciach, ciach. Po chwili był już podzielony na osiem identycznych kawałków, jakby pokrojony jakimś mechanicznym narzędziem.

Przy całym stole słychać było dźwięk porcelany, dziewczyny kro-iły i jadły banany, prawie ich nie dotykając. W jakimś miejscu jadal-ni Paulie robiła dokładnie to samo, ale jakoś nigdy nie pomyślałam, żeby jej poszukać.

Potem Dziewica starannie odłożyła sztucce po lewej stronie tale-rza i wstała. Rozmowy umilkły i dziewczyny zaczęły wstawać przy ogłuszającym hałasie szurających krzesel. Ja również się podnio-łam. Panna Vaughan przyglądała nam się badawczo bez mrugnię-cia okiem. Uśmiechnęła się. Jakby nagle po burzy pokazało się słoń-ce. Atmosfera rozluźniła się. Panna Vaughan zmówiła swym cichut-kim, dziewczęcym głosikiem krótką modlitwę i wyszła. Oczy wszyst-kich utkwione były w jej szerokich plecach. Uśmiechnięta pani Peddie podreptała za nią do pokoju nauczycielskiego z dwoma fili-żankami gorącego kakao. Idzie Lola Les, pomyślałam, wypróbowu-jąc nowe słowo. Z naprzeciwka zawołała mnie Ismay Thom.

— Mary Beatrice, nie zrozumiałaś, o co jej chodziło. Kiedy pyta, czy chcesz banana, powinnaś powiedzieć: Nie, dziękuję. Czy pani ma ochotę na banana, panno Vaughan? W ten sposób dostanie go pierw-sza. Jasne? — Ismay zaśmiała się złośliwie. — Myślałam, że obja-śniła ci to, zanim jeszcze tu przyszłaś. To twoja ciotka, prawda?

— Nie, daleka kuzynka — odpowiedziałam.

Stałam ze spuszczoną głową, żeby nie widzieć spojrzeń wycho-dzących dziewczyn. Zawsze czekałam, aż ostatnia z nich opuści ja-dalnię, bo nie chciałam, aby ktokolwiek zauważył, że idąc, pochylam się lekko w

lewo. Jakby tego było mało, pielęgniarka zamówiła dla mnie nowe ortopedyczne półbuty. Normalne „oksfordy”<sup>\*</sup> były już wy–starczająco niewygodne, ale te oksymorony okazały się ciężkie jak męskie buty. Ponadto podwyższenie w prawym obcasie sprawia, że stopa wygląda na zdeformowaną. W chwili, gdy zaczęło mi się robić żal samej siebie, ktoś walnął mnie z całej siły w tyłek.

— Nie bądź taką snobką, Myszko! Poczekaj na mnie.

Aż podskoczyłam. To była Tory. Tak się wystraszyłam, że prze–wróciłoby mnie dotknięcie piórkiem. Wydawało mi się, że w jadalni już nikogo nie było. A tymczasem została tu Tory. Szła, chichocząc i powłócząc nogami, bo tylne części butów miała jak zawsze przy–gniecione. Dzięki temu mogła wsuwać je na nogi jak kapcie, bez za–wracania sobie głowy zawiązywaniem sznurowadeł. Za każdym ra–zem, gdy panna Vaughan mijiała Tory w korytarzu, wzdychała „Och, Wiktoria”, widząc jej przydeptane pantofle, oberwany rąbek sukien–ki i podkolanówki zwinięte w obwarzanki (nie mówiąc już o szkol–

oksfordy —rodzaj półbutów.

60

nym krawacie, z którego powyciągane były wszystkie fioletowe nit–ki). Nie wiadomo dlaczego, ale w tym niedbałym stroju Tory wcale nie prezentowała się źle. Zawsze wyglądała kobieco, dzięki jaśniu–teńkim jak mleko włosom i pełnym policzkom, które rumieniły się, gdy ktoś jej dokuczał.

Tory wzięła mnie za rękę i pochyliła się ku mnie, podobnie do Lady przytulającej się do Morleya. Cichym głosem powiedziała, jak bardzo się cieszy, że mieszkam w internacie na stałe. Pauline jeździ–ła w weekendy w odwiedziny do dziadków, więc oprócz mnie i Lewi–sa Tory nie miała z kim porozmawiać. Oczywiście, musieli być os–trożni, bo inaczej Dziewica nie pozwoliłaby Lewisowi pracować do–rywczu w szkole. Przyznała mi się też, że trochę się boi, bo panna Ibister poprosiła ją, by zastąpiła chorą na grypę napastniczkę dru–żyny hokejowej.

— Mamy grać z Amazonkami! — powiedziała, ściskając mnie za ramię.

Z okna jadalni widać było grupę wysokich, barczystych kobiet, tłoczących się na boisku do hokeja. Zwróciłam na nie uwagę już w dniu przyjazdu do szkoły. Tory powiedziała mi, że to nauczycielki wuefu z uniwersytetu, które panna Ibister sprowadziła, żeby nasza drużyna hokeja na trawie miała z kim trenować przed finałami. To–ry nie rozumiała, jak można żądać, by stawiała czoła komuś takiemu. W pełni się z nią zgodziłam. Nie, żebym znała się na hokeju. Nigdy wcześniej w to nie grałam. Miałam za zadanie obserwować mecz z bocznej linii jako pomocnik numer jeden panny Ibister. Ze wzglę–du na Alicję nie mogłam uprawiać sportu, ale panna Ibister wpadła na ten pomysł, żeby włączyć mnie do gry.

Powiedziałam Tory, że szkoda, iż tacy entuzjaści jak panna Ibi–ster nie są w stanie zrozumieć, że są pewne granice.

61

aa

A teraz, Myszko, powiedziałam do siebie najsurowszym głosem Sal, musisz przestać myśleć tylko o tym, jak wyglądasz w tych dziwacznych butach. Nie ma co zachowywać się jak pies z podkulonym ogonem, który najchętniej uciekłby do lasu, by tam zdechnąć. To prawda, że twoje ciało nie jest najpiękniejsze, ale pewnego dnia Morley zrozumie, ile wycierpiałas, i wynagrodzi ci to. Korzystaj więc, ile się da. Nie martw się, że jest październik, twoja ulubiona pora roku w Madoc's Landing. Zajmij się obieraniem pomarańczy dla zawodniczek i udawaj, że interesujesz się tym głupim sportem.

Mocno zbudowane wuefistki galopowały po boisku, tnąc kijami powietrze na prawo i lewo, nie podnosząc ich jednak zbyt wysoko, by nie przekroczyć granicy faula. Tory miała rację. W porównaniu z nimi dziewczyny ze szkoły przypominały jakieś małe piskliwe zwierzątka, mimo że nasze zawodniczki były w większości dość masywne i miały potężne, umięśnione uda jak panna Ibister.

Na nasypie za nami dziewczyny podskakiwały, wykrzykując „Naprzód Bath! Naprzód!”. Dziewczyny, które nie mieszkały w internacie, zebrały się osobno na porośniętym trawą wzgórzu. Spoglądały ukradkiem na Lewisa, który, oparty wygodnie o ściankę szopy na sprzęt do hokeja, w czapce z daszkiem założonej tyłem do przodu raz tylko spojrzął na rozszeptane stworzonka.

Nagle nasza drużyna znalazła się pod bramką przeciwniczek i nawet dziewczyny spoza internatu skoczyły z krzykiem na równe nogi. Wydaje mi się, że był to popis przed Lewisem, bo w ich głosach nie słychać było prawdziwego entuzjazmu. Wiedziały przecież, że to szkoła dla dziewcząt, nie dla chłopców, gdzie uprawianie sportu to wstęp do gry dorosłych mężczyzn, gry w wojnę.

62

Szczerze mówiąc, nie jestem pewna

Muszę teraz znów trochę się rozgałęzić i opisać miejsce Tory w hierarchii obowiązującej wśród dziewczyn z Bath Ladies College. Pozycja taka zależała od dwóch rzeczy: wyglądu i miejsca zamieszkania. Na przykład grube dziewczyny prowadziły drużyny i szkolne kluby. Mieszkały w większości w internacie i szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy tyły od bogatego w skrobienie stołkówkowego jedzenia, czy zawsze takie były. Ładne dziewczyny były zazwyczaj spoza internatu. Nikim nie kierowały, wykonywały raczej mniej ważne zadania. Miały chłopaków i nie dbały o reputację szkoły, na przykład nigdy nie ustępowały miejsca w autobusie. Robiły tak tylko prymuski i przewodniczące klas. Potrafiły się zachować, jak mówiono w szkole.

Nikt nigdy nie powiedział tego głośno — bo rozumiało się to samo przez się — że Tory to ładna dziewczyna, która nigdy nie została przewodniczącą klasy. Nie tylko z powodu niedbałego stroju. W przekłutych uszach nosiła srebrne koła, a kiedy panna Phillips powiedziała jej, że regulamin szkoły zakazuje biżuterii, Tory klóciła się, że musi je nosić, bo inaczej zarosną jej dziurki. Była też

nieodpowiedzialna. Zostawiała ogryzki jabłek w szufladzie z bielizną i zawsze gubiła brązowy zeszyt służący do zapisywania zadań domowych. Ale wszystkich traktowała tak samo jak mnie — jakby się było kimś ważnym. Kiedy ktoś mówił jej komplement, zawsze żartowała, jaka jest beznadziejna. A jeśli ją krytykował, uśmiechała się tylko miło i zgadzała z tym, co powiedział. Nic dziwnego, że Paulie ją kochała i starała się chronić, sprzątając bałagan, jaki po sobie zostawiała. Każdego ranka Paulie poprawiała pościel na łóżku Tory, aby ta nie dostała nagany za bałagan. Godzinami wysłuchiwała narzekań na ojca, dyrektora Kings College, który chciał, by Tory była najlepszą uczennicą.

Paulie nie miała miejsca w hierarchii, bo nie wiedziałyśmy, co o niej myśleć. Jeśli chodzi o mnie, byłam nowa, kuśtykałam i miałam krzywe ramię. Wymarzony kąsek dla stojącej obok mnie panny Ibister, z podkładką na papiery w dłoni i gwizdkiem w ustach, głośnie gwizdnęła tak, że bębny pękają, gdy tylko któraś z zawodniczek popełni jakiś błąd.

Wracając do meczu, nasza drużyna atakowała właśnie bramkę przeciwniczek. Obrończynie w ochroniaczach przypominała jakiegoś

co  
\_\_\_\_\_ \t\_j -----

stawonoga. Z wściekłością wyrzuciła piłkę ze swojej strefy. Nagle wysoka wuefistka o posturze małpy odłączyła się od grupy i rzuciła się w stronę naszej bramki, aż wszyscy zebrani na nasypie krzyknęli.

Wtedy to na kamiennych schodkach za boiskiem pojawiła się Dziewica. Szła wzdłuż nasypu, wołając gniewnie do obrończyni, żeby trzymały kij przy ziemi. Miała na sobie ten nietwarzowy czarny kostium.

Spojrzałam na boisko. Jedna z naszych obrończyni zatrzymała napastniczkę, a Tory biegła właśnie z piłką. Zwalista napastniczka zaczęła gonić Tory, wymachując kijem, jakby chciała uderzyć ją w tyłek. Zdawało się, że Tory, ucieka od nas wszystkich, biegnąc po zwycięstwo. Aureola jasnych włosów przywodziła na myśl dmuchawce. Miała na sobie zielone spodenki i fioletowe podkolanówki naciągnięte na ochroniacze na łydkach, tak że nawet jej szczupłe kostki wyglądały grubo.

Nagle stało się coś złego. Tory zaczepiła prawą nogą o kij kobiecy i upadła twarzą na boisko. Panna Ibister zagwizdała i zawodniczki stanęły w miejscu jak części zepsutego zegara.

— Tory upadła! — krzyknął ktoś. Wszystkie ruszyły w kierunku środka boiska i Tory zniknęła za falangą kobiecych ciał.

Dziewczyny na nasypie wołały: „Dwa, cztery, sześć, osiem! Kogo tu podziwia się? Tory! Tory!”

Panna Ibister gwizdnęła mi prosto do ucha.

— Nie stój tak! Przykryj ją tym, a ja biegnę po pielęgniarkę! —

podawała mi szorstki wełniany koc i popchnęła mnie w stronę leżącej w dziwnej pozie Tory.

Miała sine usta, jakby było jej zimno. Pochyliłam się nad nią, udając, że jestem Morleyem w czasie domowej wizyty.

— Nie może oddychać — powiedziałam do nie wiadomo kogo, przechyliłam jej głowę do tyłu i uniosłam szczękę. Policzki natychmiast znów się zaróżowiły i Tory złapała oddech.

Okazało się, że język zaklinował jej się w gardle. Sal zawsze mówiła, że mam zręczne dłonie, ale cały czas zastanawiam się, skąd wiedziałam, co i jak zrobić. Musiałam przeczytać o tym w jednym z podręczników Morleya i zachować w pamięci, żeby wykorzystać w marzeniach, w których widziałam siebie, jak ratuję czyjeś życie. Przejęłam też jego sposób zachowania, specyficzne ułożenie ramion i uspokajające sprawdzanie pulsu.

64

Tory nieporadnie uniosła głowę. Ktoś krzyknął z radości. Nagle dwie dziewczyny niosące tacę z pomarańczami odepchnęły mnie w tłum. Kobięce ciała zaślониły mi niebo. Sięgałam głową niewiele ponad rzędy piersi rozpychających ich bluzy — niektóre były duże i wesołe jak dynie; inne, w sztywnych, spiczastych stanikach, przy-pominały jakieś niebezpieczne narzędzie, którym można otworzyć ludzką czaszkę.

Przez boisko biegła do Tory szczupła blondynka o twarzy podobnej do pyszczka małej rybki. Towarzyszyli jej szkolna pielęgniarka i lekarz. Wszystkie dziewczyny i przysadziste wuefistki obróciły się, by na nich popatrzeć. Sal z pewnością nazwałaby jasnowłosą kobie-tę ślicznotką. Obcisły granatowy kostium, buty na wysokich obca-sach i szczupłe nogi w pończochach ceglatego koloru zrobiłyby wrażenie nawet na Morleyu. Zgadłam, że to mama Tory. Bez słowa pa-trzyła, jak woźny Willy i Lewis ułożyli Tory na noszach i ją zabrali.

Tłumek dziewczyn ruszył za nimi, ale Dziewica zawołała je z po-wrotem. Przez chwilę stała w milczeniu. Jej stara, ubrudzona kredą spódnica powiewała na wietrze. Wreszcie powiedziała:

— Dziewczęta, koniec gry. W stołówce na wszystkich czekają pączki i napoje.

Uwielbiałam szkolne pączki, ale nikt nie spytał, czy z nimi idę, więc odeszłam powoli ze spuszczoną głową. Miałam nadzieję, że ktoś z zasmuconej gromadki jednak mnie zawoła.

65

Siedziałam w wysokiej trawie przy płocie odgradzającym teren szkoły od wawozu. Gdyby Virginia Woolf chodziła do Bath Ladies College, z pewnością wybrałaby właśnie to miejsce. Przyznaję, nie była to prawdziwa wieś, jak wietrzne plaże i wyspy o brzegach porośniętych sosnami, skąd pochodzimy z Morleyem. Ale rosły tam przynajmniej ciemiężyki i dzikie astry, zaś ogrodzenie w tej części terenu było zrobione z polnych kamieni, nie z drutu. Chodziły słu-chy, że Sir Jonathon płacił rolnikom dolara za każdy przyniesiony z pola kamień, przy czym liczba kamieni w płocie wynosiła dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a jeden dolar w tym czasie równał się tygodnio-wym zarobkom rolnika.

Podobały mi się ekstrawagancje Sir Jonathona. Nie tylko dlate-go, że zaszokowałyby Sal. Byłam spragniona wiadomości o kimś, kto mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Upewniłam się, czy nikt mnie nie widzi, położyłam się na trawie i wyjęłam paczkę papiero-sów Sweet Caps. Niegrzeczna z ciebie dziewczynka, Myszko, pomy-ślałam, zapalając papierosa. Nie zdążyłam nawet porządnie się za-ciągnąć, gdy krzyknęłam. Przede mną z szerokim uśmiechem na twarzy stał Lewis. Brakowało mu jednego zęba. Uzębienie Paulie było w lepszym stanie, ale teraz, gdy wiedziałam, że są bratem i sio-strą, rodzinne podobieństwo było bardziej oczywiste. Przykucnął ko-ło mnie, tak że pośladkami dotykał kostek u nóg.

— Mogą cię za to wyrzucić. — Był naprawdę pod wrażeniem.

— Nie miałabym nic przeciwko — pokiwałam głową.

Lewis wyjął paczkę tytoniu Drum i zaczął skręcać papierosa. Wydawało się, iż zdaje sobie sprawę, że mu się przyglądam, i nie zwracał na to uwagi. Muszę uważać, powiedziałam sobie, bo jeszcze

66

pomyśli, że jestem nim zainteresowana seksualnie. A przecież nie byłam, Alicjo, prawda?

— Widziałem, co zrobiłaś. — Wprawnym ruchem zapalił papie-rosa, pocierając zapałkę o pogniecione pudełko. — Dobra robota.

— Co z nią będzie? — spytałam.

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami i spojrzał ponuro na budy-nek szkoły wznoszący się nad trawnikiem jak więzienie. — Może bę-dzie musiała wrócić do domu, wydostać się z tego pudła. Przy okazji chciałbym poprosić cię o przysługę.

— Tak? — Jeśli chodzi mu o moje ciało, to czeka go niespodzian-ka. Troszkę zdenerwowana przygotowywałam się do ewentualnej odmowy.

— Czy możesz jej to dać? — Podał mi kopertę z dziwnym, dziecięcym rysunkiem przedstawiającym dziewczynkę i małpę z długim ogonem. Z przodu dużymi drukowanymi literami napisano: Dla mojej dziewczyny, Wiktorii. Z tyłu były jeszcze jakieś obrazki i litery. Najpierw myślałam, że to ZP (zapieczętowane pocałunkiem). Ale kiedy przyjrzałam się z bliska, przeczytałam: KONG ŻYJE, NIECH ŻYJE KONG. Lewis zaśmiał mi się w twarz. — Nie martw się, dzieciaku. Tory rozumie moje żarty. Jesteśmy z tej samej gliny.

— A co to za glina? — zapytałam, ostrożnie chowając list do kieszonki szkolnej bluzki.

— Wolne duchy. Jak James Dean. Wiesz chyba, kto to jest?

Pokiwałam głową. Lewis splunął i rozdeptał niedopałek. Rozgniótł go kompletnie. Ja też przycisnęłam fajkę moim wielkim, ciężkim półbutem. Papieros nadal się tlił.

— Filtry dłużej się palą — powiedział Lewis i przycisnął niedopałek butem. Przyglądał mi się, jakby chciał mnie pocałować, więc wyciągnęłam rękę na pożegnanie, a on ucałował ją z kpiącym śmiechem na twarzy.

Patrzyłam, jak odchodził ścieżką pomiędzy drzewami. Na dole wąwozu zatrzymał się, odwrócił i pomachał do mnie. Przypominał fi-gurki ze swoich gryzmołów: dwie nogi, dwie ręce i głowa. Chłopak. Osoba, którą kocha Tory, pomyślałam. Ona ma Lewisa, a ja nie mam nikogo. Znów poczułam się okropnie.

67

Pospiesz się, Bradford — Pauline syknęła, gdy wchodziłam za nią do kuchennego wyciągu. Zatrzasnęła drzwiczki z przerażającym hukiem. Siedziałyśmy przykucnięte, z kolanami pod brodą, w pokoiku wielkości starodawnej lodówki. Paulie zaczęła ciągnąć za ciężkie ko-



nopne liny, przyglądając mi się podejrzliwie, jakby spodziewała się, że zacznę płakać i zdradzę naszą obecność tutaj. Patrzyłam więc w ciemnościach w górę szybu, starając się nie zwracać uwagi na to, że podnośnik kotłowe się powoli jak wagonik metra. Usłyszałam cię- che pobrzękiwanie i skrzypienie, po czym podnośnik zatrzymał się i coś jakby wpasowało się na swoje miejsce. Paulie podważyła zewnętrzne drzwi korkociągiem i wyszliśmy do ciemnego hallu.

Z okien widać było zaniedbany teren na tyłach szkoły, gdzie nie miałyśmy prawa wstępu. Bywali tam tylko dostawcy. v

Paulie położyła palec na ustach. Przyglądając mi się bacznie, wskazała na zamknięte drzwi. Rozpoznałam drzwi do jednego z pokojów w infirmerii. Paulie ostrożnie je otworzyła. Weszłam za nią do dużej sypialni. Na drugim łóżku spała dziewczyna z jasnymi, kręconymi włosami. Była to Asa Abrams, jedyna Żydówka w całej szkole. Biedna Asa większość czasu spędzała w infirmerii. Przeszliśmy cię-chutko obok jej śpiącego ciała. Nocne niebo w małym okienku za łóżkami potyskiwało różowo od świateł miasta. Na nasze szczęście Tory nie spała. Siedziała na łóżku w piżamie w kropki i różowej podomce. Kiedy się zbliżyliśmy, Paulie położyła jej rękę na ramieniu i długo patrzyły sobie w oczy. Wreszcie Tory powiedziała, żebym podeszła bliżej.

— Poprosiłam Paulie, żeby cię ze sobą wzięła. Dziękuję za pomoc w sobotę, Myszko. — Tory nigdy nie mówiła do mnie po nazwisku jak pozostałe dziewczyny. Mam nadzieję, że to nie z litości.

68

Kiwnęła głową w stronę Paulie, która nie odrywała oczu od twarzy Tory. — Myszka pomoże ci z wypracowaniem, prawda, Myszko?

— Tak — wyszeptalam, nie wiedząc za bardzo, co Tory ma na myśli, ale rozumiejąc, iż mam ją zastąpić. Podobało mi się to, bo wreszcie poczułam, że mnie trochę lubią.

— Lewa noga jest złamana w dwóch miejscach. — Tory odsunęła kołdrę i zobaczyliśmy jej sztywno wyciągnięte nogi w gipsie. Wyglądały jak wielkie białe poczwarki. — Mam zerwane więzadło

w prawej kostce, co jest niewiele lepsze. Do końca semestru będę w domu.

Znów zrobiło mi się smutno. Na myśl o szkole bez Tory poczułam się zagubiona. Paulie czuła chyba to samo, bo opuściła swą ciem-nowłosą głowę. Wtedy przypomniał mi się liścik od Lewisa.

Dałam go Tory i razem z Paulie przyglądałyśmy się jej, gdy czytała. — Lewis chce, żebym dała mu swoje zdjęcie. — Podała list Paulie, która zaraz schowała go do kieszeni. — I chce wiedzieć, dlaczego trzymam na komodzie zdjęcie chłopaka. Skąd wie, że mam tam zdjęcie mojego brata?

— Lewis może wejść, gdzie tylko chce — szepnęłam ku ich zaskoczeniu. Opowiedziałam im, jak pierwszego dnia spotkałam Lewisa w łazience. Obie słuchały uważnie. Zwłaszcza Paulie.

— On się niczego nie boi — stwierdziła Tory. — Wejść do naszej łazienki pod nosem Phillips! — Złapała mnie za rękę. — Myszko, myślisz, że kładł się na moim łóżku? — Zaczęła chichotać niepomownie. — A może zaglądał do torby na brudne ubrania?

Nagle z drugiej strony pokoju Asa zakaszła dwa razy, bardzo znacząco. — Na podłogę — syknęła Tory. Paulie i ja położyłyśmy się pod łóżkiem Tory i nasłuchiwałyśmy. Kaszlenie ustało. Zaskrzypiały drzwi.

— Wszystko w porządku? — zapytała pielęgniarka. — Wydaje mi się, że słyszałam jakieś głosy.

— Zgadza się. Chyba mówiłam przez sen — odparła Tory.

— Już dobrze, Wiktoria, odpoczywaj.

Drzwi zamknęły się. Spojrzałam na Paulie. Znów mi się przyglądała, już nie z wrogością, ale z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie rozumiałam.

69

W głębi duszy byłam pewna, że Bath Ladies College to nie zwykła szkoła, ale wehikuł czasu, z którego nie można się wydostać. Świat zewnętrzny cały czas się zmienia, a w środku wszystko pozostaje takie samo. Dlatego wychowawczynie i nauczycielki wyglądają idenetycznie jak na zdjęciach z albumów klasowych sprzed dwudziestu lat. I dlatego dziewczyny takie jak ja nie mają nadziei, że kiedyś po prostu wrócą do domów.

Sir Jonathonowi przez myśl by nie przeszło, że jego piękny dom stanie się więzieniem dla szczęśliwych dziewczyn. Na początku, gdy miał jeszcze pieniądze, planował budowę wieży w stylu szkockim (oprócz tej niby normandzkiej wieży, w której mieszkałam), toru do gry w kręgle, stajni dla stu koni oraz stworzenie zwierzyńca, takie-go samego, jaki królowa miała w zamku Windsor.

Dziewica próbowała wykorzystać uroki tego miejsca. W czasie letnich wakacji i na Boże Narodzenie hali i foyer były otwarte dla publiczności. Zdaniem rady za mało się starała, ale zarzuty te były niesprawiedliwe. Robiła tyle, ile w tych warunkach się dało. W ogromnej bibliotece Sir Jonathona odbywały się śluby starszych dziewczyn. Wszystkie pomagałyśmy wtedy ustawiać krzesła.

Starsze uczennice, które podczas różnego rodzaju uroczystości pełniły rolę przewodników gości, opowiadały nam o fanatycznym podejściu Sir Jonathona do czystości. Kazał na przykład zainstalować gazowe kominki, bo uważał, że przy paleniu drewnem za bardzo się brudzi. Z tego samego powodu piec węglowy został umieszczony poza zamkiem i był z nim połączony specjalnym tunelem. Na jego polecenie zainstalowano także centralny system odkurzania działający dzięki ulokowanemu w piwnicy automatowi ssącemu na wodę. Obecnie system ten nie był używany ze względu na wysokie koszty,

70

ale na ścianach klas wciąż znajdowały się mosiężne oprawki otworów ssących.

Sir Jonathon był kawalerem. Może, podobnie jak ja, nie miał najlepszego zdania o kobietach. Co by pomyślał, gdyby wiedział, jak się pocimy i przeklinamy pod nosem starą Rybę-młot, kiedy każe nam zwieszać się na linach i skakać przez konia na przeszkłonej we-randzie? Sir Jonathon kazał przykryć ją kopułą z witraży i przeprowadzić w ziemi w skrzynkach na sadzonki specjalne rurki, żeby zapewnić ciepło egzotycznym roślinom. Teraz było tu tylko kilka plastikowych roślin doniczkowych. Ciekawe, czy spodobałoby mu się, że we wspaniałej łazience kosz na śmieci wypchany jest po brzegi brązowymi torebkami ze zużytymi podpaskami, w tej samej łazience, w której kazał zamontować półeczkę z białego karraryjskiego marmuru pod pierwszy w Toronto telefon? Wydaje mi się też, że nie czuł się zbyt dobrze w towarzystwie zapraszanych na herbatki kobiet. Na zdjęciach ze spotkań na zamkowym trawniku stoją w sukniach przypominających ciężkie płaszcze. Żadna się nie uśmiecha, z wyjątkiem jednej czy dwóch, choć i w ich przypadku trudno stwierdzić, czy to rzeczywiście jest uśmiech.

Jak bardzo kobiety te różniły się od żony prezydenta Kennedy'ego, Jackie, która nosiła dopasowane płaszczyki od Diora i małe kapelusiki. Mogłam się mylić, ale wydawało mi się, że Jackie chyba nie bawiłaby się dobrze na takich przyjęciach. Oczywiście nie znałam Jackie osobiście. Czułam się związana z jej mężem, prezydentem, i chciałam, żeby tak zostało.

4 września, 1963

Szanowny panie Kennedy!

Wiem, że ostatnio był Pan bardzo zajęty ze względu na walkę, jaką prowadzi Pan z senatorem

Goldwaterem (proszę, niech Pan kontynuuje prace nad traktatem zakazującym testów jądrowych). Dlatego szyję Panu poduszke, którą będzie Pan mógł podkładać pod bolące plecy. Jest z zielonego materiału, będzie pasować do Pana roześmianych irlandzkich oczu. Ponadto — nie zgadnie Pan! — moja koleżanka z pokoju, Paulie, też Pana lubi. Powie-działa mi wczoraj w kościele, że widziała w telewizji Pana dyskuszę z Nixo-nem i że jest Pan całkiem sprytny jak na katolika. To wielka pochwała, Pa-nie Prezydencie. Paulie prawie nigdy nie mówi nic miłego. Tak mnie to zasko-czyło, że o mało nie wypadłam z ławki (to by była heca!). Nawiasem mówiąc,

71

nie cierpię chodzić do kościoła św. Pawła. Nie mogę się skoncentrować na ka-zaniu, bo nigdy nie wiem, kiedy usiąść czy uklęknąć. Ludzie podskakują w najmniej spodziewanych momentach. Można się wykończyć nerwowo. Na frontowych schodach musimy ustawiać się w pary i wchodzić po kolei w na-szych granatowych sukienkach i płaszczykach. Wszyscy się nam przygląda-ją. Jedyne plusy chodzenia do kościoła to: (1) zakładanie kapelusza z woalką (czuję się w nim tajemniczo, jak Greta Garbo), (2) oglądanie kapeluszy ład-nych kobiet siedzących w pierwszych ławkach, (3) wyobrażanie sobie, jaki dobry będzie kurczak po królewsku na obiad, (4) jazda autobusem Sierżan-ta, który drażni się z nami, kiedy przejeżdżamy obok szkoły dla chłopców.

— Mam tu skręcić, dziewczynki?

— Tak, tak! — piszczymy, a panna Phillips wygląda nerwowo przez

okno i udaje, że nie słyszy.

W sumie niedziela w Bath Ladies College jest całkiem miłym, spokoj-nym dniem, Panie Prezydencie. Paulie mówi, że w przyszłym roku, kiedy będziemy mogły uczyć w szkółce niedzielnej w Marły Hali, będzie jeszcze le-piej. Oczywiście dzieciaki wrzeszczą i robią inne denerwujące rzeczy, ale przynajmniej poczęstują nas ciasteczkami z mąki ararutowej\* i sokiem ja-błkowym, podczas gdy cała szkoła będzie słuchać kolejnego kazania o sła-bościach natury ludzkiej.

To tyle o kościele. Wiem, że Pan lubi kościół. Będę się bardziej starać, żeby też go polubić.

Paulie nie cierpi kościoła tak samo jak ja. Pomagam jej przy odrabianiu zadań domowych, więc ostatnio jest dla mnie miłsza. Ale trochę się jej bo-ję. To niezwykła dziewczyna, nieco dziwna — może nawet za bardzo dziw-na. Trudno stwierdzić mi to na pewno, bo poza Panem nie mam tu nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Druga dziewczyna z naszego pokoju, Tory, zerwała więzadło w prawej nodze i złamała lewą, więc zostanie w do-mu do końca semestru. Co gorsza, pewna nudziara o imieniu Ismay popro-siła o przeniesienie na miejsce Tory.

Prawdę mówiąc, wygląda na to, że nie mam tu zbyt wiele przyjaciółek. Trudno mi więc połapać się, co jest prawdą, a co nie. Czasami wydaje mi się, że wieża pochłonie mnie w całości jak Plazma\*\* (widział Pan ten film?).

\* mąka ararutowa — arrow-root, mączka skrobiowa podobna do ziemniaczanej z korzeni bulw lub owoców niektórych roślin tropikalnych, używana m.in. w cukiernic-twie.

\*\* Plazma — horror z 1955 roku, w którym bohaterowie giną pochłonięci przez dziwną istotę, w roli głównej S. Trący, reżyseria — S. Yeaworth.

72

Są też dni, kiedy nie wiem, kim jestem, Panie Prezydencie. Czuję się, jak-by moja myślia głowa i ciało należały do kogoś innego. Rozumie Pan, co mam na myśli? Może to dlatego, że tak mocno przeżywam uczucia innych osób, że nie jestem w stanie odróżnić ich od własnych emocji. Unoszę się w powietrzu w środku wielkiej kupy starych kamieni, a wraz ze mną cała masa innych dziewczyn.

Pańska oddana przyjaciółka, Myszka Bradford

Trudno było o mężczyzn

W szkole trudno było ich spotkać. Do środka wejść mogli wyłącz-nie przepoceni woźni o nie najciekawszym wyglądzie i duchowni, za-interesowani bardziej Bogiem niż seksem. Ale przynajmniej jedni i drudzy chodzili w spodniach, i to nam wystarczało. Gdyby szkołę odwiedził prezydent Kennedy, dziewczyny chyba padłyby trupem.

W drugi piątek października pani Peddie zaprosiła ojca Tory, ka-nonika Quinna, na zajęcia z życia w rodzinie. Ze względu na Tory starałam się go polubić, ale jego brwi przypominały rozpostarte skrzydła nietoperza. Do tego miał okropne palce. Nie mogłam ode-rwać od nich wzroku. Zaokrąglone na końcach jak bezokie główki ro-baków. Może dlatego cały czas trzymał je splecione na brzuchu, na-wet kiedy chodził.

Gdy pani Peddie go przedstawiała, dłonie również spoczywały na brzuchu. — Naszym celem na tych zajęciach jest omówienie waszej roli przyszłych żon i matek. Wykształcona kobieta to wielka korzyść dla dzieci, prawda, kanoniku Quinn?

Posłała mu szeroki, odsłaniający dziąsła uśmiech. Problem z pa-nią Peddie polega na tym, że chce, aby wszyscy się z nią zgadzali. Jej optymizm jest bardzo denerwujący, bo jeśli się z nią nie zgodzisz, masz wrażenie, że ranisz jej uczucia, a jeśli przyznasz jej rację, że-by nie było jej przykro, to ją okłamujesz. Zastanawiałam się, czy ka-nonik Quinn też tak to czuje.

— Zgadzam się, pani Peddie. W zupełności.

— Choć przypuszczam, że kilka z was pozostawi po sobie ślad —

stwierdziła pani Peddie.

Nie patrzyła na nas. Uśmiechając się dziewczęco do kanonika Quinna, usiadła na brzegu biurka. Miała na sobie jeden z tych obci-słych swetrów.

— Być może siedzi wśród nas słynny kompozytor? — (O, to nie ja, pomyślałam, to Ismay Thom). — Albo wspaniała lekarka?

Panie Peddie patrzyła teraz w moim kierunku. Na lekcjach często na mnie patrzyła w nadziei, że odpowiem na pytanie. Nigdy nie odpowiadałam, bo powtarzała, że nie wiemy, co myślimy, dopóki nie ubierzemy tego w słowa, a ja byłam przekonana, że nie ma racji, choć trudno mi było dokładnie powiedzieć, na czym to polega. Tego ranka odpowiadałam jej uśmiechem, mimo że jej kulawe gadanie wcale mnie nie obchodziło. Nawet przez chwileczkę.

— Poczytam wam trochę o historii szkoły, a potem nasz dzisiejszy gość powie wam kilka słów. Wiecie zapewne, że nasza dawna dyrektorka, panna Higgs, była kiedyś zaręczona. — Rozległy się okrzyki zdumienia, nawet sama pani Peddie zachichotała. — Nie stroniła więc od mężczyzn. Choć nigdy nie pamiętała imion mężów naszych uczennic. Pozwólcie, że zacytuję wam słowa historyka naszej szkoły: „Zdaniem panny Higgs dziewczęta nie powinny uważać małżeństwa za jedyną życiową szansę.” — Słyszając to, ojciec Tory poruszył się niespokojnie, uniósł dłonie i splótł je na ramionach. — „Pragnęła, aby każda kobieta była przygotowana do, jeżeli zajdzie taka potrzeba, utrzymania się bez utraty godności...” — Pani Peddie zaczęła machać nogą tuż pod nosem kanonika Queena, jakby zdawało jej się, że jest w naszym wieku. Kanonik przyglądał jej się w zamyśleniu. — „Każda z was ma jakiś szczególny talent, który może być wykorzystany dla doskonalenia ludzkości, a przy okazji zapewnić małe wynagrodzenie dla nieszczęsnej kobiety”, pisała panna Higgs.

— Co, mam nadzieję, nie zdarzało się często — dodał kanonik Queen.

Pani Peddie obróciła się, dalej machając grubą nogą, i z drżącą dolną wargą powiedziała:

— Obawiam się, że zdarzało się to dużo częściej, niż byśmy sobie życzyli, Bruno.

— Och — kanonik spojrzął na swoje splecione dłonie. W tej chwili palce wskazujące poruszały się jak batuty, a on sam wyglądał, jakby patrzył na panią Peddie z bardzo dużej odległości.

Zaskoczyła mnie jego bierność. Spodziewałam się, że wyśmieje jej próby flirtowania z nim, może nawet zepchnie z biurka. Czekałam, aż ziści się zapowiedź jego przerażających brwi. Ale nic takiego się nie stało. Siedział po prostu zupełnie tak jak na nabożeństwie,

74

patrzył przez okno, tylko palce wskazujące poruszały się bez przerwy.

Zabrałam się do czytania wypracowania z angielskiego, które Paulie dała mi do sprawdzenia. Pani Peddie zadała nam napisanie przemówienia znanej historycznej postaci. A oto dzieło Paulie:

Zgadnijcie, kto to jest

Jestem gwiazdą filmu, który wszystkie widziałyście. Wiecie, że to ja, bo nie noszę ubrań, zawsze kiedy widzę ładną błądynkę, walę się w piersi. Uwielbiam błądynki. Do znanej mi szkoły dla dziewcząt chodzi jedna naprawdę ładna błądynka. Nazywa się Tory Queen, a ja to... (chciałybyście wiedzieć!). Kocham T.Q.

Potrafię ryknąć głośniejszy niż Tarzan. Wiecie już, kim jestem? Wczoraj poszedłem do szkoły Tory, kiedy grała w hokeja na trawie. Wywołałem sensację. Zła kobieta przewróciła Tory — naprawdę zła kobieta. Uderzyłem się w piersi i pobiegłem tam, gdzie moja ulubiona błądynka leżała zabita na śmierć.

Kopnąłem babsztyla w najbardziej bolące miejsce i pobiegłem do mojej Tory.

Jej śliczna różowa twarzyczka była biała jak u zjawy! Wziąłem ją na rękę i zaniósłem na dach szkoły. Bez problemu wspiąłem się po wieży na moich owłosionych nogach. Kiedy dotarłem na górę, zobaczyłem, że wysła-li za mną samochód strażacki. To było jak kolejna bitwa z myśliwcami na szczycie Empire State Building.

Czerwone ludziki ustawiły drabiny. Zaczęły wykrzykiwać przekleństwa pod moim adresem. Zepchnąłem jednego, drugiego i trzeciego, ale przyjeżdżało coraz więcej ciężarówek z drabinami. Pocałowałem więc moją biedną Wiktorię na pożegnanie i zacząłem walić się w piersi, żeby pokazać, że się nie boję. King Kong nie boi się zakłanych ludzi! Teraz wiecie już, kim jestem. Potem skoczyłem owłosionymi stopami

w dół. Żegnaj, okrutny świecie. Żegnaj, zgrajo frajerek.

Nie wierzyłam własnym oczom. Przeczytałam wypracowanie dwa razy, a potem napisałam do Paulie:

Kochana Paulie,

Masz niesamowitą wyobraźnię! Chciałabym mieć takie pomysły! Ismay Thom zzieleniałaby z zazdrości. Atak na poważnie, zauważyłam kilka błę-

75

dów ortograficznych. Blondynka pisze się przez „on”, a w słowie „zakiha-nych” powinno być „ch”. Ponadto „zakichani” to niezbyt eleganckie słowo i pani Peddie raczej się nie spodoba.

Myślę, że pani Peddie mogłaby mieć i inne zastrzeżenia. Powinnaś może przeczytać wypracowanie Ismay o tym, dlaczego cywilizacja zależy od do-brych manier (albo moje o radościach obżarstwa. Jak zostajemy w czwartek po obiedzie w jadalni, żeby dokończyć nie zjedzone galaretki! Jedyny deser, który nie tuczy.) Wypracowanie Ismay jest długawe (11 stron), ale pełno w nim przymiotników i przysłówków, a pani Peddie bardzo to lubi. Co byś powiedziała na przykład na coś takiego: „Jestem wspaniałym, wysokim stworzeniem. Stoję na krawędzi gzymsu z dzikim, szklстым spojrzeniem dumnych oczu... me szlachetne ramiona o puszystym futrze obwisty...”? (Miło byłoby współczuć King Kongowi). Myślę też, że nie powinnaś pisać o Tory. Pani Peddie nie lubi osobistych odniesień. Jestem zaszczyczona, że pozwoliłaś mi przeczytać swoje wypracowanie. Moim ideałem mężczyzny jest co prawda John F. Kennedy, ale o King Kongu na pewno można powie-dzieć wiele dobrego.

Twoja koleżanka z pokoju i przyjaciółka,

Myszka

Zauważyłam jakiś cień na papierze. Podniosłam głowę i zobaczy-łam panią Peddie. Nie powiedziała ani słowa, wzięła wypracowanie Paulie i odeszła. A ja zostałam tak, czekając na uderzenie topora.

76

Siedziałam w cichej klasie przy pochylonym biurku z czarnymi żeliw-nymi bokami i malowałam paznokcie lakierem w kolorze „Świt w Tropikach”. Wokół mnie dziewczyny czytały albo patrzyły przez okna na wąwóz, gdzie pomarańczowo-czerwone klony i żółte buki migotały w łagodnym świetle popołudniowego słońca. Nagle, z dale-kiego końca korytarza, usłyszałam rytmiczny odgłos, tak cichy, że nie zwróciłam na niego uwagi. Jedna z siedzących za mną dziew-czyn zaczęła uderzać w biurko. Chwilę później już tłukły wszystkie dłońmi w stoły, jak nadzorca w filmie „Spartakus”, wystukujący rytm wiosłowania dla niewolników na rzymskich galerach. Stukanie ucichło tak samo szybko, jak się zaczęło. Spojrzałam w górę. Patrzy-łam prosto w oczy Dziewicy. Uderzając w biurka, dziewczyny naśla-dowały odgłos jej



kroków. Tylko ja jedna nie zrozumiałam tego ostrzeżenia. Dziewica pokazała na lakier do paznokci i kiwnęła na mnie głową. Nie mogłam się ruszyć. Nogi miałam jak z waty, tak jak czasem w snach, kiedy chce się biec i nie można. Dziewica gniewnie otworzyła drzwi.

— Mary Beatrice, proszę do mojego gabinetu!

Nie patrząc na nikogo, wstałam i wyszłam.

Dziewica usiadła za biurkiem, a ja stałam, usiłując nadać swojej twarzy skruszony wyraz. Odchrząknęła niezręcznie, jakby chciała pokryć zdenerwowanie, i wyciągnęła kartkę papieru. Rozpoznałam pismo pani Peddie. Nagle Dziewica szybkim ruchem zdjęła okulary do czytania w kształcie półksiężyców i westchnęła.

— Postuchaj, Mary Beatrice. Widzę, że zostałam już kilka razy ukarana. Malowanie paznokci w czasie lekcji. Wychodzenie do toalety mimo zakazu panny Phillips. Spóźnienie na kontrolę. Czy uważasz, że naprawdę powinnam gniewać się o takie głupstwa?

77

Dziewica położyła dłoń na podbródku i patrzyła na mnie, jakbyśmy miały jakiś wspólny sekret. Zaczęłam się jąkać. Nie lubiłam myśleć, że jestem nierozsądna.

— Chyba rzeczywiście zachowałam się niemądrze.

— Tak, tak. Byłam pewna, że masz więcej zdrowego rozsądku.

Teraz Dziewica wyjęła wypracowanie Paulie i moją odpowiedź.

— Zgodzisz się, że przesyłanie liścików na lekcji pani Peddie nie jest najmądrzejsze? — Dziewica zaczęła czytać łagodnym głosem:

— Kochana Paulie...

Poczułam, że się pocę.

— Nie musi pani czytać dalej. Wiem, co tam jest.

— To bardzo ciekawe, co napisałaś o wyobraźni Paulie, Mary Beatrice. Zgadzam się z tobą. — Zaśmiała się i spojrzała na mnie, jakby oczekiwała, że zrobię to samo.

Westchnęłam nerwowo.

— Zdajesz sobie sprawę, że Pauline ma trudny charakter. Nauczycielki... Z pewnością zauważyłaś, że mają z nią sporo kłopotów.

— Musi być trudno, kiedy nie ma się prawdziwej mamy — powiedziałam i zaraz pożałowałam, że tak się odkryłam.

— Paulie ma prawdziwą mamę. Tylko że ona nie może zajmować się Paulie. Jest w zakładzie psychiatrycznym. — Dziewica spojrzała przez okno. Nagle wydała mi się bardzo smutna. — Porozmawiajmy przez chwilę o czymś innym. Pani Peddie mówi, że jesteś bardzo odcytana, ale nie odzywasz się na jej zajęciach. Dlaczego?

— Uważa, że nie wiemy, co myślimy, dopóki nie umiemy tego wyrazić słowami.

— Tak, to jest wyzwanie, prawda? Oczywiście, pani Peddie i ja mamy rozbieżne poglądy na naturę wiedzy. Mowa jest narzędziem umysłu, ale pewne rzeczy wiemy intuicyjnie i nie jesteśmy w stanie przełożyć ich na słowa. Choćby wiedza o sprawach duchowych. Ale umiesz dobrze pisać, Mary Beatrice, więc wkrótce nauczysz się również wystawiać. Słyszałam, że napisałaś bardzo dobrą pracę na temat „Dumy i uprzedzenia”. Osobiście od Jane Austen wolę Charlotte Bronte... Wiesz, co odpowiedziała Charlotte, kiedy jakiś krytyk stwierdził, że powinna pisać jak Jane?

Potrząsnęłam głową.

— „Panna Austen jest pomysłowa i spostrzegawcza. Ale nigdy nie będzie wielką pisarką, bo brak jej poezji”. — Panna Yaughan

uśmiechnęła się miło, jakbyśmy byli po prostu dwiema koleżankami. — „W jej twórczości można podziwiać wypielęgnowany ogród, ale brak otwartej przestrzeni”. Brak otwartej przestrzeni. Czy to nie piękne, Mary?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Dziewica wstała. Położyła mi dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się. — Wszelkie wyrazy przyjaźni, jakie możesz dać Paulie, będą po-mocne. Jednakże, mimo wszystko, jestem zmuszona dać ci upomnie-nie.

Z radości aż zakręciło mi się w głowie. Myszka Bradford dostała naganę! Myszka Bradford popadła w niełaskę! A ja uważałam się za tchórza, bojącego się łamać zasady i dostać karę? Teraz Paulie będzie mnie szanować. Spuściłam głowę i czekałam na wyrazy niezadowolenia. Tymczasem Dziewica wesoło kiwnęła głową.

— Nie ma potrzeby mówić nic więcej takiej mądrej dziewczynce jak ty, Mary Beatrice. W przyszłości będę oczekiwać bardziej rozsąd-nego zachowania. — Na chwilę przerwała i jeszcze bardziej zniżyła swój nadąsany głosik: — Nauczycielki i wychowawczynie chcą, że-bym odesłała Paulie do zakładu dla dziewcząt, ale z nami jest jej le-piej. Czy mogłabyś zostać moim pomocnikiem i mieć ją na oku w mo-im imieniu?

Nie wiem, jak się tam dostałam, ale nagle znalazłam się w hal-lu przed gabinetem Dziewicy. Paulie stała na przedzie grupy dziew-czyn kłębiących się na schodach, prowadzących do pomieszczeń szkoły podstawowej. Zlustrowały mnie, jakby sprawdzając, czy zro-biła mi jakąś krzywdę. Paulie nie patrzyła na mnie. Podejrzewała pewnie, że naopowiadałam o niej coś złego.

Ustyszałam, jak Dziewica wychodzi z gabinetu i rozkazującym tonem zarezerwowanym dla woźnych i dziewczyn, których zachowa-nie jej się nie podobało, powiedziała:

— Paulie, do środka. Natychmiast.

Jak tylko drzwi zamknęły się za nimi, ruszyłam długim krętym korytarzem tak szybko, na ile pozwalały mi stare, ciężkie oksymo-rony.

79

Dziewica dała Paulie upomnienie, a potem wydała dziwne polece-nie. Paulie miała pozbyć się frustracji

związanych ze szkołą, chodząc codziennie wieczorem na spacer. A ja miałam spacerować razem z nią. Zdaniem Dziewicy powinno to wzmocnić moje słabe nogi.

Czułam się onieśmielona myślą o spacerach z Paulie. Byłam pewna, że wolałaby, żeby Dziewica wybrała kogoś innego. Pierwsze-go wieczoru ruszyliśmy bez słowa w stronę wąwozu. Minęliśmy grupkę wiązów płaczących, których powykręcane gałązki przypominały dłonie wiedźmy. Z lekcji angielskiego wiedziałam, że Sir Jona-thon zasadził w lasku również chińskie jałowce, cisy złociste, dęby i osiem odmian wierzby, w tym wierzbę białą, z której drewna wyrobia się najlepsze kije do krykieta. Pani Peddie kazała nam nauczyć się na pamięć nazw drzew i roślin, żebyśmy umiały pisać o florze i faunie biegle jak brytyjscy powieściopisarze, których studiowałyśmy. Była tak przekonująca, że wydawało mi się, iż nie można zostać pisarzem, nie będąc w stanie wyrecytować nazw wszystkich kwitnących drzew liściastych, nie wiedząc, jak nazywa się jedyne na świecie drzewo iglaste zrzucające igły na zimę (modrzew) albo co zrobić, kiedy pokłuje cię tarnina (potrzeć liściem łopianu). Na obrzeżu terenu szkoły Paulie w końcu się zatrzymała.

— Nie wiem, co ci powiedziała Dziewica, i nic mnie to nie obchodzi. Nic ze mnie nie wyciągniesz — rzuciła.

— W porządku — odparłam.

Paulie przycisnęła twarz do drucianego płotu odgradzającego nas od wąwozu, jak więzień wpatrujący się w świat wolnych.

— Kazała ci coś obiecać?

— Stwierdziła, że zostałam ukarana za głupie zachowanie i że następnym razem powinnam bardziej uważać. Powiedziała... —

80

urwałam wzburzona. — Jeśli zrobisz coś dziwnego, mam jej o tym zameldować. — Czułam, jak moje wielkie uszy zaczynają mnie piec. — Ale nie powiem jej, Paulie. Obiecuję.

— Akurat. I tak, jeśli zrobię coś dziwnego, nie mam zamiaru ci

o tym mówić.

— W porządku.

— W porządku? W porządku! Nie znasz innych słów, Bradford?

Zawstydzona pochyliłam głowę. Jej gwałtowność mnie przerażała. Paulie wydawała się starsza i jakby większa ode mnie. Musiała zdać sobie sprawę, że nie jestem dla niej żadnym zagrożeniem. Wesschnęła

i poszliśmy dalej wzdłuż krawędzi wąwozu, nie mówiąc ani słowa. Ziemia robiła się śliska od spadających liści. Ponad naszymi głowami, w wieży, paliło się światło, a panna Philips przyglądała nam się zza zastony.

W pierwszym tygodniu prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Trzymałam Paulie za słowo i spacerowałam z nią w ciszy, patrząc, jak kopie błyszczące kasztany porzucane na trawnikach. Nosiłam zielony sweter z godłem szkoły na kieszonce i szalik, który Sal zrobiła dla mnie na drutach. Paulie miała na sobie tylko bluzę i szkocką spódnicę, strój dozwolony po zajęciach. Często zatrzymywałyśmy się na obrzeżach terenu szkoły i spoglądałyśmy przez siatkę na wąwóz. Sierżant pilnował, żeby wszystkie dziury były załatane, więc żeby wyjść, trzeba było wspiąć się na ogrodzenie. Zastanawiałam się, czy udałoby mi się uciec ze szkoły, gdybym zrobiła wykop pod płotem jak więźniowie ze Stalagu 17 w czasach II wojny światowej. Gdybym przedostała się na drugą stronę, a potem do lasu, Dziewica ze swą armią wychowawczyń mogłaby mnie szukać i szukać,

1 nigdy by mnie nie znalazła.

Pewnego wieczoru, kiedy tak stałyśmy niedaleko wąwozu, znad jeziora nadpłynęła mgła. Przystąpiła wąwóz i wieżę z zegarem Kings College na południu. Spojrzałam w stronę szkoły, szukając jasnego okna panny Philips. Zobaczyłam jedynie zamglone fragmenty trawnika i jakiś ciemny kształt wynurający się z mroku jak okręt. Kiedy się odwróciłam, Paulie nie było. Ruszyłam szybko w kierunku, z którego przyszłyśmy, wołając jej imię.

Mgła wypełniała teren szkoły jak wilgotny oddech jakiegoś olbrzyma. Tam, gdzie stałam, bluszcz pokrywał ziemię i wspinał się po pniach wiązów, od południowej strony, chroniąc się w ten spo-

— 81

sób przed najzimniejszym wiatrem. Minęło kilka minut. Zawołałam Paulie jeszcze raz. Ani śladu. Miałam już wracać, kiedy zauważyłam Lewisa. Szedł ku mnie wolnym krokiem, zaciskając i rozluźniając pięści. Miał na sobie stary kapelusz, pasek zwisał luźno z jednej strony. Weź się w garść, Myszko, pomyślałam. To jest chłopak stąd. Co może ci zrobić? Zgwałcić? W wąwozie, gdzie nikt was teraz nie zobaczy? W wąwozie nawet Dziewica wydawała się odległa jak Morley w Madoc's Landing.

Lewis uśmiechnął się i dał znak, żeby pójść za nim. Potrząsnęłam głową.

— Wystraszyłaś się, co? — Rzucił, wskazując w kierunku kolumny znajdującej się w najciemniejszej części wąwozu: — Paulie czeka tam na ciebie. Kazała mi cię poszukać.

— Paulie? Wiesz, gdzie jest Paulie?

— Masz, kazała ci to dać. — Podał mi dużą agrafkę, którą Paulie spinała swoją szkocką spódniczkę.

Wzięłam agrafkę i przyglądałam się jej ze zdumieniem. Może Lewis ukatrupił Paulie i zamierzał zrobić to samo ze mną? Czytał chyba w moich myślach, bo poklepał mnie po ramieniu.

— No chodź. Paulie mówiła, że zostało wam mało czasu.

Tak właśnie było — jeszcze tylko osiem minut. Bez słowa poszłam za Lewisem. Zatrzymał się przy starej szopie na węgiel z tyłu kotłowni, w pobliżu ogrodzenia. Po drugiej stronie był wąż pełen dziwnych szeleszczących dźwięków, których nie byłam w stanie rozpoznać. Przez chwilę nasłuchiwałam. Dźwięk wiatru w wąwozie łączył się z cichym szumem samochodów na wiadukcie na północ od szkoły. Szum przybliżał się jak dźwięk fali uderzającej o brzeg. „Paulie, Paulie” — zawołał Lewis. Nikt nie odpowiedział. Otworzył drzwi szopy kopniakiem i wszedł do środka, a ja zostałam na progu, cała się trzęsąc.

Pomyślałam, żeby pójść za nim, ale uznałam, że lepiej nie. Zajrzałam do ciemnego pomieszczenia. W rogu stał ogromny piec, drzwiczki były otwarte, w środku widać było ułożone rzędami cegły szamotowe. Poczułam dziwny niepokój, że Lewis schował się przede mną. Że nie był tym, kim mówił. Że kłamał. Chciałam pobiec z powrotem do wieży. I wtedy poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Lewisa z papierosem przyklejonym do dolnej wargi. W tle słychać było odgłos rozklekotanej maszynerii,

82

którą Dziewica ogrzewała szkołę. Przez chwilę byłam zła. Nikt już nie używał pieców na węgiel, nawet szkoła w Madoc's Landing prześtawiła się na ogrzewanie olejowe. Opamiętaj się, Mysko — powie-działam sobie. Bez sensu myśleć o rozpadającym się piecu, kiedy za chwilę możesz stać się ofiarą morderstwa. Wtedy Lewis przysunął się tak blisko, że poczułam zapach brylantyny na jego włosach. Położył mi rękę na głowie. Byłam tak przerażona, że nie mogłam się poruszyć. Odchylił mi głowę do tyłu i wsadził język do ucha. Śmier-dział nikotyną. Przysunął swoją kościstą twarz blisko mojej i szep-nął:

— Bradford, ciągle nie wiesz, kim jestem?

Lewis zdjął czapkę, spod której wysunął się długi czarny war-kocz. W dziurę z przodu wstawił brakujący ząb i uśmiechnął się. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Lewis zaczął się śmiać. Powiedział, że nie chciał mnie przestraszyć i może trochę przesadził, ale lubi robić ludziom kawały. Potem wziął mnie za rękę, pociągnął do ciemnej szopy i zamknął drzwi.

83

Dźwięk, który słyszałam, nie wydobywał się z kotła. Lewis powie-dział, że to automatyczny podajnik węgla. Kazał mi posłuchać ryt-micznego pobrękiwania. Przypominało ono odgłos obracającego się łańcucha rowerowego, dźwięk metalu uderzającego o metal w ciem-ności. Stałam za nim, cała się

trzęsąc. Ucho wciąż miałam mokre od pocałunku.

Nagle Lewis, to znaczy Paulie, zapaliła zapałkę, trzymając ją silnym kciukiem i palcem wskazującym. Patrzyłam na nią, nie oddychając, nie wiedząc, czego się spodziewać, ale też nie przejmując się tym zbyt. Płomień petł powoli po zapałce i bezgłośnie zgasł między palcami. Oprócz siarki poczułam jeszcze coś dziwnego i nagle zdałam sobie sprawę, że Paulie zgasła zapałkę palcami. Zapaliła drugą i powiedziała:

— Twoja kolej.

Płomyk zgasł w połowie zapałki. Poczułam ciepło, zanim ogień dotknął skóry. Krzyknęłam i upuściłam zapałkę.

— Nie chodzi o to, że cię nie boli, chodzi o to, żeby nie zwracać

na to uwagi — stwierdziła Paulie. — Pamiętasz Lawrence'a z Ara-

bii? Powiedział to w filmie.

— Tak — odparłam potulnie.

Teraz Paulie zapaliła świecę i przysunęła ją tak blisko mojej twarzy, że nie widziałam nic oprócz płomienia. Nagle na ramieniu poczułam jej palce.

— Jesteś miękka, Bradford, jak dziewczyna. — Podała mi świe-

cę i zgięła ramię tak, że mięśnie poruszyły się pod skórą jak krety

pod ziemią. Nigdy wcześniej nie widziałam jej bicepsów schowanych

pod długimi rękawami szkolnej bluzy. Ale widziałam już mięśnie Le-

wisa. O tak, nawet kilka razy. Nie można było nie zauważyć ramion

84

Lewisa wychylających się z podwiniętych rękawów jak dwie kobry. Żadna ze znanych mi dziewczyn nie miała ramion wyrastających z tułowia jak węże. A teraz miałam przed sobą Paulie z muskularni Lewisa.

Ale czy to była Paulie? Może było to jakieś stworzenie zdolne działać z męską pewnością siebie w jednej chwili, a zaraz potem chi-chotać jak dziewczyna? Widok był jednocześnie nieprzyjemny i fascynujący, jakbym przyglądała się czarnoksiężnikowi przybierające-mu na przemian kształt mężczyzny i kobiety.

Kiedy zachowywała się jak Lewis, chciałam pozbyć się odpowiedzialności za samą siebie jednym wydechem; kiedy zachowywała się jak Paulie, znów byłam sobą. To znaczy, prawie sobą, na tyle, na ile to możliwe w przypadku Myszki. Nagle w uszach zabrzmiał mi głos Sal: „Widzisz, Mary Beatrice, jesteś tylko dziewczynką, poddajesz się mężczyźnie, tak jak powinna kobieta.” Zrobiło mi się niedobrze.

Czyżbym nie różniła się od tych manekinów w szpitalu Morleya noszących za nim sprzęt chirurgiczny na salę operacyjną?

Zdezorientowana dałam poprowadzić się Paulie do pomieszczenia z piecem. Czuć tam było męski pot, zobaczyłam też wiszące na ścianie białe fartuchy woźnych. Koło kotła zrobili sobie coś w rodzaju saloniku. Z dwóch rozpadających się, pokrytych kretonem foteli wyściółka sypała się jak nasiona ze strąka. Na odwróconym do góry dnem kartonie po podpaskach Kotex ktoś równiutko ułożył numery Playboya, dokładnie tak jak Sal układała medyczne czasopisma Morleya na stoliku do kawy.

Za tym prowizorycznym salonikiem było wejście przysłonięte oliwkowozielonymi kotarami w pasy, takimi samymi jak te, które wisiały w biurze Dziewicy.

Paulie podeszła do kotary, uniosła ją i w środku zobaczyłam kolejny maleńki pokój z drewnianymi ścianami jak w stajni. Kiedy weszliśmy do środka, dźwięk podajnika trochę przycichł. Ciągle miałam w ręku świecę. Stałyśmy w starym zypie węgla. Na środku stał stołek do fortepianu, na którym leżała góra bananów.

Paulie zapaliła kadzidelko, zgięła kolano i przeżegnała się, przyklękając sprawnie jak anglikanie, których widziałyśmy u św. Pawła. Przysunęła świecę do ściany. Zobaczyłam stwora o wściekłych małpich oczkach. W owłosionych łapach trzymał pioruny, jakby

85

chciał wbić je nam prosto w serca. O mały włos nie upuściłam świeczki.

— Poczęstuj Konga — powiedziała Paulie, poklepując mnie po kieszeni, w której miałam paczkę Sweet Caps.

Spojrzałam tylko na nią, a Paulie sama wyjęła mi papierosy i położyła na ołtarzyku obok bananów. Paczka otworzyła się i fajki rozsypały się po podłodze. W ciemności wyglądały jak białe palce. Miałam przed sobą stary plakat filmowy z lat trzydziestych. W ciemności dostrzegłam Nowy Jork u stóp King Konga — zarys garbów nie wyższych niż jego masywne łydki.

Och, strasznie było patrzeć na Konga, kiedy był wściekły, ale bywał też słodki jak pluszowy miś, kiedy robił coś, co lubił — na przykład, kiedy trzymał Fay Wray w dłoni i delikatnie zdejmował z niej ubranie. Nie dziwiłam się, że Paulie go lubiła. Ja sama też go lubiłam.

Obok papierosów zauważyłam szal należący do Ismay, zwiędłe geranium z ulubionego klombu Dziewicy, „Księgę wspólnej modlitwy”, plik nowego papieru listowego z mottem szkoły i bukietkiem koniczynek oraz — musiałam spojrzeć raz jeszcze — książkę Normana Vincenta Peale'a, którą dostałam od Sal.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, Paulie zaczęła okładać się pięściami po klatce piersiowej i wymachiwać ramionami w przód i w tył, jak Kong broniący Fay Wray przed niebezpieczeństwem. Tak jak wtedy, kiedy



rozwalił szczękę dinozaura.

— Kong jest piękny, Kong jest odważny, Kong jest nieustraszony — ryknęła Paulie.

Wycofałam się do pomieszczenia z piecem, zmieszana dziwnym zachowaniem Paulie.

— Nabrałam cię, nabrałam — Paulie poszła za mną, paląc swojego Sweet Capa. — I Dziewicę też. Połknęła każde kłamstwo o moim bracie. Dziewica myśli, że jest taka mądra, ale łyknęła wszystkie historyjki od początku do końca.

Choć czułam się nieswojo, byłam pod wrażeniem. Myszko, pomyślałam, masz przed sobą mistrza łamania zasad, ty, która uginasz się pod władzą jak trzcina na wietrze. Co za sztuka udawania! Na swój sposób Paulie była geniuszem.

— A Tory? — szepnęłam.

86

— Mhmm — spojrzała na mnie z ukosa, jakby widziała mnie po raz pierwszy. — Kong cię lubi, Myszko. Mówi, że możesz być chłopakiem tak jak ja.

— To znaczy, przebierać się? — spytałam nerwowo.

— Mhmm. — Papieros przekręcił się i zniknął w ustach Paulie.

— Ale najpierw musisz przejść testy — wymamrotała.

Smuzka dymu z zapalonego papierosa wznosiła się w kierunku nozdrzy. Jak Paulie mogła wytrzymać z papierosem wewnątrz ust? Czekałam, aż zacznie kaszleć. Tymczasem Paulie zacisnęła usta tak mocno, że dym nie mógł się wydostać. Być może wilgoć języka chroniła przed oparzeniem podniebienia. A może nie. Wydawało mi się, że dym zaraz zacznie wylatywać uszami.

— No nie wiem.

— Wiesz, wiesz. — Paulie szybkim ruchem języka wyrzuciła papierosa z ust. — Jako facet będziesz lepiej wyglądać. Łatwiej będzie

to zakryć — kiwnęła głową w stronę mojego garbu.

Położyła mi rękę na ramieniu i przez chwilę, przysięgam, znów była Lewisem. Byłam pewna, że wsadzi mi język do ucha albo zrobi coś jeszcze gorszego, na przykład pocałuje w usta. Ale zaśmiała się tylko, posadziła mnie na jednym ze starych zniszczonych foteli i objaśniła pokrótce, co miałam robić.

87

A oto wstępne testy Konga wymyślone przez Paulie:

1. Postawić i utrzymać na głowie wielki karton pełen pudełek z podpaskami Kotex (szacunkowa waga: czterdzieści funtów).
2. Utrzymać w palcach zapaloną zapałkę tak długo, aż płomień dotknie skóry, i nie rozplakać się. (Dostałam drugą szansę.)
3. Na stojąco (bo tylko baby siadają) rozhuścić się na huśtawce na placu zabaw szkoły podstawowej tak mocno, by się przekręcić.
4. Dwa razy obejść mury wieży bez patrzenia w dół i zatrzymywania.
5. Zachowywać się na luzie, cokolwiek by się nie działo.
6. Zjeść sześć pudełek rybich oczu i „klajstru” (budyń z tapioki), i nie wymiotować.
7. Ogolić się przy pomocy maszynki Paulie (Paulie stwierdziła, że skoro włosy na nogach odrastają mocniejsze, kiedy się je goli, to po goleniu twarzy powinna wyrosnąć broda.).
8. Sikać na stojąco.

Przeszłam dwa pierwsze testy, a do trzeciego nie podeszłam. Na moje szczęście przed zimą Sierżant rozmontował huśtawki. Resztę testów miałam następnego wieczoru. Nie będę się chwalić, jak dobrze mi poszło — w każdym razie nie z detalami. Powiem tak: Kong polubił Myszkę i przymknął oczy na siuśki spływające po udzie na buty. Prawie udało mi się spełnić jego wysokie wymagania.

Dlaczego właściwie robiłam te testy? Bałam się odmówić Paulie, a może też chciałam, żeby była Lewisem. Lewis był tyranem i złośliwcem, i podobało mi się to. Nie wiem dlaczego, zaczęłam lubić się bać. Strach sprawia, że czujesz, że żyjesz. Bez odrobiny strachu od czasu do czasu życie nie miałoby sensu.

Był jeszcze jeden powód. Paulie nie myliła się co do Alicji: w ma-rynarkach z poduszkami na ramionach wyglądała lepiej. Jeśli chodzi o to, co mówiła o Kongu, uważałam po prostu, że taka już jest, i tyle. Tutaj w Bath Ladies College (jakby powiedziała pani Peddie) byliśmy sobie wdzięczni za to, że możemy z kimś dzielić nieszczęścia szkolnego życia.

Po testach wstępnych czekały mnie kolejne próby w trzech kate-goriach:

Triumf nad przyrodą.

Triumf nad innymi mężczyznami.

Triumf nad kobietami.

Nikt nie podejrzewał, że Lewis to Paulie, bo nikt nie spodziewa się, że dziewczynka może być chłopakiem. Nawet Ismay Thom nie przy-szło to do głowy, a przecież już od pewnego czasu mieszkała z nami w tym samym pokoju. A to właśnie Ismay zauważyła, że obcasz mo-ich „Oksfordów” przypominają półksiężyc, bo chodzę jak mężczyzna, wysuwając podbródek i brzuch do przodu i opierając ciężar ciała na piętach. Miała oczywiście rację. Obie z Paulie tak robiłyśmy. Ćwiczy-łyśmy tak długo, aż stało się to przyzwyczajeniem. Rozumiecie więc, że Ismay nie mogła powiedzieć mi miłszego komplementu. W końcu jednak stało się to, czego tak bardzo się obawiałam.

Alicja i ja rozmawiamy o niezbitych faktach

— Obawiam się, że już za późno, Alicjo. Mam nawet — jęknięcie — włosy tam na dole.

— Masz na myśli tę kępkę pomiędzy nogami, która wygląda jak naelektryzowana?

— No właśnie. I zobacz, co się dzieje, kiedy rękami przycisnę piersi jedną do drugiej.

— O kurczę! Masz piersi!

— Może nie do końca przypominają dekolt gwiazdy filmowej. Wygląda- ją raczej, jakbyś ścisnęła dwie bardzo stare piłeczki do tenisa. To znaczy po

zewewnętrznej stronie są wgłębienia, ale pośrodku robi się jednak prawdziwa dolinka. Atak mają tylko kobiety i bardzo grubi mężczyźni.

— Może zejdzie z nich powietrze jak z przebitej dętki?

— Dobrze wiesz, że dopiero kiedy będę stara. Och, Alicjo, po co właściwie są dwie płcie? Na początku, w brzuchu, wszyscy byliśmy dziewczynkami.

— Ja nie, ja wyrosłam z twojego ramienia.

90

— Nie słuchasz mnie. Mówię o małym guzku, który w książce Morleya nazywają guzkiem płciowym. Kiedy pojawia się u nienarodzonego dziecka, wygląda jak narządy płciowe dziewczynki. Dopiero dużo później zmienia się w penisa.

— Zdawało mi się, że nie lubisz dziewczyn.

— Nie o to chodzi. Alicjo, nie rozumiesz? Gdyby tylko ktoś mógł tak to zorganizować, żeby guzek się nie rozwijał, dwie płcie byłyby niepotrzebne.

Zaoszczędziłoby nam to wielu kłopotów.

Któregoś razu Ismay weszła do łazienki i przytapała Alicję i mnie na wieczornym przeglądaniu się w lustrze.

— Mary Beatrice, jesteś całkiem goła! Jak możesz tak się popisywać! Niedobrze mi się robi.

Wzdrygnęłam się i zasłoniłam ramionami te znienawidzone nowe piersi. Marzyłam, by owijać je bandażem tak jak Paulie.

— Powinnaś nosić stanik — pociągnęła nosem — jeśli nie chcesz, żeby obwisły ci jak murzynkom w Afryce.

Potrząsając lokami, Ismay przemaszerowała do swojej komody i rozpoczęła wieczorny rytuał, który znałam na pamięć:

1. Założyć przez głowę i zapiąć pod szyję długą flanelową koszulę nocną z wzorkiem w jabłuszka. Zdjąć po kolei części bielizny jak sztukmistrz wyciągający gołębie i pomarańcze z uszu widzów.
2. Popudrować się talkiem przez wycięcie koszuli pod szyję i poruszać materiałem, by puder dostał się pod pachy i do samego obrąbka, aż zaczniesz się krztusić, a w pokoju pachnie, jakby ktoś przed chwilą zmienił niemowlęciu pieluszkę.
3. Wyszczotkować czarne jak noc włosy sto razy, do tyłu, na boki i do przodu. Przy pomocy taśmy klejącej zrobić dwa loczki — po jednym na każdym policzku — a pozostałe włosy nakręcić na malutkie, kolczaste druciane wałki.
4. Wyczyścić „oksfordy” własną śliną jak rekruci w obozie, a potem wyprasować mundurek na blacie komody. (Ismay lubi, gdy sukienka od mundurka wisi okropnie równiutko, bez najmniejszego załamania. Oprócz niej robią tak tylko nowe dziewczyny, które o niczym nie mają pojęcia. W jej przypadku jest to jednak punkt honoru).
5. Jak najszerzej otworzyć zakratowane okno. (Nocne powietrze jest dobre dla skóry. Ismay uważa, że ma cerę jak angielska róża. Osobiście przy-

91

pominała mi raczej angielską ropuchę. Dzięki otwartemu oknu przynajmniej zapach pudru staje się mniej intensywny.)

6. Naciągnąć kołdrę pod szyję i zacząć czytać na głos autobiografię Do-uglasa Badera\* „Dosięgnąć nieba” właściwie nie wiadomo komu, dopóki Paulie nie powie, żeby się zamknęła.

Tego wieczora, gdzieś w połowie punktu czwartego, Ismay odsta-wiła żelazko i podniosła sukienkę. — Mary Beatrice, ktoś tutaj mnie nienawidzi — wykrzyknęła. — Na pewno. Jak inaczej można zrobić coś tak ohydneho...

Tył sukienki pokrywała gruba warstwa czegoś podobnego do czekolady. Dokładnie w miejscu na dole pośladków była wielka, okrągła plama, jakby w czasie okresu przeciekła krew. Przyjrzałam się z bliska.

— To tylko zaschły keczup — powiedziałam w końcu. — W pral-  
ni to wyczyszczą.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie. Używają tyle detergentów i krochmalu, że nie  
ma innego wyjścia. Będzie czyściutka jak ła.

— Cholerna optymistka z ciebie, Mary Bea. — Chwilę później  
Ismay była już przy punkcie szóstym — dla mnie chyba najgorszym

— podczas gdy ja wróciłam do łóżka wylizywać waniliowe nadzienie  
z ciasteczek „Oreo”, których zapasy trzymałam w szufladzie z bieli-  
zną. Każda z nas miała jakiś sposób, żeby jakoś wytrzymać: Ismay  
swoj rytuał, a ja mój specjał, który — przy pełnej aprobacie Paulie

— kradłam garściami z tacy wychowawczyni.

Numer sześć: „Był wspaniały wiosenny poranek, gdy Bader je-chał do Roehampton po odbiór  
zamówienia, a dusza jego radowała się na tę myśl. Zdawało mu się, że tak właśnie czuje się kobieta,  
któ-ra wybiera się po zakup nowego futra”.

— A po co jechał? — Nie byłam wystarczająco odważna, by po-  
wiedzieć, że nie mam ochoty słuchać o jej idolu Douglasie Baderze.

Bader wydawał mi się pretensjonalny, a nie miły i elegancki jak pre-  
zydent Kennedy.

— Nowe nogi, oczywiście. Drewniane. Dwie. Pasjonujące.

\* Douglas Bader — słynny brytyjski pilot myśliwski i akrobacyjny, który mimo utraty obu nóg w wypadku  
lotniczym został dopuszczony do lotów przy użyciu protez.

— Ja bym się nie ekscytowała z powodu nowego futra — rzuciłam. — Nie lubię ich.

W głębi duszy poczułam niepokój. Być może tak właśnie czuła się Sal, kiedy w zeszłym roku Morley podarował jej na gwiazdkę fu-trzaną etolę. Ale nie powiedziałam tego Ismay. Uważałam kobiety za najgorszy rodzaj ludzi, ale wciąż wkurzała mnie myśl o Sal i o tym, jak pasowały do niej historyjki o słodkich idiotkach, które myślą tylko o ubraniach i biżuterii. Nawet jeśli Sal nie do końca ta-ka była, w każdym razie nie w głębi duszy. Wiedział o tym każdy, kto poznał ją bliżej.

Nagle zdarzyło się coś najbardziej niespodziewanego: z szafy wy-szła Paulie. Zawsze się tam przebierała i żadna nie ośmieliła się nic na ten temat powiedzieć. Obie z Ismay aż krzyknęłyśmy, bo nie mia-łyśmy pojęcia, że podsłuchiwała nas z ukrycia. Zawstydyłam się z powodu tego typowo dziewczynskiego zachowania.

— Ale z was dzieciaki — Paulie uśmiechnęła się złośliwie i zaczęła związywać włosy gumką ze spodenek. Poczułam się jeszcze gorzej.

— Jesteś beznadziejna, Pauline Sykes. Nikt przyzwoity nie zaskoczyłby nas w ten sposób — stwierdziła Ismay. Wzięła do ręki sukienkę i pomachała nią w stronę Paulie. — I nie myśl, że ujdzie ci to na sucho. Zapłacisz cholerny rachunek z pralni.

— Nawet nie dotknęłam twojej głupiej kiecki — odparła Paulie. Smarowała sobie pryszcze specjalnym białym kremem. — Sama to zrobiłaś, a teraz nie chcesz się przyznać. Prawda, Bradford?

Chciałam móc powiedzieć prawdę. Mówiąc między nami, nawet lubiłam Ismay. Nie przejmowała się tym, co myślały inne dziewczyny. Lubiła mnie i w tajemnicy przed Paulie dała mi swoje „Oreo”. Na jej miejscu umarłabym chyba, bo w jadalni dziewczyny nie chciały siadać koło niej i zastaniając usta dłońmi, chichotały, gdy zbyt głośno śpiewała podczas nabożeństw. Nigdy nie zapomnę jej angielskiego głosu wznoszącego się ponad nasze kanadyjskie sopraniki: „Uczyn mi szczęśliwą i wolną jak morskie fale tańczące w słońcu... uczyn ścieżkę mego życia prostą jak wspaniała wysoka sosna”. Mnie przed zaczepkami broniła Paulie, a Ismay nie miała nikogo takiego.

Tak czy owak, wymamrotałam coś w rodzaju: może i tak, i dalej wsuwałam moje „Oreo”. Wylizałam już ze wszystkich białe nadzie-nie i teraz chrupałam jeden po drugim czarne wafelki. Ismay spoj-

rzała na mnie, jakby serce jej pękło, i zaczęła głośno czytać. „U Des-souttera\* były trzy drewniane schodki z poręczą, więc kiedy przy-mierzył nowe nogi, spróbował...”

— Skończ wreszcie z tą głupią książką! — Paulie rzuciła się w stronę Ismay i, przysięgam, już miała ją walnąć, więc krzyknę-  
łam:

— Ismay, uważaj! (Przynajmniej tyle mogłam zrobić).

Paulie posłała mi piorunujące spojrzenie, złapała książkę

0 Douglasie Baderze i wyrzuciła przez okno. Ismay zaczęła piszczeć

1 płakać. Otworzyły się drzwi do sypialni. Weszła panna Phillips.

— Wystarczy, Ismay. Pauline, rano zgłosisz się do panny Vau-ghan...

Obudziłam się potem w środku nocy i zobaczyłam Paulie stojącą z papierosem przy otwartym oknie. W tej chwili była tak bardzo podobna do Lewisa, że naciągnęłam kołdrę na głowę i zaczęłam ro-bić to, co tak często robiłam kiedyś w moim pokoju w Madoc's Lan-ding — onanizować się.

Chciałabym, żeby wszystko było jasne. Jeśli o mnie chodziło, za-bawy z samą sobą nie miały nic wspólnego z Paulie czy z chłopcami. Czy z seksem w ogóle. Widywałam co prawda na filmach zmysłowe kobiety w objęciach mężczyzn, ale tak naprawdę nie miałam pojęcia, jak to się kończy. Masturbowanie się było po prostu zabawą, jak bierki. Można grać samemu i to tyle razy, ile się chce. W szkole z in-ternatem wszystkie potrzebowałyśmy przyjemności w pojedynkę. To była moja, podobnie jak ciastka. Niestety, jak tylko zaczęłam się roz-grzewać, ktoś ściągnął ze mnie kołdrę.

— No dobra, Bradford. Wstawaj.

— Dlaczego? — szepnęłam.

— Bo Kong tak chce!

\* Marcel Dessoutter —konstruktor samolotów, po utracie nogi w wypadku lot-nicznym rozpoczął produkcję i sprzedaż metalowych protez.

Na piątym piętrze Paulie kazała mi się zatrzymać, żeby złapać od-dech. Z dołu słyszałyśmy, jak Fobia



narzeka na „smarkule”, które wysmarowały jej deskę klozetową wazeliną. Ku memu przerażeniu rozmowa nagle ucichła i w wieży rozległo się zwielokrotnione echem bębnienie, które mogło oznaczać tylko jedno: jeszcze chwila, a z ciemnej klatki schodowej wyłoni się podobna do księżycy siwa głowa Dziewicy.

— Tędy, szybko — syknęła Paulie.

Rzuciła się na łeb, na szyję w górę schodów, na które uczennice nie miały prawa wchodzić, a ja, potykając się, poszłam za nią, rozglądając się na prawo i lewo, czy nikt nas nie widzi. Nienawidziłam się za to, że martwiłam się, czy nie wyrzucą mnie ze szkoły za wdarcie się do pokoi wychowawczyń. Marzyłam o tym, by być jak Paulie, która w kościele podkładała pinezki na ławkę Dziewicy, gdy ta wstała, by śpiewać, a nie jak te idiotki, które uważały się za odważne, bo podciągały spódnice, prowokując armię wychowawczyń pod wodzą Dziewicy, by dały im naganę za nieodpowiedni strój. Stałam na straży, trzęsąc się ze strachu, podczas gdy Paulie szukała czegoś w kieszeni.

— Stary dobry wytrych — wyszeptwała. Chwilę później wepchnę-

ła mnie do środka.

W saloniku pani Peddie było zimno. Pokoje były urządzone bez zbytku, podobnie do naszych, z wyjątkiem ogromnego fortepianu Heintzman, na którym lubiła nam grać w niedzielne wieczory, po pogadankach Dziewicy.

Paulie zamknęła drzwi od wewnątrz na zasuwę i zaczęła szperać w biurku pani Peddie. Nie miałam pojęcia, czego szuka. Z korytarza doleciał mnie kaszel Dziewicy.

95

— Pospiesz się, Sykes — nigdy wcześniej nie odważyłam się

zwrócić się do niej po nazwisku.

Paulie uśmiechnęła się szeroko i wyjęła kolejny klucz. Pogrzebała jeszcze chwilę w biurku, po czym wyciągnęła torebkę karmelków i wypchany listami notes. Chichocząc, wysypała zawartość szuflady na podłogę i rzuciła mi notes.

— Listy miłosne starego pudła — stwierdziła, po czym przy po-

mocy klucza pani Peddie otworzyła wysokie drzwi obok fortepianu

i wepchnęła mnie na zewnątrz.

Szłam za nią na palcach po skrzypiących schodach, tak szerokich, że pomieściłyby pułk Sir Jonathona. Zeszliśmy trzy, może cztery piętra i znalazłyśmy się w małym pokoiku z dwoma parami drzwi. Na pierwszych był napis: „Napięcie”. W ciszy rozlegał się tyłko jednostajny pogłos z ciepłowni.

— Przygotuj się — szepnęła Paulie — zaraz zobaczysz krainę

kibelków.

Drzwi bez napisu otworzyły się, odsłaniając długi nieoświetlony tunel. Właściwie nie było tam ciemno, ale sufit znajdował się bardzo nisko, a kręte rury ogrzewania wyglądały w mroku jak grube roba-ki. Nagle zobaczyłam coś bardzo dziwnego: ustawione wzdłuż ścia-ny tunelu rzędy miniaturowych toalet. Były strasznie zakurzone i wydawały się za małe nawet dla Sierżanta.

— Zostawili je tu po remoncie szkoły podstawowej. Dziewica

nigdy nas tu nie znajdzie.

Skradałyśmy się powolutku w ciemnościach, uważając, by nie dotknąć gorących rur. Ich powierzchnia była pokryta falistą fakturą oklejoną gazą. Na drugim zakręcie rury rozdzielały się na dwie: do-pływową i odpływową, rozchodzące się w różnych kierunkach, do po-szczególnych skrzydeł szkoły. Sufit był tutaj trochę wyższy. Wszyst-ko pokrywał kurz — gruba warstwa kurzu, który czułam nawet w nosie.

Rozległ się jakiś huk. Aż podskoczyłyśmy. Dźwięk robił się coraz głośniejszy. Nad naszymi głowami słyhać było jakby powiew wiatru i jakiś metaliczny brzęk, jakby coś waliło w rury od środka, chcąc wyjść i rzucić się na nas.

— Ja wracam — powiedziałam cicho.

— To tylko piec — stwierdziła Paulie normalnym głosem i wzię-

ła mnie za rękę. Dałam poprowadzić się za zakręt tunelu.

96

Ogromny trójkołowy rower, taki sam jak na portrecie angielskiej dyrektorki, stał oparty o ścianę obok dużego kufra. Trudno uwie-rzyć, że ktoś mógł kiedyś jeździć na tym dziwacznym ustrojstwie (choć za domyślam się, że za pięćdziesiąt lat ludzie powiedzą o na-szych rowerach dokładnie to samo). Rower dyrektorki wyglądał na bardzo dobry egzemplarz. Miał spory dzwonek, a przy kierownicy obciążnięty skórą reflektorek.

Paulie otworzyła skrzynię. W środku pełno było sprzętu rowero-wego. Wyciągnęła stare okulary i założyła mi je. Wskazała ręką na coś, co przypominało prostokątny nagrobek, i kazała mi na to wejść. Powiedziała, że Sierżant mówił jej, że to stary podnózek, którego Sir Jonathon używał do wsiadania na konia. Wcale nie chciałam siadać na tym starym, rozchobotanym rowerze, którego nerkowate siodeł-ko znajdowało się wysoko ponad naszymi głowami. Ale, jak Alicja dobrze wie, posłuszeństwo to moja największa wada. Sal wychowa-ła mnie tak, żebym natychmiast wykonywała jej polecenia. Nie mo-gę jednak zrzucić na nią całej winy. Myślę powoli i zrobienie od ra-zu tego, co ktoś mi każe, oszczędza mi konieczności ustalania, co na-prawdę o tym myślę aż do momentu, gdy mam czas, żeby się spokojnie

nad tym zastanowić.

Zaczęłam więc wspinać się na podnózek, gdy Paulie dała mi znak, żebym stanęła. Trochę dalej w tunelu ktoś śpiewał niskim głosem w dziwnym języku, którego nie mogłam rozpoznać. Oparłam się o rower i jedno z kół zaczęło się obracać z metalicznym dźwiękiem. Jakies dwadzieścia metrów od nas w tunelu pojawiła się sylwetka mężczyzny. Był to Willy, nasz woźny. Nie wydaje mi się, żeby mógł nas dojrzeć w słabym świetle, ale musiał coś zobaczyć, bo nagle zaczął iść w naszym kierunku, wymachując ramionami i wykrzykując niezrozumiałe słowa. Trzęsąc się ze zdenerwowania, schowałam się za Paulie, która czymś w niego rzuciła. Chyba kluczem francuskim, który wyjęła z kufra.

— Trzymaj się z daleka, ty przybłędo.

Willy stanął i patrzył na swoją stopę, tam gdzie uderzył go klucz. Paulie wyjęła z kieszeni petardy, chyba najgorsze, jakie są, o których Sal mówiła, że niemowlęta od nich ślepną. Zapaliła jedną z nich i rzuciła w stronę Willy'ego. Wybuchła w powietrzu, a kiedy ten przykucnął z krzykiem, zapaliła i rzuciła następną w stary kuł na śmieci stojący przy drzwiach do kotłowni. Eksplozja za-

97

brzmiała jak ogłuszający strzał z karabinu maszynowego. Willy zasłonił uszy rękami, a Paulie złapała mnie za ramię i pociągnęła do małego korytarzyka, którego wcześniej nie zauważyłam. Zobaczyłam stare fotele z porwanymi oparciami i okropne zasłony, którymi Paulie zakryła otłarzyk na cześć Konga. Rozpoznałam szopę na węgiel. Paulie jednym pchnięciem otworzyła drzwi i wyszliśmy na zewnętrz.

Była noc. Padał ulewny deszcz — tak obfity, że nie widać było nic prócz zarysów starego żywopłotu z bukszpanu i czubków drzew w wąwozie. Na południu niebo trochę się przejaśniło i połyskiwało delikatnym pomarańczowym odbłaskiem światła miasta. Widać było iglicę wieży Kings College. W deszczu widok ten przywodził na myśl jakieś szczęśliwe królestwo tak odległe od naszego zwykłego życia w Bath Ladies College. Paulie szturchnęła mnie i pobiegłyśmy ścieżką do frontowego wejścia, gdzie na kamiennym ogrodzeniu siedziała wysoka postać w za luźnym płaszczu. Dostrzegłam aureolę siwych włosów i drżące pomarańczowe światełko pod połyskującymi w mroku okularami.

— Mamy szczęście — szepnęła Paulie. — Przyłapałyśmy starą Cockshutt na paleniu. Nie doniesie na nas.

Weszłyśmy frontowymi schodami. Rzeczywiście, telefonistka tylko zmarszczyła brwi, gdy mijaliśmy ją po drodze do sklepionego kamiennego foyer. Wspięłyśmy się po reprezentacyjnych schodach Sir Jonathona, niosąc okulary i skradziony przez Paulie notes. Spodobałam się, że Dziewica będzie czekać w naszym pokoju. Ale poduszki ułożone pod kołdrami nadal udawały nasze śpiące ciała. W sypialni nie było nikogo oprócz chrapiącej przy szeroko otwartym oknie Ismay. Paulie nie odzywała się, ale wiedziałam, że przeszłam kolejny test. Ja, Mysza Bradford, byłam prawdziwą zakałą, złą dziewczyną, czarną owcą. Wszystko to zawdzięczałam Paulie, która pomogła mi przechytryć Dziewicę w naszej walce przeciwko starym pannom.

ia

Nazajutrz czytałyśmy z Paulie listy ukradzione z mieszkania pani Peddie. Były to listy pisane przez pannę Vaughan i panią Peddie.

16 listopada, 1953

Witaj, moja kochana!

Nareszcie ramię wydobrzało na tyle, że mogę do Ciebie napisać. Wczo-raj późnym popołudniem odwiedził mnie chirurg i powiedział, że muszę zo-stać jeszcze dwa tygodnie na obserwacji. Dwa tygodnie, Lolu! Czeka mnie leczenie zwichniętego ramienia zabiegami wodnymi. Wstrząs mózgu nie jest poważny, mimo że leżałam nieprzytomna przez cały dzień. Doktor Tul-ly mówi, że ciało ma swoje własne sposoby leczenia i że jeśli tylko nie będę się przeciążała, moja biedna głowa wyzdrowieje. Nadal mam bóle głowy, ale podwójne widzenie chyba już przeszło. Doktor Tully mówi, iż ma nadzieję, że ten, kto mi to zrobił, spędzi lata w więzieniu. Z jakiegoś powodu nie mo-gę się zmusić, żeby mu powiedzieć, że to policjant. Nie zamierzam też mówić o tym ojcu. Obawiam się, że pękłoby mu serce. Jesteśmy sobie tacy bliscy, a jednocześnie on nie może — nie chce — mnie zrozumieć. Czy wiesz, że nie wierzy nawet, iż jestem w stanie kontrolować własne wydatki. Jak-był nie miała pojęciach o liczeniu! Ja, najlepsza z matematyki w całej szkole! Lola, on jeszcze do niedawna kazał mojemu najmłodszemu bratu pomagać mi przy sprawdzaniu wyciągów bankowych. Zdumiewające, nie-prawdaż?

Prawdą jest jednak, że nie przywiązuję wagi do pieniędzy, a wręcz grze-szę nadmierną oszczędnością. Może o to właśnie chodziło ojcu, gdy kazał Jasonowi pilnować moich wydatków. Zjeździłam Europę za niecałe 40 fun-tów, zatrzymując się w schroniskach młodzieżowych. A teraz uczymy w Bath Ladies College za prześwietną kwotę 2000 funtów rocznie. O dwa i pół tysiąca mniej, niż zarabia nauczyciel angielskiego w szkole średniej

99

w Toronto, Lola. Myślałam, że to będzie 2000 funtów za semestr. W Boże Narodzenie będę chyba musiała powiedzieć pannie Higgs, że bardzo trud-no jest przeżyć za taką pensję.

Tvoja Vera

PS Obawiam się, że nie jestem gotowa rozmawiać o tym, co się wyda-rzyło, Lolu. Gdybyś tu była, z pewnością zbeształabyś mnie z tym swoim pełnym wdzięku uśmiechem i pomogła mi zrzucić ten ciężar. Z przyjemno-ścią myślę o tym wszystkim, co radziłabyś mi robić, by nie tracić bezpro-duktywnie czasu. Udawałabym, że nie biorę na poważnie Twoich optymi-stycznych słów, a potem podniesiona na duchu poszłabym na kurację wod-ną. Bądź spokojna, robię, co w mojej mocy, by wystarczająco się wzmocnić i

móc znów wziąć cię w ramiona, i ucałować kąciki Twych kochanych ust.

21 listopada, 1953

Kochana Vero!

Panna Higgs przyszła wczoraj do pokoju nauczycielskiego z wieściami o Tobie. Jak podejrzewałam, rządysz wszystkimi dookoła i nie słuchasz pie-lęgniarek, kiedy mówią ci, żebyś leżała spokojnie. Vero, jesteś osobą zdecydowaną, ale sama wiesz, że często przeceniasz swoje siły. Och, dam sobie radę, powtarzasz zawsze. Bzdura. Tak jak wszyscy potrzebujesz czułej opieki. Powinnaś pozwolić, by sprawy szły swoim tokiem. No dobrze, ofuknęłam cię. Niedługo przywiozę Ci kilka par ciepłych skarpetek i jakieś wełniane ubrania. Przydadzą Ci się w tym ponurym szpitalnym pokoiku.

Z najlepszymi pozdrowieniami,

Lola

PS Oczywiście żałuję, że nie zostałam w hallu hotelu. Dwóch kobiet nie udałooby mu się pobić tak brutalnie. I jestem bardzo, bardzo zła z powodu tego, co się stało, Vera. To oburzające, że kobieta o Twojej pozycji stała się ofiarą napadu i być może została oszpecona z powodu czyichś uprzedzeń. Wydaje się, niestety, że uczennice coś wiedzą. Ale ani panna Higgs, ani ja nie jesteśmy w stanie wskazać osoby rozpuszczającej w internacie plotki, że padłaś ofiarą gwałtu.

30 listopada, 1953

Moja kochana Lolu!

Wybacz mi ten wybuch uczuć, który sprawił, że w czasie odwiedzin u mnie poczułaś się trochę nieswojo. To dlatego, że jestem tu już tak długo. Do tego ta perspektywa pozostania na święta na dalsze badania! Zdaję so-

100

I

bie oczywiście sprawę, że wypadek w „Continentalu” sprawił, że stałaś się ostrożniejsza. Przeklinam za to tę kanalię. Wiem, wiem, musimy być teraz ostrożniejsze, ale moje uparte serce nie chce temu policjantowi czy jemu podobnym dać satysfakcji wtrącania się do naszej miłości. Jestem wdzięczna za Twoją obecność w moim życiu. Pamiętasz ten dzień, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy w Cheltenham Ladies College, Lola? Pomyślałaś, że jestem intelektualistką, kiedy w spodniach i z plecakiem weszłam na teren Cheltenham. Byłam przyzwyczajona do jeżdżenia autostopem po Euro-pie. Tymczasem panna Higgs w jednej ze swych starych ciemnych sukien jeździła wokół stawu na starodawnym trzykołowym rowerze. Jechała dosyć szybko, a Ty i Charles goniliście ją z herbatą na tacy.

Nie wydawałaś się w najmniejszym stopniu zmieszana widokiem starszej pani w dziwnym stroju kręcącej się po trawniku na czymś, co przypominało powiększony dziecięcy rowerek.

Kiedy później zagadnęłam Cię na ten temat, stwierdziłaś, że panna Higgs zachowywała się całkiem rozsądnie. Edwardiańskie suknie były ob-szerniejsze od współczesnych ubrań, a na trzykołowym rowerze łatwiej utrzymać równowagę. Powiedziałaś też, że panna Higgs posuwa się w la-tach, ale potrzebuje ćwiczeń fizycznych jak każdy z nas. Nie miałam poję-cia, że na przełomie wieków trójkołowce były poważnym sportem. Jednym słowem, w moich spodniach byłam prawdziwą obrazoburczynią. Któżby wtedy przypuszczał, że staniemy się dla siebie takie ważne. I że śladem panny Higgs powrócimy do Kanady, mojego ojczystego kraju, by tu uczyć.

Twoja Vera

PS Doceniam Twoje oburzenie, Lolu. Osobiście nie czuję złości. Nie chcę brać tych uprzedzeń do siebie. I zawsze byłam świadoma niebezpieczeństw. Chodzi mi o tę straszną przygodę, która zdarzyła się Zoocy Armstrong w Cherry Beach. Pobita i zgwałcona przez naszych policjantów na oczach Nan Tyler (która nie mogła nic zrobić, by pomóc swej ukochanej). Lolu, to, co się stało, było odrażające, ale przynajmniej tego nam oszczędzono.

9 stycznia, 1954

Kochana Vero!

Panna Higgs złapała winną rozprzestrzeniania plotek na Twój temat. Zaczęło się od artykułu w „Hush Free Press”. Ojciec Jellie Godsoe pracuje dla tego szmatławca i pokazał Jellie wycinek z opisem pobicia Cię przez po-licjanta. Redakcja „Hush” znajduje się w pobliżu ratusza, nieopodal „Con-tinentalu” i jeden z reporterów był naocznym świadkiem napadu. W „Hush”

101

nie mają pojęcia, że zostałaś pobita, ponieważ kochasz kobietę. Prowadzą kampanię przeciwko przemocy policjantów i uważają cię za przedstawiciel-kę klasy średniej, która stała się ofiarą bezprawnego ataku (co jest zresztą prawdą). Dałam wycinek pannie Higgs, która ma Ci go wysłać. Jest zbyt długi, żeby wdawać się w szczegóły w tym liście. Tytuł brzmi: „Uczciwa oby-watelka pobita do nieprzytomności przez bezwzględnego gliniarza”. Piszą, że zostałaś zaatakowana, ponieważ policjantowi wydawało się, że jesteś podobna do Teresy McClusky poszukiwanej za porwanie dziecka w mieście Mississauga. Myślał, że odnalazł tę dziewczynę i że jeśli ją aresztuje, będzie miał szansę na odznaczenie i awans. Nie ma tam ani słowa o tym, że poli-cjant widział, jak całowałyśmy się w budce telefonicznej. (och, Vero, a ja wy-brałam budkę, bo byłam pewna, że nikt nas tam nie zobaczy). Jest też dłu-gi opis tego, jak posterunkowy wykręcił Ci ramię, porwał bluzkę, a potem wielokrotnie uderzał głową o framugę drzwi. Za przyczynę tego nieporozu-mienia podano brak doświadczenia policjanta. Nie trać ducha, moja kocha-na. Nie poddamy się.

## Tylko Twoja Lola

Czytałyśmy te listy, nic do siebie nie mówiąc, w zadziwieniu przekazując sobie poszczególne kartki. Było coś ekscytującego i przerażającego w tym, że wpadłyśmy na dokumenty potwierdzające krążące plotki. Paulie stwierdziła, że to jakby położyć ręce na tajemnicy bomby atomowej. Powiedziała też, iż zamierza wykorzystać te listy, by zmuszać Dziewicę do robienia wszystkiego, czego od niej zażąda. Ukryła je w pudełku po podpaskach Kotex w mojej komo-dzie. Uznała, że mnie nikt nie będzie podejrzewał. Kiedy jednak po śniadaniu zajrzałam do szuflady, listów nie było. Domyślałam się, że panna Phillips znalazła je w czasie porannej kontroli i oddała pan-nie Yaughan. Czekałyśmy, aż zostaną wezwana na dywanik, ale mi-jały tygodnie i nic się nie działo. Poza tym, że razem z Paulie wciąż się nad tym głowiłyśmy.

102

Tydzień po tym, jak Paulie ukradła listy pani Peddie, miałam oka-zję zobaczyć na własne oczy, że te dwie kobiety naprawdę się kocha-ją. Stało się to, gdy byłam w pokoju pożegnań, który stanowił przy-stanek pomiędzy szkołą a światem zewnętrznym. Lubiłam przesia-dywać tam w samotności, bo wtedy czułam się bliżej Morleya, jakby on, Sal i Lady byli zaraz za najbliższym wzgórzem, a nie oddaleni

0 setki mil długiej, wąskiej, asfaltowej drogi, która łączyła Ma-doc's Landing z tym dziwnym życiem w wielkim mieście. W pomie-szczeniu znajdowało się dębowe biurko, waga do ważenia paczek

1 duży czarny telefon, który można było mieć tylko dla siebie, wy-starczyło powiedzieć telefonistce, pannie Cockshutt, jakieś pochleb-stwo. Leżały tam oczywiście również książki wyjść. Każda z mie-szkających w internacie dziewcząt miała obowiązek poinformować szkołę z wyprzedzeniem o planach na weekend i wpisać nazwiska osób, z którymi zamierzała go spędzić w jednej z zielonych książek opatrzonych napisami „wejście” i „wyjście”. Mogły to być tylko oso-by zaakceptowane przez rodziców. W moim przypadku nie było pro-blemu, bo zaprosił mnie brat mojej zmarłej mamy, który jest du-chownym. Wujek lubił powtarzać, że przez rok zarabia tyle, ile jego szwagier płaci rocznie na ubezpieczenie. Mam nawet w kieszeni je-

go własny list, który to potwierdza.

2 listopada, 1963

Kochana Mary Beatrice!

Twoja macocha napisała do nas z zapytaniem, czy Margaret i ja spędzi-libyśmy z Tobą weekend, kiedy przyjedziemy do Toronto na spotkanie władz diecezji. Sama nie może zaprosić Cię do domu na długi weekend, bo ma operację pęcherza.

103

Razem z cicią zamówiliśmy pokój w hotelu „Park Plaża”, byśmy mogli podjąć Cię w sposób, do którego jesteś przyzwyczajona w domu.

Z najlepszymi życzeniami

i wyrazami uczuć,

wuj Winnie

Nie wiadomo dlaczego, zawalony książkami stół nagle zaczął się trząść. Ktoś odchrząknął ze złością. Potem rozległy się ciężkie kroki na wspaniałym parkiecie Sir Jonathona. To Dziewica znów wstąpiła na wojenną ścieżkę. Zza matowych szyb w drzwiach byłam dla niej niewidoczna. Skulona i drżąca, stałam oparta o ścianę, przyglądając się przez fazowaną krawędź szybki.

— O co chodzi? — Dziewica warknęła na kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem mego wzroku. Znacie wizję przyszłości Orwell? Obcas żołnierskiego buta na ludzkiej twarzy? Taki właśnie był ten głos. Zdawało się, że Dziewica zaraz rozdepcze mnie albo jakiegokolwiek inne stworzenie, które znajdzie się na jej drodze.

— Och, Vero, czy to prawda? Połączą nas z Kings College? — rozpoznałam znany mi brytyjski akcent. — Wiesz, co się działo, kiedy szkoła St. Mildred stała się koedukacyjna? Dziewczęta żuły gumę, nie zwracając uwagi na to, że są w mundurkach, i zaczęły przychodzić na zajęcia w spodniach.

— Wystarczająco się już o tym nasłuchałam...



Zobaczyłam teraz Lolę Les, kochankę Dziewicy, w jednym z tych zbyt obcistych swetrów. Wyciągnęła rękę i, jakby ona i Dziewica znajdowały się gdzie indziej, poklepała ją po policzku.

— Moje biedactwo, to musi być dla ciebie straszne.

Ku memu zaskoczeniu Dziewica pochyliła swą dużą siwą głowę i zaczęła drzeć na całym ciele, jak Lady chowająca się pod łóżkiem w czasie burzy. Usłyszałam cichutkie łkanie. Zdaje się, że Dziewica płakała.

— Cały personel myśli tak jak ja. To takie podstępne. Postawić na twoim miejscu mężczyznę — dodała pani Peddie.

— Nie mogę robić z tego powodu zamieszania, Lola. Pomyśl, jak ucierpiałyby na tym reputacja szkoły.

— Postuchaj, Vera. Nie mogę się na to zgodzić. Musisz się bronić i powiedzieć kanonikowi Quinnowi, że po prostu nie chcemy, żeby był naszym dyrektorem.

104

Skamieniałam. Babska Ciupa połączona ze szkołą dla chłopców? Dziewica płacze? Niewyobrażalne. Do tego obie wydały mi się tak smutne i załamane, że zrobiło mi się ich żal. Muszę przyznać, że byłam troszkę zdenerwowana i kiedy wycofywałam się, zrzuciłam ze stołu jedną z książek. Dziewica otworzyła drzwi i zobaczyła mnie. Pani Peddie obróciła się i również na mnie spojrzała. Było jednak za późno na burę za podsłuchiwanie. W szkolnym foyer zbierali się już nauczyciele-mężczyźni na spotkanie w sprawie programu nauczania. Jeden za drugim wchodził przez frontowe drzwi. Nogi w luźnych tweedowych spodniach, nogi w szarych flanelach. Niektóre pośladki w wyświeconych, tanich spodniach, inne obleczone w drogą wełnę.

Chwilę później zapomniałam o Dziewicy i pani Peddie, bo w foyer zobaczyłam Paulie przyglądającą się nauczycielom z ukrycia. Kręciła się za jedną z kamiennych kolumn — nieokreślona uczennica w czarnych szkolnych pończochach z oczkami. Tylko ta dziura w pończosze odróżniała ją od wielu jej podobnych dziewczyn.

W tym czasie nauczyciele wchodziłi do biblioteki. Rozglądali się dyskretnie po foyer. Niektórzy przypominali uczniów. Nerwowo zdejmowali paproszki z blezerów z Kings College, niepewni, czy sprawdzą się przed dziewczętami. Byli to w większości Brytyjczycy. Kanonik Quinn był zwolennikiem klasycznej angielskiej edukacji. Nauczyciele występowali w dwóch odmianach: niscy i krępi albo wysocy i smukli. Niscy i krępi wyglądali jak angielscy policjanci, których zdjęcia wklejałam do albumu o koronacji królowej: klasa robotnicza. Mali, o nalanych twarzach pod metalowymi hełmami przypominającymi wywrócone do góry nogami kosze na papiery, ze szczecinastymi wąsami jak

szczotki do czyszczenia toalety. Ci wysocy i szczupli należeli do klasy wyższej albo przynajmniej mieli nadzieję, że będą uważani za dobrze wychowanych. Ich wysokie piskliwe głosy wznosiły się w górę, rozbijając się o sklepienie jak ptaki w klatce.

Nagle pod drzwiami pokoju pożegnań zjawiła się Paulie. Spojrzała wyniośle na Sierżanta.

— Nie słyszał pan, że pani Peddie pana szuka? W sali gimnastycznej potrzeba więcej krzesel.

105

Zgodnie z poleceniem Dziewicy ustawianie krzesel na poranną modlitwę należało do codziennych obowiązków Sierżanta. Odszedł z przekleństwem na ustach. Paulie nawet nie zauważyła, że go tak potraktowała. Gapiła się na nauczycieli, na ich pozapinane na zamki błyskawiczne rozporki. Wszystkie dziesięć. I na to, co kryło się za każdym z tych zamków i odróżniało ich od Paulie.

106

Alicja i ja znów rozmawiamy o penisach

— Alicjo, nigdy nie chciałam mieć penisa. Podobnie jak piersi i podrzędnej pozycji, jaka się z nimi wiąże. Trudno jest być kobietą. Złośliwość Pana Boga.

— No cóż, penisy wydają się całkiem interesujące.

— Wcale nie są takie wspaniałe. To znaczy, u przedstawicieli gatunku ludzkiego penis nie jest proporcjonalnie tak długi jak, na przykład, u mięczaka o nazwie *Tresas capax*\*. Taki samczyk jest facetem w dziewięćdziesięciu procentach. I to wysoce oślizłym dla swej pani mięczakowej.

— Czy to historyjka z serii moich żartów o penisach?

— Nie bądź obleśna. Mówię o nauce. Czytałam na przykład, że długość tego męskiego dodatkowego wyposażenia przekracza jego długość u innych zwierząt i ma czynić z męczyzny pana stworzenia. A przecież mężczyźni zawdzięczają wielkość penisa kobietom. Gdy kobiety stanęły wyprostowa-

ne, ich pochwy wygięły się do przodu i w dół. Penisy, zgodnie z zasadą działania szyi żyrafy, wydłużały się, by dotrzeć do tego, co znajdowało się poza ich zasięgiem.

— Świetna teoria, Myszko. To musi być wspaniale być taką mądrą.  
— No pewnie. Nie zmienia to jednak faktu, że penis jest dosyć krępujący. Wydaje się też trochę uciążliwy, jak jakiś detal, o którym się nie myśli, a który może się zaplątać w źle dopasowanej bieliźnie. Poza tym Paulie też wcale nie chciała penisa w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Nie wiem, dlaczego ten psychiatra tego nie rozumiał. Przecież wiedzieć lepiej od pacjenta to jego praca...

\* *Tresas capax* — mięczak, występujący licznie w wodach u zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych i Kanady; organ służący zdobywaniu pożywienia przypomina kształtem ludzkiego penisa.

107

WYSOKI SĄD: Doktorze Torval, zajmował się pan oskarżoną przed popełnieniem zbrodni?

DR TORVAL: Bardzo krótko, wysoki sędzie. Oskarżona nie chciała przyjąć żadnej interpretacji poza jej własną.

WYSOKI SĄD: W innych okolicznościach uznano by to za dowód dojrzałości, doktorze Torval. Proszę powiedzieć sądowi, jak ocenił pan Pauline Sykes.

DR TORVAL: Tak, wysoki sędzie. Fizycznie Pauline jest normalną, bardzo dobrze rozwiniętą osobą płci żeńskiej. Z punktu widzenia biologii jest dziewczynką.

WYSOKI SĄD: Ale nie chciała nią być, czy tak?

DR TORVAL: Dokładnie tak, wysoki sędzie. Gdy była maleńkim dzieckiem, została porzucona przez matkę i przygarnięta przez starszego mężczyznę i jego żonę z małego miasteczka w zachodnim Ontario. Po ich śmierci wyjechała do Toronto i zaczęła zachowywać się jak chłopiec. Moim zdaniem, wysoki sędzie, nienawidziła kobiet, bo czuła się ofiarą jednej z nich. Dobre strony życia kojarzyły jej się z byciem chłopcem. Ze względu na dobro okazane przez starszego pana, czuła, że bycie mężczyzną to światło w tunelu. Nazywała go dziadkiem, a kiedy umarł, utrzymywała siebie i innych w przekonaniu, że nadal żyje. Wydaje mi się, że fałszowała listy, żeby szkoła zezwoliła jej na odwiedziny u niego. Podczas badań nie chciała, by ktokolwiek oglądał jej biust i genitalia. Nie podobały jej się. Owijała piersi bandażem

elastycznym. Robiła tak, od kiedy skończyła dwanaście lat. Wtedy właśnie zaczęła udawać chłopca, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Czy zgodnie z definicją określoną prawem oskarżona jest niepoczytalna, doktorze Torval?

DR TORVAL: To bardzo ciekawe zagadnienie, wysoki sędzie. Moim zdaniem oskarżona cierpi na schizofrenię. Obserwuję również u oskarżonej znaczący wpływ zjawiska, które Freud nazywał zazdrością o członka. Jest to wczesny, bardzo ważny etap rozwoju dziewczynek.

WYSOKI SĄD: Proszę wybaczyć, że przerywam, doktorze Torval, ale czy rzeczywiście dotyczy to Pauline Sykes? Mam tu przed sobą raport innego psychiatry, doktora Juliana. Jego zdaniem oskarżona jest zdrową psychicznie młodą kobietą odpowiedzialną za własne czyny. Uważa on, że oskarżona powoli stawała się transseksualistką, a proces ten może prowadzić do trudności w ocenie rzeczywistości.

DR TORVAL: Bardzo interesujące, że wysoki sąd podnosi tę właśnie kwestię. Transseksualizm zazwyczaj nie pociąga za sobą zaburzeń psychotycznych. Może będzie to z korzyścią dla sądu, jeśli opowiem o zaburzeniach płciowości bardziej szczegółowo. Przede wszystkim transseksualizm

108

nie jest uważany za poważną chorobę, która może mieć wpływ na ocenę rzeczywistości. Jest to rodzaj odchylenia. Kiedy przychodzimy na świat, każdy z nas ma biologicznie przypisaną płeć. Mali chłopcy mają penisy i jądra, małe dziewczynki — pochwy i jajniki. W wieku około dwóch lub trzech lat dzieci zdają sobie sprawę z własnej płci. To znaczy, wysoki sędzie, mali chłopcy robią rzeczy właściwe dla małych chłopców, a małe dziewczynki robią rzeczy właściwe dla małych dziewczynek.

PANNA WHITLAW: Sprzeciw, wysoki sędzie. Od pewnego czasu dyskutuję się nad tym, co to są rzeczy właściwe dla małych chłopców i dla małych dziewczynek.

WYSOKI SĄD: Dziękuję, panno Whitlaw. Chciałbym przypomnieć zarówno pani, jak i panu, doktorze Torval, że sąd nie jest zainteresowany zagłębianiem się w teorie psychiatrów, niezależnie od tego, jak są one fascynujące. Jesteśmy tu, by ustalić, czy oskarżona jest zdrowa psychicznie.

DR TORVAL: Tak, wysoki sędzie. Sądzę jednak, że dla celów tej sprawy musimy przyjąć pewne filozoficzne założenia na temat płci.

PANNA WHITLAW: Wysoki sędzie, czy możemy odejść od tych filozoficznych założeń? Jak wysoki sąd zauważył, jesteśmy w sądzie, nie zaś w miejscu, gdzie dyskutuje się o teoriach. Poza tym obecnie uważa się, że wiele cech postrzeganych w przeszłości jako typowo męskie, na przykład odwaga, można wzmocnić u osób jednej płci i osłabić u osób płci przeciwnej. Wysoki sędzie, jeśli mogę zauważyć, niektórzy psychiatrzy uważają, że zazdrość o członka ma znaczenie drugorzędne dla rozwoju kobiety.

WYSOKI SĄD: Panno Whitlaw, czy zamierza pani przedstawić nowe opinie lekarskie?

PANNA WHITLAW: Wysoki sędzie, koleżanka po fachu doktora Freu-da, doktor Karen Horney, powiedziała, że Freud wyolbrzymiał znaczenie zazdrości o członka wśród małych dziewczynek. Jej zdaniem obie płcie za-zdrozczą sobie nawzajem. Chłopcy tak samo zazdrozczą dziewczynkom piersi, jak dziewczynki chłopcom penisów.

WYSOKI SĄD: Wróćmy do oskarżonej, panno Whitlaw. A doktorowi Torwalowi chciałbym przypomnieć o ograniczaniu wypowiedzi do kwestii związanych ze sprawą.

To tyle, jeśli chodzi o Karen Horney i zazdrość o piersi. Czy o ma-cicę. Ja sama chciałam czegoś więcej niż członek, pragnęłam tego, co posiadał mój bohater, prezydent Kennedy: odwagi, własnego stylu, intensywnego życia i inteligencji. Czy dla Myszki to zbyt wiele?

109

W dniu, w którym miałam odnieść triumf nad płcią żeńską, obu-dziłam się późno i przyłapałam Ismay na zakładaniu gorsetu. Bie-liznę tego rodzaju widywałam dotychczas tylko na reklamach fir-my „Frederik's of Hollywood” w amerykańskich magazynach fil-mowych. Sal nosiła pas marki „Maidenform”, ponieważ musiała tuszować pokaźne pośladki (jej zasada mnie nie dotyczyła — uwa-żała, że moim chudym biodrom wystarczy biały bawełniany pa-sek do pończoch).

Zatem usiany marszczonymi kwiatuśkami z materiału gorset był dla mnie prawdziwym objawieniem. Schowałam się pod kołdrę i z podziwem patrzyłam, jak Ismay wciągnęła go nad kolana i opar-ła się o ścianę, dysząc i postępując. Elastyczny materiał ciasno opi-nał tłuste uda, tak że przypominały gigantyczne piersi grubej kobie-ty. Wsunęłam się głębiej pod kołdrę, aby nie zauważyła, że jej się przyglądam. Ciało Ismay wydało mi się wręcz niezdrowo pociągają-ce. Ja sama, niezależnie od ilości zjedzonych ciasteczek „Oreo”, byłam ciągle koścista, z widocznymi żebrami i wystającymi biodra-mi. Tymczasem Ismay, jak Matka Boska, wydawała się stworzona w jednym celu — żeby zrobić jej dziecko, jak mówią w Madoc's Lan-ding. Niektóre dziewczyny po prostu mają pecha.

Gdy znów wyjrzałam spod kołdry, Ismay wciąż jeszcze wbijała się w bieliznę z miną męczennicy na chwilę przed egzekucją. Wre-szcie gorset ułożył się na zaokrąglonych biodrach. Przechyliła się i zręcznym ruchem zakotysała piersiami, tak że schowały się w wy-profilowanych miseczkach stanika. Teraz Ismay mogła wreszcie sta-nąć prosto, bez konieczności opierania się o ścianę. Zauważyła, że na nią patrzę. Westchnęła i odwróciła się tyłem, żebym nie widziała, jak walczy z pończochami.

110

W tym dniu próby nie chciałam myśleć nic złego o kimkolwiek, więc wytoczyłam się z łóżka i jak zwykle poszłam ubrać się do łazienki, żeby nikt nie zobaczył Alicji. Zresztą nie tylko ja przebiera-łam się w toalecie. Nie tylko po odgłosie spuszczonej wody można było poznać, czy obok ktoś jest. Poza tym żadna z nas nie pokazywa-ła się nago. Było to uważane za popisywanie się.

Kiedy wróciłam do sypialni, Ismay uśmiechnęła się do mnie, jak-by nie pamiętała już, że byłam świadkiem jej walki z gorsetem. Po-woli odwróciła się do mnie w swych czarnych lakierkach na wyso-kich obcasach. Miała na sobie białą bluzę z kołnierzykiem polo i krótką, podkreślającą biodra, kraciastą spódniczkę. Wszystkie dziewczyny w nich chodziły: wysokie w krótkich, a niskie w długich. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Gdyby Sal była z nami, wzięłaby Ismay na stronę i wyjęłaby coś czarnego lub granatowego, mrucząc pod nosem, że pulchne dziew-czeta powinny nosić ciemne kolory, bo to wyszczupla.

Nawiasem mówiąc, Sal chyba by zatkało na widok wymalowanej twarzy Ismay. Ismay wydawała się napompowana pewnością siebie. Aż się prosiła, żeby spuścić z niej powietrze, gdyby się akurat miało chęć rzucić wyzwanie wszystkim Ismay całego świata. Na ten mo-ment przez drzwi zajrzała Paulie, a zobaczywszy Ismay gwizdnęła tylko i rzuciła:

— Lecimy!

W jednej chwili zapomniałam o poglądach Sal na temat ubrań w kratkę i pobiegłam za Paulie pędzącą korytarzem jak jeden z tych dzikich chłopaków z dziewczęcych snów. Biegłyśmy tak długo, aż bębnienie czarnych czółenek Ismay za nami ucichło.

111

Stałam w ciemnej szopie na węgiel, smakując nowe myśli. Przypo-minało to próbowanie po raz pierwszy w życiu włoskich oliwek. W kącie leżała zmięta szkocka spódniczka i bluzka od Hardy'ego Amiesa. Miałam nie tylko kpiące, chłopięce usta. Paulie podpięła moje ciemne włosy do góry i założyła mi jedną ze swych czapeczek baseballowych daszkiem do tyłu, i presto! Stałam się, mhm, jakby facetem.

Nazwałam się Nick, jak Nick Grek, który prowadził bar z jedze-niem na wynos w Madoc's Landing. Z kącika skrzywionych ust zwi-sał mi papieros. Za okularami przeciwstónecknymi (pożyczonymi od Paulie) podkrążone oczy Nicka spoglądały w bok — złe i podstępne; oczy w ciemnych obwódkach gotowe do figli wszelkiego rodzaju. In-styktownie nieprzyzwoity ruch języka, który w otwartych ustach Nicka zdawał się mówić la-la-la, właśnie to chcę zrobić, polizać wszystkie te cudne, brązowe sutki pod bluzkami z cienkiego mate-riału, które tylko czekają, bym się nimi zajął.

— Łatwiej jest dziewczynie zmienić się w chłopaka niż na od-wrót — stwierdziła Paulie, wsuwając długi warkocz pod czapeczkę.

Zaczęła też owijać sobie piersi elastycznym bandażem. Moje by-ły tak małe, że nie zawracała sobie nimi głowy.

— Jeśli będziesz pewna siebie, ludzie uznają cię za chłopaka.

Jeśli chcesz być dziewczyną, musisz zachowywać się jak idiotka, a to

jest trudniejsze. Kto chciałby zamienić szacunek dla samej siebie na jakąś bezsensowną otwartość wobec innych? Jak można myśleć, iż pokazywanie, że zależy ci na tym, by jakiś chłopak cię polubił to sposób na życie? — dodała i założyła jedną ze swych dziwacznych czapeczek.

Zmieniła się nie do poznania. Na jej miejscu stał Lewis.

112

Pomogła mi, to znaczy, pomógł, włożyć starą marynarkę Willy'ego. Była o kilka rozmiarów za duża, miała usztywniane ramiona i zakładki z tyłu. Lewis powiedział, że w damskich ciuszkach człowiek czuje się, jakby nic na sobie nie miał, a męskie ubrania są dobrze dopasowane i dają oparcie. Miał rację. Wystarczy, że założysz garnitur i krawat, i już się zmieniasz. Masz poczucie kontroli, a jednocześnie czujesz się swobodnie. To samo z męskimi butami. Są cięższe od damskich, więc ma się wrażenie solidnego oparcia na ziemi.

Lewis uznał jednak, że moje ortopedyczne półbuty są wystarczająco ciężkie. A mnie podobał się ich odgłos. Bum, bum, bum — jak pantofle Dziewicy, których stukot przypominał strzały z kanonierki. Martwiłam się, czy garb nie będzie widoczny przez marynarkę, ale Lewis wypchał nieco drugie ramię. W stroju Willy'ego sylwetka była trochę niezgrabna, ale nie zniekształcona. Lewis zwracał szczególną uwagę na sposób poruszania się: miałam stać wyprostowana, z plecami ściągniętymi do tyłu i podniesioną głową. Kazał mi też prostować kolana, żeby chodzić dumnym krokiem, przyciągnąć podbródek i, co najważniejsze, nigdy nie opuszczać wzroku. Mogłam zacisnąć zęby, gdybym chciała, ale przede wszystkim musiałam pilnować, żeby zanadto nie rozluźniać szczęki. I otwierać usta, gdyby ktoś zadał mi pytanie, na które nie umiałam odpowiedzieć. Nie powinienam zbyt często się uśmiechać, chociaż z drugiej strony mogłam otworzyć oczy tak szeroko, jak się da, i odsłonić zęby, tak żeby dana osoba nie wiedziała, czy ją lubię, czy nienawidzę. Taka niepewność jest groźna sama w sobie — stwierdził Lewis.

To była przemiana w chłopaka.

Do mnie należała przemiana w Greka. Była to po prostu dekoracja — dodatek, jak torba na ramię. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak często przyglądałam się Nickowi, ale wydaje mi się, że zawsze przypatruję się mężczyznom, tak jak inni patrzą na pogodę. Ni stąd, ni zowąd okazało się, że nawet gestykuluję jak Nick. Ruchliwy język, ciągle poruszające się dłonie, od czasu do czasu zatrzymujące się na wysokości paska (jakby zamierzał wykonać jakiś prymitywny ruch, chciał się podrapać po jawkach czy coś w tym rodzaju). Ćwiczyłam teraz jego gesty, wymachując zajęczą łapką, którą Sal mi podała na szczęście. Staralam się też patrzeć w taki sposób, jak robił to Nick. Wydawało się, że może oczami wciągnąć

to jak odkurzaczem. Lewis uważał, że najlepiej gdy nie będę zbyt dużo mówić. I tak znałam tylko dwa greckie słowa, właśnie dzięki Nic-kowi: „efcharisto” — czyli „dziękuję” i „endaxy” czyli „w porządku”, którego zamierałam używać zamiast wszystkich innych słów.

Paulie stwierdziła, że im mniej będę mówić, tym większe szanuję, że nic mi się nie popłaczę. Najważniejsze to nigdy nie wyglądać tak, jakby się popełniło błąd. Powiedziałam Paulie-Lewisowi, że Nick Grek uważał, że ma zawsze rację, bo jego matka go rozpieszczała. To jest właśnie problem z matkami: mogą człowieka stworzyć albo zniszczyć. Gdyby tylko nasze mamy były takie jak matka Nic-ka, byłybyśmy w pełni przygotowane do życia.

Tuż przed południem ruszyliśmy ścieżką w wąwozie łączącą szkołę z pobliskim przedmieściem Wilbury Hollow. Byłam tak zde nerwowana, że nie mogłam mówić, więc żeby zrobić coś z rękami, bawiłam się cały czas zajęczką łąpką, wymachując nią na wysokości krocza. W oddali przy grupce wiązów Dziewica i Sierżant sadzili cebulki kwiatów. Nie mogli nas dojrzeć, bo zasłaniały nas drzewa wąwozu. Przedostałyśmy się przez odkrytą przez Lewisa nową dziurę w płocie. Usłyszałam odgłos ciężkich ortopedycznych butów na bruku. Bum-bum, bum-bum. Byłam chłopakiem. Tak mówiło moje ubranie. Ręce i nogi płynęły w lekkim, jesiennym powietrzu, gdy gwiżdżąc, przechodziłyśmy obok tynkowanych domków, w których mieszkali zwykli ludzie. Widok staroświeckich ogródków z rabatkami różowej kosmei i rzędami aromatycznego tytoniu sprawił, że zaśmiałam się za Madoc's Landing. Minęłyśmy grupę dzieciaków rzucających piłką do koszykówki przez obręcz przymocowaną do drzwi garażu. Jeden z chłopców pomachał do nas. Zrobiłam to samo, a Lewis wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Widzisz, Bradford? To bułka z masłem. Albo w siebie wierzysz, albo nie.

— Tak — zaśmiałam się głośno, zadziwiając samą siebie. — Jesteś albo mężczyzną, albo myszką.

Kiedy po raz kolejny zakręciliśmy na wijącej się drodze w wąwozie, w ciepłym słońcu babiego lata, Lewis stwierdził, że ma mi coś do powiedzenia. Głównie o dziewczynach. O tym, jak się je traktuje, kiedy jest się mężczyzną. Trzeba je okłamywać. Pastwić się nad nimi. Dziewczyny lubią, kiedy przejmujesz inicjatywę. Lewis przypomniał mi też o zadaniu Konga.

— Musisz pomacać piersi dziewczyny. Nie musisz dotykać jej na



dole, ale piersi tak. Kongowi to się spodoba. Powiedz dziewczynie, że gdyby cię kochała, pozwoliłaby ci to zrobić. Sztuczka z poczuciem wiary często się sprawdza. Pomoże ci osiągnąć, co tylko zechcesz.

Znajdowaliśmy się teraz w głębi wąwozu, wśród opadłych gałęzi, paproci i niewyrośniętych drzewek, które ludzie z miasta biorą za prawdziwy las.

— A może dziewczyny lubią, żeby dotykać ich piersi? — spytałam.

— I tak, i nie — w tym problem. Zawsze musisz zacząć. Dziewczyny nie lubią brać za nic odpowiedzialności.

— Na kim mam to wypróbować, Paulie?

— Lewis. Od tej chwili Nick i Lewis. Rozumiesz, Nick?

— Tak, Lewis.

— I pamiętaj, co mówi Kong: „Mężczyzna radzi sobie sam. Mężczyzna stoi zawsze po stronie przyjaciół. Mężczyzna mówi to, co myśli i nikogo się nie boi.”

Lewis splunął imponująco przez płot, a ja znów zaczęłam bawić się zajęczą łapką i nie zadawałam więcej pytań.

Tak doszliśmy do końca ścieżki i powiedziałam Lewisowi, że muszę dać nogom odpocząć. W dole wiła się rzeka w kolorze agatu. Na powierzchni wody, wśród kawałków styropianu i zeschniętych liści, robiły się bańki, które wyglądały jak ślina. Przeszliśmy po starych deskach, które ktoś ułożył na bagnistej ścieżce, i zatrzymałyśmy się na piaszczystym brzegu. W trawie leżała przewrócona betoniarka. Lewis powiedział, że to własność Sierżanta. Piec do wypalania cegieł szamotowych znajdował się wyżej w wąwozie.

Nikt nie mógł nas tu zobaczyć. Wyjęliśmy fajki. Zdumiało mnie, z jaką łatwością posługuję się zapalniczką Paulie. Wtedy właśnie ich zauważyłam — całą bandę. Zbliżyli się wąską plażą, niektórzy prowadzili rowery. Chłopcy z Kings College. Nazwa szkoły na tłoczonych złotych godłach przypiętych do granatowych blezerów nie była jeszcze widoczna, ale i tak wiedziałam, co to za jedni. Szli w naszym kierunku ze śmiechem i okrzykami, udając, że nas nie widzą.

Byłam pewna, iż od razu domyśla się prawdy, odkrywając, że moja twarz nie jest przyzwyczajona do prawdziwego światła słonecznego, że wypełzałam z jaskini zapomnianych kobiet do prawdziwego świata.

— Liczy się pierwsze uderzenie — szepnął Lewis.

Śmiertelnie przerażona odsunęłam się. Lewis, z wyrazem obrzydzenia na twarzy, podszedł i stanął przed nimi, rozstawiwszy szeroko nogi.

— To własność prywatna. Spadajcie stąd.

Nagle wydał mi się niższy. Czapkę miał nasuniętą na oczy, a rękawy podwinięte tak, by chłopcy zauważyli mięśnie, okrągłe i twarde jak dwa jabłka Adama. Obcięty na jeża jasnowłosy chłopak postawił rower i spojrzał na Lewisa z góry. Był od niego dwa razy większy. Rozpoznałam postać ze zdjęcia na komodzie Tory. Był to jej brat, Rick.

— Z drogi, dupku. — Splunął w stronę Lewisa. Nie była to tak imponująca flegma, jakie robił Lewis, ale mała kulka śliny, która wylądowała na jego ramieniu. Jeden z chłopaków zaśmiał się.

— Nick! — krzyknął Lewis i wszyscy spojrzeli na mnie.

O nie, tylko nie róbcie mi krzywdy — pomyślałam. Mylicie się, jestem dziewczyną. Nie widzicie? Znaćcie nas przecież — mdlejemy, stroimy się i robimy inne głupie rzeczy. I mam też garb. Spojrzałam szybko na moje krzywe ramię w nadziei, że zauważą Alicję i zrobi im się mnie żal.

Nagle Rick rzucił się na Lewisa, a Lewis uderzył go głową. Rick zaklął, chwycił Lewisa za kark i obaj przewrócili się na piasek. W tej samej chwili jeden z chłopaków złapał Lewisa za ramię, tak że brat Tory mógł usiąść mu okrakiem na brzuchu. Zaśmiał się i plunął mu w twarz.

— Strzał w dziesiątkę! — zawołał Rick.

Nagle to moje głupie Mysie serce zaczęło walić jak oszalałe. Poczuję się jak te celtyckie kobiety z książki od historii, które aż gotują się ze złości, zgrzytają zębami i krzyczą jak mężczyźni. To chyba geny Bradfordów musiały dać o sobie znać. Zupełnie jakbym to nie była ja, wrzasnęłam na Ricka, żeby zostawił Lewisa w spokoju. Podbiegłam i skoczyłam mu na plecy. Za kogo on się uważał! To, że chodzi do Kings College, nie znaczy jeszcze, że może traktować Lewisa w ten sposób. Chciałam rozwalić mu te snobistyczne, wąskie wargi w stylu Kings College, zobaczyć krew.

Wtedy ten wielki idiota odwrócił się i uderzył mnie łokciem w twarz. Poczuję ból i pieczenie w nosie. Opuściłam ręce i odsunęłam się, zasłaniając buzię. Otoczył mnie las nogawek. Upadłam na

kolana, gdy czarny trampek ze świstem przysunął się do mojego ucha. Przykucnęłam i nagle usłyszałam okrzyk, a stopa powoli wróciła na ziemię. Nogawki przybliżyły się.

— Patrzcie tylko! Nie bijemy się z chłopakiem. To dziewczyna!

— Czapka zsunęła się, a włosy rozsypały się na ramionach. — Ma cycki! — krzyknął.

Szarpnął za bluzkę pod marynarką Willy'ego, obrywając guziki. Klęczałam. Bałam się spojrzeć w dół, żeby nie zobaczyć tych dwóch głupich pryszczycy rosnących tam, gdzie wcale ich nie chciałam. Nie wiem, jak Lewis to zrobił, że czapka mu nie spadła. Pewnie dzięki paskowi pod brodą.

— Zostawcie ją w spokoju! — krzyknął Lewis. — Zostawcie ją w spokoju albo pożałujecie!

Chłopcy nie zwracali na niego uwagi. Jeden z nich złapał mnie za rękę i przytrzymał mi je za plecami. Nie widziałam, który to był. Chłopak w czarnych trampkach przysunął twarz do mojej i zaczął gorącymi palcami dotykać mojej szyi i uszu. Zachowywał się, jakby szukał wszy, tak jak panna Mullen w podstawówce w Landing. Za-częłam się trząść w najgorszy możliwy sposób, gdy poczułam, jak jego palce wsuwają się pod bluzkę i niby pajęczym krokiem, tup tup tup, kierują się ku sutkowi lewej piersi.

— Chłopaki! Może się zabawimy! — powiedział, mocno przyciskając sutek, jakby to był guzik do otwierania okna w samochodzie Morleya.

Pod powiekami czułam łzy. Ale pozostali chłopcy nie zwracali już na nas uwagi. Szepcząc między sobą, pokazywali palcami na wzdłuż wąwozu, skąd swym kołyszającym krokiem, wymachując krótkimi ramionami, z Elegancikiem u nogi, spieszył ku nam Sierżant.

— Lewis! Lewis! Robią ci krzywdę? Hej, wy tam! Zostawcie mojego pracownika, łobuzy!

Stojący za mną chłopak puścił mnie, a jakiś inny krzyknął, że napadła na nich dziewczyna. Sierżant jeszcze gwałtowniej zamachał rękami.

— To nie dziewczyna, durniu! To Lewis, mój pomocnik. Banda łobuzów! Zaczepiać mniejszych od was!

Chłopcy z Kings College popatrzyli po sobie, a potem jeden po drugim podnieśli rowery i odeszli ścieżką wzdłuż wąwozu.

-Lii

— Miło nam zobaczyć wasze plecy — zawołał jeszcze za nimi

Sierżant.

Wstałam szybko i zaczęłam zapinać bluzkę. Nagle przypomniała mi się czapka. Złapałam ją, schowałam włosy i wróciłam do guzików. Ręce mi się trzęsły. Zastanawiałam się, co pomyślałby Morley, gdyby mnie teraz zobaczył.

— Nie przedstawiś mi swego przyjaciela, Lewis? — zapytał

Sierżant.

Wpatrywałam się w rzekę. Woda cuchnęła starymi butami i głonami. Odór w niczym nie przypominał świeżego zapachu zatoki jak w domu. Właściwie nie była to nawet rzeka, po prostu trochę wody z kanału przepustowego.

— Nick jest Grekiem. Zna tylko kilka słów po angielsku.

— Grekiem, tak? Niewiele wiem o Grekach. Ale Francuzików to nie cierpię.

— No już, już — szturchnął mnie Lewis. — Nick, musimy już iść. Spóźnimy się na spotkanie w młynie.

— Nie chcecie, żeby dziewczyny na was czekały, prawda? —

Sierżant zaśmiał się. — Już by wam coś powiedziały do słuchu, prawda? Nie przejmujcie się, chłopaki. Tak to już jest być mężczyzną

— znosić gówniane gadanie, jakim częstują nas baby.

Sierżant przywiązał Elegancika do drzewa. Rozpiął spodnie i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, zaczął sikać do rzeki. Złocisty strumień moczu wystrzelił, jakby ktoś rzucił w powietrze garść złotych monet.

— No już, nie róbcie takich min. Nie skrzyżujecie szablek ze starym Sierżantem?

Wycelował wyżej. Zobaczyłam, jak płyn wydobywa się z przerośniętego, różowego grzyba, który zwisał mu z dłoni.

— Dziewica nie miałyby pojęcia, co z tym zrobić — powiedział

Lewis i gwizdnął przesywająco.

Sierżant strzepnął grzyb dłonią, żeby ostatnie krople spadły na ziemię. Wstydząc się za niego, odwróciłam wzrok.

— Nie należy mówić w ten sposób o przełożonych, chłopcze —

rzucił Sierżant.

— A pani Phillips? — spytał Lewis. Wszyscy wiedzieli, że nie

znosiła Sierżanta, bo lubił robić kawały dziewczynom i nauczyciel-

kom.

118

— Tej kobiecie na pewno przydałby się ktoś ze zdrowym rozsądkiem. — Sierżant zatrzymał się i wskazał na mnie. — Lewis! Ten biedny chłopak, twój przyjaciel, ma rozciętą wargę.

Przyłożyłam dłoń do twarzy i poczułam coś lepkiego. Krew z nośa. Nienawidziłam tego bardziej niż zastrzyków. Nagle zgięłam się wpród i zwymiotowałam między zielone łodygi łubinu (dzięki pani Peddie znałam nazwę rośliny, którą właśnie zbzcześciłam). Patrzyłam na siebie z dystansem, jakby ten chudy chłopak, który właśnie porzygał się w krzakach, nie miał ze mną nic wspólnego. Gdy podniosłam głowę, Lewis patrzył na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy. Jakby był Kongiem. Pokazał osiem palców. Osiem na dziesięć. Całkiem nieźle jak na Myszkę. Zdałam kolejny test: triumf nad mężczyznami. Na piątkę.

Pieśń Lewisa na cześć Konga

Śmierć chłopakom z Kings College! Kromp! Kromp! Krigaar skrrraak!

Potężny Lewis w imię Konga załatwił jednego z nich, a potem, a potem, a potem...

Kunnnk! Prask! Nowicjusz Nick na plecy mężnie wskoczył mu...

Dżagaga! A potem — co? A potem — trzask prask! Podlec niecznie próbował rozebrać Nicka Nowicjusza. I słowem określającym najniższe ze stwo-rzeń — dziewczyną nazwali go!

Nick Nowicjusz i potężny Lewis nie stracili męstwa, lecz przeciwnicy przewagę liczebną mieli tu. Na jednego dziesięciu. I nagle — bum tara bum! Karzeł wyzwolił ich z paszczy zła. Skarrum! Arrak!

Karzeł Zwycięski.

Pośród morza wrogów, pokonał ich.

Taaaaak! Mężny jest ten, kto Konga w sercu ma. Kong. Kong. Kong.

Nick Nowicjusz i potężny Lewis ujrzeli karła tęczę na niebie czyniące-go mieczem swym — dzierżącego w dłoniach zaginiony miecz Kodo. Potężny był, jak sekwoja gruby, długi jak japoński morski wąż. Kong żyje. Niech żyje Kong.

119

Wciąż jeszcze miałam przed sobą kolejny test: triumf nad kobietami.

Wraz z Lewisem pożegnaliśmy się z Sierżantem i przeszliśmy przez szosę w kierunku „Starego Młyna”. Nigdy wcześniej nie byłam w gospodzie, ale widziałam hotel kolejowy w Dollartown, niedaleko Landing. Morley zatrzymywał się tam czasem, żeby kupić tytoń do fajki. Sal i mnie zostawiał w „Oczku”, skąd przyglądałyśmy się odrażającym typom w ciemnych kraciastych koszulach i czapkach z daszkiem, którzy zataczając się, wchodzili i wychodzili z Sali Pań. Nie robiło to na mnie wrażenia. W gospodzie w Dollartown nie było na-wet ruchomych drzwi jak w saloonach ze starych westernów.

„Stary Młyn” też w niczym nie przypominał takiego lokalu. Zni-szczony ceglany budynek stał samotnie przy błotnistym strumieniu na północnym krańcu wąwozu, który pomiędzy lesistymi wzgórzami zakręcał w kierunku Toronto. Swego czasu obok gospody znajdował się prawdziwy młyn, ale od tamtych dni minęło już ponad sto lat. Czułam się jak na końcu świata. Było tu zupełnie inaczej niż w Ma-doc's Landing, gdzie sznurek sklepików ciągnie się aż do nabrzeża, czy w centrum Toronto, z jego tramwajami i ulicami przypominają-cymi betonowe doliny, pełnych po brzegi ludzi o surowym wyglądzie, gdzie zawsze hula wiatr. Ci smutni ludzie z miasta mają przynaj-mniej miejsce, do którego przynależą, mają jakąś tożsamość. Chociaż muszę przyznać, nie do końca rozumiem, co to znaczy mieć tożsa-mość. Z jednej strony to coś, co odróżnia nas od reszty świata (w mo-im przypadku — Alicja). Ale również to, co mamy z innymi wspólne-go, na przykład to, co ja mam wspólnego z innymi dziewczynami.

Z całej siły ścisnęłam zajęczą łapkę na szczęście i starałam się nie myśleć o tym, co zrobiłaby nam Dziewica, gdyby nas przyłapano, albo jakie kłamstwo wymyślić na wypadek, gdyby ktoś odkrył, że je-

120

steśmy za młode na picie alkoholu. Lewis pchnął mnie lekko do środka. Panował tam mrok jak w kościele. Powiedziałam mrok? To były kompletne ciemności. Na odległej ścianie znajdowały się jedy-nie dwa witrażowe okna. Tyle że zamiast Jezusa witraż przedsta-wiał snopek zboża i kufel z piwem. Była to Sala Pań, gdzie wstęp mieli tylko dorośli. Z lewej strony dochodziły nas głosy ludzi grają-cych w bilard, a z prawej męski śmiech i pobrząkiwanie kufli. Ulży-ło mi, bo weszliśmy do barku z daniami na wynos znajdującego się obok piwiarni. Przy stoliku, paląc papierosy, siedziały dwie dziew-czyny w niebieskich

mundurkach ze szkoły St. Mary.

— Nasza zdobycz — syknął mi do ucha Lewis.

Usta miały pomalowane bladą różową szminką i mocno natapirowane i wylakierowane koki, jak dziewczyny bikiniarzy. Lewis powiedział, że uczennice szkoły przy klasztorze są gotowe iść na całość, bo w ich szkołach panują surowe reguły. U St. Mary, kiedy para znowo zbliżyła się do siebie w tańcu, zakonnice dzwoniły małymi dzwoneczkami. Przy tym samym stoliku siedział również chłopak z Kings College, jeden z tych, którzy brali udział w zajściu nad rzeką. Kiedy nas zauważył, wstał i powiedział coś cicho do dziewczyn, jakby opowiadając im o tym, co się wydarzyło.

Moje serce Myszki zadrżało. Kolejna bójka to ostatnia rzecz, jakiej nam było trzeba.

— Spadaj, frajerze — rzucił Lewis i kopnął chłopaka z Kings College. Ten rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś to widział, i powoli wycofał się do ciemnej piwiarni. Dotarło do mnie, że Lewis dokonał czegoś nie do pomyślenia — kopnął go w czułe miejsce. Potem usiedliśmy, a dziewczyny przysunęły się do siebie twarzami i chichotały, jakbyśmy nie istnieli. Lewis udawał, że tego nie widzi. Więc tak należy się zachowywać, pomyślałam, jakby inni ludzie się nie liczyli. Cały czas zastanawiałam się, czy chłopak powiedział im o mnie, a jeśli tak, to czy dziewczyny mu uwierzyły. Patrzyłam na Lewisa, żeby sprawdzić, czy i on o tym myślał, ale ten zapalił papierosa i nie odrywał oczu o ciężkich powiekach od biustów pod niebieskimi sukienkami. Obie miały piersi większe niż Tory czy ja, zaś piersi tej, która siedziała obok mnie, były co najmniej tak duże, jak u Ismay: 80 C, albo nie nazywam się Myszka Bradford. Dziewczyna była gruba. Rękawy beżowej bluzki ciasno opinały jej ramiona, a kiedy zaczęła się papierosem, zauważyłam płamę od potu.

— Lewis, kim jest twój kolega? — zapytała szczuplejsza z nich.

Zdenerwowana popatrzyłam ponad ich nastroszonymi fryzurami, udając, że bardziej interesuje mnie hokejowa bluza Dave'a Keo-na z klonowym liściem, która wisiała na ścianie w szklanej gablocie. Sal wieszala w ten sposób porcelanowe talerze.

— Lewis, dlaczego twój kolega nic nie mówi? — spytała znowu, ponieważ nic nie odpowiedziałam.

— Jest z Aten, Beth.

— Chyba mówią tam po angielsku?

— On nie mówi. I nie lubi, kiedy ludzie zwracają na to uwagę.

— Za chwilę nawet oddychać nie będzie można. — Szczupła dziewczyna spojrzała na grubą i znów zaczęły się śmiać.

— Nazywa się Nick — przedstawił mnie Lewis.

— Ładne imię — stwierdziła gruba dziewczyna. — Ja jestem Josie. To zdrobnienie od Josephine. — Położyła dłoń na moim chudym ramieniu. — O, jakie Nick ma duże mięśnie! — Znow zaśmiały się głośno.

— Ja mam większe — rzucił Lewis i podwinął rękawy.

— Czy Nick nie umie mówić, Lewis? — zapytała Josie, kiedy skończyły się przypatrywać.

— Endaxy — powiedziałam.

— Chce chyba zawołać taxi — stwierdziła Josie.

— Nie, nie chce — wyjaśnił Lewis. — Mówi, że masz rację. On po prostu nie mówi dużo, rozumiesz?

Lewis zamówił cztery kawy. Dziewczyny ciągle paliły papierosy i szeptały między sobą. Nawet nie ruszyły filiżanek. Ja też nie piłam. Za bardzo trzęsły mi się ręce. Siedziałam więc jak idiotka, pa-trząc na Lewisa z ciemnych okularów i czekając, aż da mi jakiś znak, co mam dalej robić. Kiedy wreszcie dał mi znak, po prostu nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Lewis odstawił pustą filiżankę na tacę i bezczelnie oświadczył, że idzie z Beth na spacer. Beth wyglądała na trochę zaskoczoną. Wyszli. Lewis dumnym



krokiem z przodu. Mężczyźni przy barze odwrócili się, by popatrzeć na zgrabne, okrągłe łydki dziewczyny w czarnych, zimowych pończochach.

— Chciałbyś zrobić coś ze mną, Nick? — spytała Josie znacząco.

Byłam pewna, że zaraz zachichocze. Ale zrobiła poważną minę,

wzięła mnie za ramię i pomogła mi wstać, jakbym była małym dzieckiem, któremu trzeba wszystko tłumaczyć.

122

Na zewnątrz strumyk o barwie agatu nabierał w słońcu koloru letniego nieba. Na policzkach czułam ciepłe powietrze. W krzakach przy kanałach burzowych słysząc było brzęczenie pszczoł. Słysimy przez chwilę w milczeniu. Nagle, bez widocznego powodu, Josie oparła się o mnie i tłuściutkimi palcami przytrzymała moją dłoń. Myślała, że chce wziąć ją za rękę? Zboczona! — pomyślałam. Po czym przypomniałam sobie, kim jestem.

— Coś nie tak? — spytała Josie. Przez sekundę o mało nie powiedziałam jej prawdy. — Wiem, że mam trochę nadwagi — szepnęłam, jakby bała się, że ktoś ją usłyszy. — W ten weekend zaczynam dietę. — Musiałam chyba wyglądać na zaskoczoną, bo zachichotała i powiedziała: — Widzę, że ty nie potrzebujesz żadnej diety.

Potrząsnęłam głową i zaczęłam głośno żuć gumę, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Jej bezpośredniość przerażała mnie. Uśmiechnęła się, jakby chciała mnie uspokoić. Cały czas paplała o tym, jak nienawidzi lekcji łaciny w St. Mary. Ja nic nie mówiłam, a po chwili i ona zamilkła. W niezręcznej ciszy szliśmy ku drzewom na końcu wąwozu. W tym miejscu rzeka płynęła dość wartko w betonowym korycie. Po obu stronach wznosiły się cementowe ściany. Woda mogła płynąć wyłącznie zgodnie z zamierzeniem człowieka. Nagle Josie powiedziała:

— Uwielbiam wieś, a ty?

Wiem, że to niegrzecznie czuć się lepszym od innych, ale jak można uważać jakiś głupi ściek za miastem za prawdziwą wieś? Najwyraźniej Josie nie odróżniała rzeki od dziury w ziemi. Byłam na nią zła, że jest taka tępa. Do tego troszkę nią pogardzałam, bo nie domyśliła się mojej płci.

Nagle Josie zaczęła klepać się dłońmi po piersiach i piszczeć, że pszczoła wleciała jej pod bluzkę. Po chwili leżała już w krzakach na plecach. Czułam, że zaraz zdarzy się coś, co mi się nie spodoba.

— Mam ją w staniku, Nick. Proszę cię, wyjmij ją!

Pochyliłam się i zaczęłam zaglądać pod bluzkę. Josie szturchnęła mnie niecierpliwie.

— Pospiesz się, użądliła mnie! Auu! — Złapała moją dłoń i wsunęła ją sobie pod stanik.

Nagle jej ciało było wszędzie. Leżała jak głupia z rozłożonymi, pulchnymi nogami i wystawionymi na widok publiczny, wielkimi jak poduszki piersiami.

123

Przestała jęczeć i leżała bez ruchu. Zdawało mi się, że umarła. Wreszcie wyszeptła moje imię i już wiedziałam, że nic jej się nie stało, a może nawet nie było żadnej pszczoły. Co gorsza, zdałam sobie sprawę, że nadszedł moment, na który czekał Kong. Nigdy w życiu nie czułam się tak przerażona. Josie nie była po prostu gruba, była wielka — sto razy większa ode mnie. Większa niż góra z trasami dla narciarzy w Madoc's Landing. Doznałam lekkiego szoku, gdy pomyślałam, że gdybym to ja leżała, czekając na dotyk chłopaka, wyglądałabym tak samo. Bałabym się, może nawet bardziej niż on. I nie miałabym pojęcia, że jestem jak góra, na którą trzeba się wdrapać.

— Nick, bądź miłym chłopcem i usiądź tu koło mnie — poklepała dłonią ziemię.

Zrobiłam to. Cały czas pilnowałam czapki na głowie, pod którą ukrywałam długie włosy, i okularów Lewisa, bo bałam się, że Josie zauważy, że mam oczy dziewczyny, nie chłopca. Okazało się jednak, że ona sama opuściła powieki, jakby nie chciała widzieć tego, co byłoby oczywiście dla każdego, kto tylko chciałby spojrzeć.

Zapaliłam papierosa, by zyskać na czasie. Co za wstyd, że muszę zachowywać się jak twardziel, podczas gdy moim ideałem mężczyzny jest John Kennedy, pomyślałam. Jedyne, co mogłam zrobić, to zachować się jak dzentelmen i nie gapić się na nią. Byłam pewna, że na moim miejscu John Kennedy odwróciłby oczy. Ponadto biust Josie był wręcz zawstydzający. Ktoś, kto ma takie piersi, nie chciałby chyba, by przyglądać im się z bliska. Od sutków odchodziły dziwne białe linie, jakby piersi jej pękały. Wyglądało to jak szyba, w którą jakiś dzieciak rzucił kamieniem. Wiedziałam, że są to rozstępy. Wiedziałam je już u kuzynki Sal, Ginny, której ciało — jak mówiła Sal — rozpadło się na kawałki po tym, jak Ginny urodziła piątkę dzieci.

Tymczasem Josie zaczęła mnie ścisnąć palcami i chichocząc, szeptała mi do ucha, że mam takie twarde mięśnie nóg, choć wcale takie nie były. Powoli przesuwała dłoń coraz wyżej. Zapytała szepcąc, czy mam gumkę. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Znów zaczęła się śmiać, a kiedy pomyślałam, że dłużej już nie wytrzymam tego śmiechu, pocałowała mnie, szeroko otwierając usta. Ja też ją pocałowałam, nie zdejmując okularów. Wiedziałam, że tego właśnie oczekiwała. Ale zrobiłam to nie tylko dlatego, że chciałam być miła, byłam też ciekawa. Josie otworzyła usta jeszcze szerzej. Nagle przy-

szła mi do głowy najgłupsza możliwa myśl. Josie jest jak dom, w którym ktoś otworzył zbyt wiele okien. Chciałam ją ostrzec, by po-zabijała je deskami, bo do takiego domu może dostać się każdy zło-dziej... Nagle złapała moją dłoń i położyła ją sobie na piersi. Nie wiem, dlaczego jej nie zabrałam. Ciało Josie było miękkie i chłod-ne, jakby z plasteliny. Zaproponowała, żebym też zdjęła koszulę, bo chciała zobaczyć moje piersi.

— Nigdy w życiu — rzuciłam. Zapomniałam o mojej rzekomej nieznajomości angielskiego. Zdałam sobie sprawę, iż Josie nigdy w to nie wierzyła. Podobnie jak w to, że jestem chłopcem.

— Nie podobam ci się, bo jestem gruba — zaczęła płakać, jak-bym zrobiła jej wielką krzywdę.

— To nieprawda — odpowiedziałam niepewnie.

— Kłamiesz — rzuciła z płaczem, zakładając z powrotem stanik.

Uciekła z płaczem. Stałam tak przez dłuższy czas, paląc papie-rosa. W uszach słyszałam karcący głos Sal. Mówił to samo, co za-wsze, i kilka nowych rzeczy, zwłaszcza o tym, jakie to obrzydliwe, kiedy dziewczynka dotyka innej dziewczynki. Przede wszystkim jed-nak, że sama jestem sobie winna, bo kłamałam i oszukiwałam. Z tym nie mogłam się nie zgodzić. Kiedy później opowiadałam o tym Lewisowi, nie powiedziałam ani słowa o tym, że Josie chyba wie-działa, iż jestem dziewczyną. Zastanawiałam się, czy Lewis się tego domyślał. Powiedziałam, że Josie wściekła się, kiedy jej dotknęłam, a Lewis rzucił tylko tyle:

— Nigdy nie będziesz prawdziwym chłopakiem, Myszko, dopóki nie przestaniesz się nabierać na gadanie dziewczyn. One zawsze ro-bią wszystko, żebyś czuł się winny.

Nie była to do końca prawda, ale nie miałam pojęcia, jak mu to wytłumaczyć.

Szanowny Panie Kennedy!

Czas najwyższy, bym opowiedziała panu o testach. Obiecałam Paulie, że nie pisnę ani słówka pozostałym dziewczynom, a Myszka zawsze docho-wuje słowa. Taka po prostu jestem. Potrafię dotrzymać obietnicy.

Dzisiejszy dzień jest bardzo dziwny. Muszę zrobić coś, co wymyśliła Paulie, żeby udowodnić, że potrafię zatriumfować nad przyrodą. Jestem troszkę zdenerwowana. Czuję się jak Roy Orbison w tej piosence, w której śpiewa o tym, że ciągle się boi. Zna Pan to, Panie Prezydencie? Jestem pew-na, że słyszał ją Pan, ale przypuszczam, że woli Pan staromodne kawałki jak „Nadpływają łodzie poławiaczy krewetek”. No cóż, ja też się cały czas boję. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

W tej chwili jestem w szopie z gołębiem. Mam go zabić, aby udowodnić, że jestem mężczyzną. Oczywiście, nie w takim sensie jak Pan. Mam udowo-dnić, że potrafię zachowywać się po męsku. Nie chcę tego zrobić, ale wiem, że muszę. Paulie mówi, że mężczyźni muszą robić różne rzeczy, by potwier-dzić swoją męskość. Na przykład zabijają wszystko, co kochają, jak powie-dział Oscar Wilde. Uważam, że żądać czegoś takiego to zbyt wiele, ale do-myślam się, że mężczyźni nie mogliby bronić kobiet i dzieci, gdyby nie na-uczyli się być złymi. Nie ma innego wyjścia. Jak mówi Paulie, kobiety są do-bre do rodzenia dzieci, a mężczyźni ponoszą odpowiedzialność za śmierć, a to jest bardzo, bardzo trudne. Jeśli chcesz być jak mężczyźni, musisz na-uczyć się zabijać.

Wcale nie mam ochoty skrzywdzić tego gołębia ani nie uważam, że za-sługuje na śmierć. Prawda, parę minut temu dziobnął mnie w stopę, ale nie mam mu tego za złe. Wygląda, jakby był trochę chory. Właściwie zabić go to oszczędzić mu cierpienia. Tak bywa na wojnie, prawda? Najlepszy przyjaciel prosi cię, byś go dobił, bo wie, że i tak nie przeżyje. Tutejszy poeta, Earle

126

Birney\*, napisał długi wiersz o dwóch mężczyznach zdobywających szczyt góry. Jeden z nich, spadając na skały, mocno się poturbował. Poprosił więc przyjaciela, by zepchnął go z urwiska. Domyśla się Pan reszty? Przyjaciel oczywiście nie chciał tego zrobić. Jednak David prosił i błagał, aż ten wre-szcie zepchnął go jak kłodę.

Mam nadzieję, iż nie pomyśli Pan, że się popisuję, ale czytałam, że po-wiedział Pan, iż smutne wiersze pomagają Panu nie stać się zarozumiałym. Powiedział Pan, że komuś, kto rządzi krajem, łatwo jest stać się zarozumia-łym i zapomnieć o tym, co jest naprawdę ważne (jak zorza polarna w sierp-niowe wieczory i bycie miłym dla córek — na pierwszym miejscu mojej li-sty, Panie Prezydencie). Przypuszczam, że ten gołąb to taki mój David i że muszę go uratować. Problem w tym, że nie jestem pewna, czy potrafię za-bić gołębia, Panie Prezydencie, nawet jeśli jest chory. Ale zaraz przyjdzie tu Paulie, a ja muszę to zrobić. Poprawka: zaraz to zrobię.

Pańska przyjaciółka, Myszka

13 listopada, 1963

Szanowny Panie Kennedy!

Mam wspaniałe wieści o Morleyu! (Moim ojcu, jeśli Pan nie pamięta.) Przyjechał mnie odwiedzić! I nawet udało mi się spędzić godzinę i dwanaście minut tylko z nim. Bez Sal. Uwierzy Pan, Panie Prezydencie? O 15.30 wychodziłam właśnie z zajęć z panią Peddie, gdy zobaczyłam wysoką postać w fedorze we frontowym holu. Wszędzie rozpoznałabym ten kapelusz. Jest czarny, a Sal podwija rondo do góry, bo uważa, że to równoważy duże, zgarbione ramiona Morleya.

Przez chwilę czy dwie Morley wydawał mi się trochę smutny, kiedy tak stał samotnie, jak doktor Kildare w nieodpowiednim telewizorze, przyglądając się swymi miętymi, dużymi oczyma rojącym się grupkom dziewczyn w zielonych mundurkach, z książkami pod pachą. (Przy okazji chciałabym się pochwalić, że mam oczy Morleya i jego skłonność do sińców.) Wreszcie mnie dojrzał. Chwilkę później klepnął mnie w policzek i podał mi paczkę od Sal (dziesięć pudełek cukierków „Chiclets”, moich ulubionych, i pięć batonów „Oh! Henrys”, też moich ulubionych). Dam Chiclets Paulie, a sobie zostawię batoniki. Cieszę się, że nie muszę się odchudzać jak inne dziewczyny, chociaż jedzenie i listy to jedyny cel mojego życia tutaj (nie żebym do-

\* Earle Birney — jeden z najbardziej znanych pisarzy i poetów kanadyjskich.

197

stawała bardzo dużo listów.) Podziękowałam ojcu i już miałam go pocałować, ale między mną i Morleyem nigdy nie było takiej poufałości.

Poszliśmy na spacer wzdłuż żywopłotu, gdzie wszystkie dziewczyny chodzą ze swymi gośćmi. Morley powłóczył nogami w wielkich jasnobrązowych półbutach z dziurkowanymi noskami, nie zwracając uwagi na przepięknie błyszczące, brązowe liście, które nie opadły jeszcze z dębów w wąwozie, ani na starsze dziewczyny grające na boisku w hokeja na trawie. Ani — aż strach powiedzieć — na mnie. Morley zawsze zachowuje się, jakby spał albo nie żył, Panie Prezydencie. To dlatego, że zbyt dużo pracuje. Podobnie jak Pan, jest bardzo zajęty. Wszyscy chcą tylko jego.

Miałam nadzieję, że powie mi te wszystkie cudowne rzeczy, jakie zawsze chciał mi powiedzieć. Mam na myśli ojcowskie uwagi. Nigdy ich nie mówi, bo nie chce, żeby Sal była zazdrosna. Cóż, może obawia się, że jej to powtórzy. Tego popołudnia również nie mówił zbyt wiele. Tylko jeden jedyny raz, kiedy opowiadałam o tym, jak wychowawczynie sprawdzają długość naszych sukienek, zatrzymał się i spytał: „Masz się tu dobrze, Myszczyko, prawda?” O mało nie opowiedziałam mu o gołębiu, ale kiedy popatrzył na mnie swoimi zmęczonymi starymi oczyma, po prostu nie mogłam się zmusić, żeby mu powiedzieć, jak bardzo nie cierpię Bath Ladies College. Nie chciałam powodować spięć między nim i Sal. Odpowiedziałam więc: „Mam się dobrze, Morley.”

Potem usiedliśmy w samochodzie i Morley podrapał mnie po policzku swą wielką dłonią. „Pieszczotki

Morleya", jak mówi moja macocha, kiedy klepie ją tak na pożegnanie. Tak bardzo nienawidzę się za to, że nie potrafię porozmawiać z nim tak jak z Panem! Ale Pan rozumie ciemną stronę życia. Wiem, że tak jest, bo czytałam o Pana wykładzie w Amherst College, kiedy cytował Pan Roberta Frosta: „Ja jestem jednym z tych, co noc poznali”\*. Otóż, ja też jestem jednym z tych, co noc poznali, Panie Prezydencie. Właściwie wydaje się, jakby w tej dziurze zawsze była noc.

Nie chcę powiedzieć, że Morley nie ma pojęcia o bólu, bo tak nie jest. Poza tym nigdy nie widział Pan miłszych oczu niż jego. Pana oczy, Panie Prezydencie, mają bardziej szczerze i zadowolone spojrzenie niż oczy Morle-ya. Zawsze spogląda Pan wyczekująco, jakby ktoś, kogo nie widzimy, miał Panu wręczyć bardzo miły i niespodziewany prezent. Oczy Morleya wyglądają, jakby czekały go same kłopoty. Być może Morley widzi więcej bólu, niż

\* R. Frost „Którzy poznali noc” Acquainted with the Night (tłum. Ludmiła Barańska).

128

człowiek jest w stanie znieść. Cóż, sayonara, Panie Prezydencie. Wspaniałe było z Panem porozmawiać.

Pańska kumpelka, Myszka Bradford

PS Gołąb zdechł (ale bez mego udziału). Pomyślałam, że trzeba dać mu szansę, i zabrałam go na wzgórze za szkołą. Postawiłam go na ziemi. Cho-dził w kółko, kulejąc. Miałam nadzieję, że będzie chciał odfrunąć. Ale nie odleciał. I właśnie w tej straszliwej chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że mu-szę wyjąć należący do Paulie nóż myśliwski, gdy poczułam się jak Abra-ham, kiedy Bóg zażądał ofiary z Izaaka, właśnie wtedy przybiegł Elegan-cik, corgi Sierżanta, złapał gołębia i uciekł z nim. Goniąc za psem, biłam go kijem, żeby puścić ptaka. Ale było już za późno — stało się najgorsze. Ele-gancik odgryzł biednemu stworzeniu łepkę. Zaczęłam strasznie płakać. Paulie wściekła się i powiedziała, że przynoszę hańbę rodzajowi męskiemu. Niespecjalnie podoba mi się bycie mężczyzną, Panie Prezydencie. Nie wiem, jak Pan to robi.

15 listopada, 1963 Szanowny Panie Prezydencie!

Dzisiejszy dzień zapamiętam na zawsze, bo dziś właśnie dostałam od Pana list. Nie mogę w to uwierzyć. Powiesiłam go nad łóżkiem, obok półdo-larówki z Kennedym. Najbardziej podoba mi się fragment: „Pozdrowienia, John F. Kennedy”, jestem także wdzięczna za Pańską radę: „Bycie dziec-kiem jest bardzo trudne i rodzice nie są doskonali, ale musimy dawać sobie nawzajem to, co mamy najlepszego”. Wielkie, wielkie dzięki, Panie Prezy-dencie. Nie chcę, żeby to zabrzmiało sentymentalnie, ale jest Pan najlep-szym przyjacielem, jakiego miałam w życiu.

Uściski, M. B.

PS Jakie jest Pana zdanie o ojcu, który na pożegnanie klepie w policzek grzbietem dłoni? Zrobiłby Pan tak Caroline? Tak się tylko zastanawiam.

— Myszko?

- Tak?
- Naprawdę do ciebie napisał?
- Naprawdę. Ale nie wysłałam mu trzech ostatnich listów. Bałam się, że testy mu się nie spodobają.

129

Pewnej nocy, gdy Ismay pojechała wraz z innymi uczennicami na Targi Zimowe, gołąb uderzył o parapet naszego okna i upadł z głu-chym odgłosem na podłogę. Krzyknęłam, a Paulie podskoczyła prawie do sufitu. Podeszłyśmy, by się przyjrzeć — Paulie z premedytacją, a ja skulona, zasłaniając twarz rękami, na wypadek, gdyby gołąb podfrunął w stronę mej głowy. Ptaki i nietoperze poruszają się w zupełnie nieprzewidywalny sposób. A jeśli to był przyjaciel tego, którego usiłowałam zabić, i przyleciał, żeby się zemścić?

- To twoja ostatnia szansa, Bradford.
- Ktoś może wejść — wyjąkałam.

Na dźwięk mojego głosu blade powieki uniosły się i dwie wilgot-ne, różowe kuleczki posłały mi znad dzióbka smutne spojrzenie. Po-woli znów zakryły je cieniuteńkie powieki. Wiedział — zwierzęta to czują — co próbowałam zrobić jego żonie czy bratu.

- To się pospiesz — odparła Paulie. — Mam ci pokazać? —

Trzymała poduszkę nad gołębiem, który siedział bez ruchu — okrę-gła jak piłka, nastroszona kulka brudnych piór z dzióbkiem.

- Zwariowałaś! — krzyknęłam. — Ten gołąb ma jeszcze szansę przeżyć. Zostaw go!
- Co to znaczy, że zwariowałam, Bradford?

Paulie podała mi poduszkę. Stałam jak idiotka, trzymając ją nad zwisającym łepkiem ptaka. Przysięgam na Boga, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie kroki na korytarzu. Spojrzałyśmy na siebie. Było jasne, kto idzie. Drzwi otworzyły się i już była w naszym pokoju. Po-stać z portretu w bezbarwnych szarościach. Rozejrzała się bacznie swymi oczami bernardyna. Nagle zauważyła ptaka.

- Jeszcze jeden chory gołąb? Dlaczego ludzie trują te głupie stworzenia? — powiedziała Dziewica nerwowym głosem.

— Cóż, nie są zbyt mądre — odpowiedziała Paulie. A gdy Dziewica spojrzała na nią, szybko dodała: — To znaczy, nie są mądrzejsze od indyków. Nic wielkiego się nie stało.

— Czyżby? Tilly, czy mogłabyś zabrać tego ptaszka do infirmerii? — Dziewica pomachała ręką i panna Phillips, która do tej pory czekała na korytarzu, weszła i zabrała wystraszonego gołębia owiniętego w ręcznik Paulie.

Kamień spadł mi z serca, że wyrwał się z rąk Paulie. Usiadłam na łóżku i czekałam, co będzie dalej. Dziewica nie przyszła tu przecież bez powodu.

— Zastanawiacie się na pewno, po co przyszłam — Dziewica zaśmiała się. Czekala, że i my się zaśmiejemy, ale żadna z nas nie wydała z siebie nawet jednego dźwięku. — W każdym razie Paulie wie, prawda, Paulie?

Paulie usiadła na łóżku tyłem do nas. Nie odpowiedziała.

Dziewica podeszła, by przyrzeć się zdjęciom prezydenta Kenne-dy'ego, które przypięłam na tablicy. — Pisz książki, prawda? Pewnie ci się to podoba. Czytałaś „Profile odwagi” jego autorstwa?

— Tak, panno Vaughan.

Wzrok miałam wbity w podłogę. Widziałam przed sobą parę czófenek o zadartych noskach, których stukania na korytarzu wszędzie tak się bałyśmy. I mocne nogi, które sterowały tymi kanonierkami. Tuż nad kostkami spod rajstop prześwitywały bujnie rosnące włosy. Coś okropnego! Ale przynajmniej te kanonierki Dziewicy miały więcej charakteru niż zwykle sznurowane trzewiki panny Phillips.

— Widziałam, że prosiłaś o pozwolenie na wyjście z ciotką i wujkiem w ten weekend. Zamierzacie wybrać się na uroczysty obiad na cześć dostojnego gościa w Kings College? Pewnie cieszysz się na spotkanie z Wiktoria...



- Chwileczkę! A ja? — spytała Paulie. — Czyja też mogę?
- Wybacz, Pauline, ale rozmawiam z Mary Beatrice. Skoro jednak się włączyłaś, mam i do ciebie jedno pytanie. Dlaczego nie dotrzymujesz obietnicy dotyczącej wizyt u doktora Torvala?

Paulie znów odwróciła się plecami i nie odpowiedziała.

- Pauline, posłuchaj. Proszę cię, żebyś dała szansę doktorowi Torwalowi, nawet jeśli nie jesteś przekonana, że to odpowiednia osoba. Mary Beatrice, nie uważasz, że powinna pójść?

131

- Dokąd? — zapytałam.
- To psychiatra, Myszko. — Paulie nagle podskoczyła i zwróciła się do mnie, jakbyśmy byli same. — I do tego śmierdzi! Poci się, że aż chce mi się rzygać.
- Pauline! Oczekuję bardziej dojrzałego zachowania! Jesteś prawie dorosłą kobietą.
- Nie jestem. Nie jestem kobietą! — krzyknęła Paulie.
- Czy to tak źle być kobietą, Pauline?
- Tak. I pani dobrze o tym wie... — Paulie na chwilę przerwała. — Pani Peddie też.

Nie wierzyłam własnym uszom. Paulie miała na myśli zdarzenie, o którym przeczytaliśmy w ich listach.

Jeden, jedyny raz Dziewica nie miała nic do powiedzenia. Być może milczała dlatego, iż zdała sobie sprawę, że Paulie wie o jej życiu prywatnym więcej niż powinna, a może po prostu straciła cierpliwość. Po dziś dzień nie wiem na pewno, ale często zastanawiałam się, dlaczego Dziewica nie pilnowała Paulie lepiej. Może starała się być „postępowa”, a może nie chciała denerwować Paulie, żeby ta nie rozpowiadała o jej romansie z kobietą.

- Bardzo dobrze, Pauline. Możesz mieć swoje zdanie w tej kwe-

stii. Ale jeśli twoje zachowanie się nie zmieni, w przyszłym semestrze nie będziesz mogła dzielić pokoju z Tory.

— Obiecała pani, że tego nie zrobi! — krzyknęła Paulie.

— Jeżeli ty sama łamiesz obietnicę, jak możesz oczekiwać, że ja dotrzymam mojej? — Kiedy wychodziła, drgał jej lewy policzek.

Nieśmiało położyłam rękę na ramieniu Paulie.

— A może pójdziesz do tego lekarza i będziesz mieć ją z głowy.

— Chciała, żebyś właśnie to powiedziała. Czemu zawsze dajesz jej się nabrać? — Paulie wzruszyła ramieniem, by zrzucić moją dłoń, i wyszła, trzaskając drzwiami.

Ze smutkiem popatrzyłam za nią i zaczęłam pakować torbę. Do-stałam od Dziewicy specjalne pozwolenie na spędzenie następnej nocy w hotelu „Park Plaża” wraz z wujkiem, Wielebnym Holmesem. Powinnam była się cieszyć z tego wyjazdu, ale martwiłam się, że muszę spędzić cenny weekend poza szkołą z wujem.

132

### Problem z wujem

Powinnam chyba opowiedzieć o moim wujku i opiekunie, Wielebnym Winnie Holmesie czy po prostu Wielebnym, jak nazywają go parafianie. Łatwiej byłoby zrozumieć, jaki wpływ na moje życie wywarła zbrodnia Paulie. Ale o Point Edward nie da się wiele powiedzieć. Z pokoju gościnnego w domu wujka roztacza się widok na rzekę St. Clair. W nocy łódki wpływające na czarne wody jeziora Huron wyglądają jak oświetlone choinki.

1. Śmiesznie się nazywa — Winston Churchill Frederick Holmes (zdrobniale Winnie).

2. Za dużo mówi. I zawsze nudzi. Wybiera tematy, które brzmią jak zadanie domowe. Na przykład teoria sześciu cnót i grzechów.

Tak wyraża się o sześciu regionach geograficznych Kanady, do których dopasował ludzkie cechy charakteru. I tak Nowa Fundlandia

to pobożność, bo sto procent mieszkańców należy do kościoła (za-  
wsze opiera się na własnych statystykach, o których nikt inny nigdy  
nie słyszał). Quebec, gdzie mieści się wiele instytucji religijnych  
i oświatowych, to zdolności do nauki. A Ontario, z centrum finanso-  
wym przy Bay Street, to skąpstwo (mówi, że kazania na ostatni te-  
mat są dobrze przyjmowane w pozostałych prowincjach).

3. Wymyśla głupekowate wierszyki, na przykład: „Wielebny pod-  
niesie was na duchu, rzeknie, czego wam potrzeba, i pomodli się, by  
forsa spadła wam z pomocą nieba”.

4. Zachowuje się jak ojciec.

5. Użala się nad sobą, bo Morley jest od niego bogatszy (to jest  
najgorsze i najstraszniejsze, ponieważ ja też użalam się nad sobą  
z powodu Morleya, a nie chcę być podobna do wujka choćby w naj-  
mniejszym stopniu).

i QQ

--- j\_ (j)

6. Nazywa mnie swoim Kocurkiem, a kiedy to mówi, uśmiecha  
się jak kot połykający kanarka.

7. Lubi mnie, spędza ze mną czas i nie jest Morleyem.

Morał historyjki o kwiatkach szczeci sukienniczej \*

Rano w dniu uroczystego obiadu na cześć dostojnego gościa w Kings College Alicja sprawiała trochę  
kłopotów. Klatka piersiowa była napięta i bolało mnie przy oddychaniu. Siedziałam na tylnym siedzeniu  
gruchota mego wuja, łykałam aspirynę za aspiryną i uda-  
wałam, że jestem z przezroczystego plastiku. To  
taka sztuczka, którą robię zawsze, gdy jestem gdzieś, gdzie wcale nie chcę być. Po pierwsze oddycham  
bardzo powoli, tak że prawie przestaję, co bar-  
dzo podoba się Alicji. Z drugiej strony wyobrażam sobie,  
że nic nie ważę, co jest prawie tak samo fajne jak bycie niewidzialnym. Przy-  
kro to powiedzieć, ale  
sztuczka najwyraźniej nie działała, bo we wstecznym lusterku zobaczyłam przyglądającego mi się wujka.

Zaśnawiał się chyba, w czym jest problem. Popatrzyłam więc przez okno z udawanym miłym uśmiechem. Nie chciałam, żeby ten dowcipniś zorientował się, jaki strach przepętniał mnie od koniuszków palców u głupich Mysich stóp aż do czubka Mysiej głowy. Nigdy wcześniej nie byłam na przyjęciu z udziałem chłopców i nie byłam całkiem pewna, czy polubią mnie albo Alicję. Na domiar złego mieszkalam w internacie, co z punktu widzenia dziewcząt spoza dodatkowo działało na moją niekorzyść. Wiedziałam, że Tory wcale tak nie myśli i bardzo chciałam się z nią zobaczyć, ale przecież nie mogłam spędzić całego wieczoru tylko na rozmowie z nią.

Podbródki wujka zatrzęsy się we wstecznym lusterku.

— Kocurku, kim chcesz zostać, gdy dorośniesz? — zapytał.

Nie odpowiedziałam. Jechaliśmy na północ, w potoku pędzących

w dół i w górę wzgórz autobusów i samochodów, kierując się w stronę wysokiej, kamiennej bramy Kings College, stojącej na końcu ruchliwej alei jak pomnik faraona.

— Daj spokój, Winnie. Mary Beatrice nie ma dziś ochoty na historijkę o kwiatach szczeci.

\* szczeń sukiennicza — roślina zielna, której duże główki kwiatowe ze sztywnymi, zakrzywionymi szczecinami używane są do czesania tkanin wełnianych.

134

— To zajmie tylko chwilkę, Margaret. — Po ruchu podbródków poznałam, że dostrzegł już jasnozieloną iglicę wieży zegarowej. — Może przecież spotkać dziś ważnego młodego człowieka. Prawda, Kocurku?

— Chyba tak. — Pochyliłam się, by ukryć się przed jego wzrokiem, i połknęłam kolejną aspirynę. Czułam się, jakby moje plecy były jednym napiętym mięśniem. Marzyłam o tym, by móc strząsnąć z siebie ten ból, tak jak Sal wytrzepywała piasek z plażowego ręcznika Morleya.

— Poczekaj chwilkę i posłuchaj. — Podwójny podbródek zatrząś się ponownie. — Gdy patrzysz na kwiat szczeci, zdaje ci się,

że do niczego się nie nadaje, bo jest pokryty szczecinami. A to właśnie te szczeciny, które wydają się tak bezużyteczne, stosuje się do czesania tkanin.

Przejechaliśmy przez bramę. Kiedy mijaliśmy małą stróżówkę przy lodowisku hokejowym, wujek wreszcie przestał gadać. Tak jak ja gapił się na budynki i rozległe, trawiaste boisko, na którym chłopcy w zbyt obszernych, niebieskich swetrach rzucali się na siebie jak zawodowi piłkarze, których Morley często oglądał w TV. Zupełnie przestałam oddychać. Za nami cichły odgłosy wielkomiejskiego ruchu ulicznego i słyszałam ćwierkanie ptaków w drzewach rosnących wzdłuż długiego podjazdu. Wujek zatrzymał się dokładnie przed głównym budynkiem. Z bliska sześciopiętrowa wieża zegarowa wyglądała tak okazale i bogato jak Wieża Pokoju w Ottawie\*. Na sześciopiętrowych, kamiennych schodkach, pomiędzy dwiema grubymi greckimi kolumnami tłoczyły się dziewczyny w płaszczach z wielbłądziej wełny i futrach z szopa. Nogi troszkę im się ugiwały, jakby pierwszy raz w życiu miały na sobie buty na wysokich obcasach. Ale nawet z tym głupim kroczkiem wyglądały olśniewająco. I były lepiej ubrane niż ja. Miałam na sobie granatową sukienkę, w której chodziłam do kościoła, i zwykłe czarne buty na niewysokich koturnach. Tylko dla dziewczyn spoza internatu stwierdzenie „strój wieczorowy nie obowiązuje” oznaczało, że można założyć wysokie obcasy.

— Czy one nie są troszkę za młode na takie buty? — zapytał wujek.

\* Wieża Pokoju — wieża zbudowana na cześć Kanadyjczyków, którzy zginęli w pierwszej wojnie światowej, po latach stała się symbolem zaangażowania Kanady w sprawy pokoju między narodami.

135

— Takie teraz są czasy, Winnie. Wszystkie zakładają wysokie obcasy — ciotka uśmiechnęła się.

Z przerażeniem spojrzałam na swoje stopy. Mimo dwóch dodatkowych podeszew, które przymocowali mi w sklepie obuwniczym do prawego buta, przy chodzeniu nadal pochylałam się w jedną stronę. Każdy z tych cholernych chłopaków od razu to zauważył.

— Jak już mówiłem, Kocurku, do czesania wełny nie wymyślono nic lepszego — wujek wrócił do swej opowieści.

Jęknęłam, a ciotka powiedziała zniecierpliwionym tonem:

— Winnie, na litość boską. Daj jej spokój.

— Za momencik, Margaret. Pozwól mi tylko skończyć. Widzisz, Mary Beatrice, jeśli będzie ci się wydawać, że nie ma zajęcia, do którego byś się nadawała, przypomnij sobie tę historyjkę i spytaj samą siebie: Co mam w sobie szczególnego? Twoja ciotka, na przykład, zadawała sobie to pytanie, gdy była dziewczynką. A teraz wie, że to, co robi najlepiej, to właśnie zajmowanie się mną.

— Wystarczy, kochanie. Baw się dobrze, Mary Beatrice. — Ciotka otworzyła mi drzwi.

Kilka dziewczyn spojrzało na nas. Miałam nadzieję, że nie zobaczę, z kim przyjechałam. Ciocia i wujek wytoczyli się z samochodu i odprowadzili mnie do szkoły. Ciotka miała na sobie ciężki brązowy płaszcz z wykończeniem z filcu dopasowanym do filcowego kapelusza. Stopy w butach na niskich obcasach stawiała ostrożnie jedną za drugą, jakby spodziewała się, że ziemia w Kings College rozstąpi się pod nią jak cienki, wiosenny lód. Wuj był bez płaszcza, na głowie miał fedorę, jak Morley. Czarna marynarka marszczyła się na bruchu, tworząc liczne fałdy i zagłębienia. Wymamrotałam słowa pożegnania, po czym powlokłam się po schodach i dalej do przestronnego, wyłożonego marmurem hallu. Na ścianach wisiały srebrne miecze z liśćmi klonu i kawałki wyblakłego materiału upamiętniające rolę, jaką szkoła odegrała podczas tłumienia powstania w Górnej Kanadzie\*.

Już przy wejściu minęłam naturalnej wielkości portret Królowej Elżbiety i jej męża, księcia. Nazywano go Dostojnym Gościem i właśnie na jego cześć wydawano obiad, mimo że wrócił już do Anglii

\* Powstanie w latach 1837-39, antybrytyjskie, zostało stłumione, ale zmusiło Wlk. Brytanię do przeprowadzenia reform i przyznania Kanadzie samorządu.

136

i zajmował się swymi książęcymi zajęciami. Nie był tak przystojny jak prezydent Kennedy, ale w eleganckim ciemnym garniturze wyglądał dużo przyjemniej od królowej, która kulawo trzymała rękę na przedzie srebrnej sukni, jakby miała złamany palec. Podążyłam za dziewczynami do salonu prawie tak dużego jak nasza sala gimnastyczna. Pod ścianami stały ciężkie fotele, które wyglądały, jakby nikt nigdy na nich nie siedział, lśniące mahoniowe bufety i lampy na małych stolikach. Natychmiast rozejrzałam się za najważniejszym — za jedzeniem. Zauważyłam wykrochmalone białe obrusy na bufetach, a na nich srebrne tace pełne faszerowanych jajek, galarety i mojego ulubionego kurczaka po królewsku w cieście. W naszej szkole też nam to dawali. Było całkiem niezłe, tyle że gorący kurczak często rozpuszczał galaretę.

Szłam, powłócząc nogami. Gdy brałam kolejną aspirynę, zauważyłam kilku chłopców z Kings College w

szarych flanelowych spodniach i krawatach w niebiesko-białe zygzaki. Przyglądali mi się. Byłam przekonana, że patrzą na moje ramię. Kiedy zaczęli szeptać między sobą, moje głupie Mysie serce stanęło, jakby ktoś wyjął wtyczkę z gniazdka. Alicjo, nie bierz tego do siebie, pomyślałam. Te snoby nie są warte paznokcia na twoim małym palcu. Ale byłam pewna, że mi nie uwierzyła. Miałam właśnie wziąć jeden z porcelanowych talerzy, kiedy tęga kobieta w białym uniformie o wyglądzie pielęgniarki kazała mi poczekać na zaproszenie. Okropnie zawstydzona przemknęłam obok grupy chłopców i dziewcząt czekających, by uścisnąć dłoń mężczyzny o twarzy podobnej do czaszki. Stał na końcu rzędu nauczycieli i nauczycielek. Domyśliłam się, że to zastępca gubernatora, który często występował zamiast księcia. Wie-le dziewcząt miało białe rękawiczki. Kiedy podawał im rękę, dygały. Nagle ktoś zawołał mnie po imieniu. Ismay i inne dziewczyny z naszego internatu siedziały na długiej, obitej zieloną skórą kanapie przy udającym jaskinię kominku. Sierżant przywiózł je autobusem. Podeszłam szybko, ucieszona widokiem Ismay. Usiadłam koło moich biednych koleżanek na jednym z ogromnych foteli. Zbiłyśmy się w kupkę jak duszyczki idące na zatracenie, szepcząc między sobą i patrząc z zazdrością na dziewczyny w pończochach, butach na wysokich obcasach, sukienkach koktajlowych do kolan lub dopasowanych wełnianych kostiumikach, przechadzające się wśród tłumu z pewnością siebie dorosłych kobiet.

137

Nagle w stronę naszej grupki pomachała ręką szczupła kobieta, ta, którą widziałam po raz pierwszy, gdy Tory złamała nogę. Wyglądała jak cudowna syrena o blond włosach. Miała na sobie kostium Chanel z lamówką i wielkie okulary przeciwsłoneczne w oprawce w kształcie motyla. Podniosłyśmy się niezręcznie.

— Och, kochanie! Cudownie! Wreszcie cię spotykam!

Spojrzałam na dziewczyny, by zobaczyć, kogo miała na myśli. Zaraz potem różowe, rybie usta połaskotały mnie w policzek.

— Nie masz pojęcia, jaka jestem ci wdzięczna, że pomogłaś Tory, gdy zdarzył się ten wypadek. To moje ukochane dziecko. Choć nie chce przestrzegać diety!

— Diety? — zapytałam głupio.

— O tak, kochanie! Nie można być ani zbyt bogatą, ani zbyt szczupłą. No, gdzie ten dzieciak? Halo! Tutaj!

Kanonik Quinn szedł w naszą stronę z bardzo wysokim chłopakiem, którego blada twarz w okularach przypominała mi misia pandę z zoo w Detroit. Zwiedzaliśmy je z Morleyem i Sal. Pokłóciłam się wtedy z Sal, bo powiedziała, że pandy są złośliwe. Pani Quinn objęła wysokiego chłopaka.

— To Jack O'Malley, operator szkolnego kina. Jest niezastąpiony, prawda, Bruno?

— Pokazuje pan czasem „King Konga”? — zapytałam.

Nie mam pojęcia, skąd miałam odwagę, by spytać o ulubiony film Paulie i mój. Chyba mu się to spodobało, bo kiedy z zabawnym, oficjalnym ukłonem uściśnął mi dłoń, powiedział, że projekcja była w zeszłym tygodniu. Dodał, że jego zdaniem to najlepszy w historii film o potworach, dużo lepszy od „Godzilli”. Odparłam, że dla mnie „Godzilla” była kompletnie niewiarygodna, choć Japończycy są prawdziwymi czarodziejami, jeśli chodzi o efekty specjalne. Nagle zdałam sobie sprawę, że rozgałęziam się pod nosem rodziców Tory, więc ugryzłam się w język.

Mama Tory zachichotała.

— No, no — rzekła i przycisnęła mnie do chanelowskiego kostiumiku. Pachniała uspokajająco, tak właśnie wyobrażałam sobie maminy zapach, zapach pudru i konwalii.

— Nie powinnaś zachowywać się zbyt swobodnie przy dziewczętach, Panny — stwierdził kanonik Quinn. Trzymał dłoń na jej ra-

138

mieniu w geście posiadacza. Morley nigdy nie dotykał w ten sposób Sal czy mnie. — One chyba mają nas za wapniaków.

— Mów za siebie, kochanie — odparła pani Quinn.

Podana mu kartkę papieru i poprosiła o ciszę. Powiedziała, że uczniowie i uczennice z internatów obu szkół, dla których nauczyciele zorganizowali randki w ciemno, mają ustawić się w rzędach po obu stronach rotundy. Przeszliśmy więc z powrotem do dużego hal-lu. Stałyśmy po jednej stronie, obok szklanej gablotki, w której znajdowały się srebrne figurki: klęcząca kobieta w błagalnym geście wyciągała dłonie ku żołnierzowi na koniu. Chłopcy zaś ustawili się po drugiej stronie pełnego ludzi pomieszczenia, przy ogromnym przejściu do klas.

Jeśli jest coś, czego naprawdę nie cierpię, to właśnie konieczność robienia czegoś, co jest z góry skazane na niepowodzenie. Ludzie robią tak cały czas. Weźmy Morleya i Sal. W każdy czwartek Sal chodzi na lekcje brydża. Wraca wściekła, bo nie znosi zasad licytacji Charlesa Van Gorena. Sama mówi, że nie lubi grać w karty zgodnie z podręcznikiem. Z kolei Morley całe życie robi to, czego nie chce. Dlaczego więc miałabym się przejmować jakąś randką w ciemno? Pytam się. Dlaczego mam się zamartwiać tym, czy polubi mnie jakiś kulawy chłopaczyna?



Nie byłam w stanie wymyślić innego sposobu na uniknięcie dal-szego ciągu niż śmierć na miejscu, więc dołączyłam do dziewczyn. Wtedy właśnie go zobaczyłam. Stał na zewnątrz na dziedzińcu, opodal pomnika bohatera wojennego z dawnych lat, którego miecz wznosił się ku niebu. Powinnam raczej powiedzieć „ja”, ale Paulie w stroju Lewisa tak bardzo przypominała chłopaka, że trudno uży-wać rodzaju żeńskiego. Miał na sobie granatową wiatrówkę i czap-kę z daszkiem, strój z wyprawy do „Starego Młyna”. Jak zwykle pa-lił papierosa. Szurał nogami, rozrzucając leżące na ziemi zeszcłe li-ście. Zatrzymał się i zaczął wpatrywać w budynek szkoły, jakby ma-rzył o tym, by znaleźć się w środku razem z nami. Na chwilę znów przestałam oddychać. Nie z powodu Alicji, ale ze względu na tęsko-tę, jaka malowała się na twarzy Lewisa.

Pośrodku rotundy kanonik Quinn odczytywał na głos listę na-zwisk. Zdenerwowani chłopcy przechodzili pojedynczo przez długi hali i czekali wraz z dyrektorem, aż podejdzie do nich wybrana dziewczyna. Uczniowie podawali sobie ręce pod obstrzałem spoj-

139

rzeń wszystkich zebranych. Nauczyciele starali się dobrać pary pod względem wzrostu. Za każdym razem, gdy para okazywała się nie-dopasowana, w rzędzie chłopaków słychać było wybuchy śmiechu. Chciałam uspokoić Alicję, że wszystko będzie dobrze, ale zabrakło mi sił, więc zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że jestem znów w Madoc's Landing i kroję cebulę dla Sal, która nie lubiła tego robić, a ja uwielbiałam zalewać się łzami, gdy tylko mogłam sobie na to po-zwolić.

Wtedy usłyszałam swoje nazwisko. Otworzyłam oczy, ale nie by-łam w stanie zrobić kroku. W rzędzie chłopaków ktoś zaśmiał się i rzucił:

— Twoja nie przyszła, Perce!

Kanonik Quinn ponownie wywołał moje nazwisko. Tym razem wyszłam powoli na środek pomieszczenia. Czułam na sobie spojrze-nia chłopców i dziewczyn, choć szłam ze wzrokiem wbitym w nowe buty. Ktoś poklepał mnie po ramieniu, tym zdrowym.

— Przywitaj się z Percym Longfellowem, Mary Beatrice! — po-

wiedział kanonik Quinn.

Z rzędu chłopców dobiegł mnie szept: — Perce ma pecha! — Ktoś inny dodał: — Longfellow dostał garbatą.

Spojrzałam w dół. Percy Longfellow był niższy ode mnie o trzy cale i twarz miał pokrytą pryszczami. Zarumienił się i podał mi rę-kę. Była jeszcze bardziej wilgotna niż moja.

Bez słowa dołączyliśmy do grupki par. Percy Longfellow kołysał się dziwnie i powłóczył nogami. Powiedział cicho, że boli go głowa.

— Proszę, weź to. — Dałam mu aspirynę z buteleczki, którą miałam w torebce. Potrząsnął głową i wiedziałam już, że stało się najgorsze, tak jak zawsze. Poczułam smutek pomieszany z ulgą, bo najlepiej radzę sobie właśnie z najgorszym.

Spojrzałam znów za okno. Lewis stał teraz na wysokim cokole pomnika i owijał papierem toaletowym głowę i ramiona bohatera. Z dołu patrzyła na niego dziewczyna w futrze z szopa. Była to Tory. Nie rozpoznałam jej w pierwszej chwili. Bez mundurka wyglądała obco — nie jak dziewczyna z internatu. Lewis zeskoczył i wolnym krokiem zaczęli wychodzić z czworokątnego dziedzińca. Lewis za-trzymywał się, czekając na kuśtykającą o kulach Tory. Wyglądali na absolutnie szczęśliwych i zajętych sobą — jak Lady, kiedy prosi o ciastka daktylowe. Za nimi na słabym wietrze powiewały wstęgi

140

papieru toaletowego. Byłam tak poruszona tym widokiem, cierpliwością i czułością Lewisa, że nie zauważyłam stukających w okna chłopców i dziewczyn. Jakiś chłopak klął głośno. Nagle jakiś nauczyciel wybiegł z pomieszczenia, a za nim ruszył jeden z uczniów. Lewis i Tory patrzyli w naszą stronę ze zdumieniem na twarzach. Tory po-głaskała Lewisa po policzku, który czule pocałował jej dłoń, a potem rzucił się do ucieczki. Stojąca o kulach Tory patrzyła za nim. Dobrze wiedziałam, co czuła. To co ja, gdy Morley poklepie mnie po policzku i odjeżdża w „Oczku”. Nagle jednak stało się coś, co sprawiło, że wszyscy zapomnieli o Lewisie. Z korytarza dobiegł dźwięk radia, a jakaś kobieta krzyknęła:

— Mój Boże! Kto mógł zrobić coś takiego?

Kanonik Quinn otworzył drewniane drzwi recepcji, marszcząc krzaczaste brwi. W przejściu stała zasmucona pani Quinn.

— Ktoś zastrzelił prezydenta Stanów Zjednoczonych! — powie-działa. — Zabił go jakiś szaleniec.

— Prezydent Kennedy zastrzelony? — wykrztusił jeden z nau-czycieli.

Zapomniałam o bólu głowy Percy'ego Longfellowa i zawołałam:

— To pomyłka! Ja w to nie wierzę!

Kanonik Quinn tylko skinął głową bardzo poważnie, a chłopcy i dziewczyny wokół mnie zaczęli mówić, że oni też w to nie wierzą. Resztę znacie. Z wyjątkiem jednej rzeczy: widziałam wielu męż-czyzn, ale żaden z nich nie był tak miły jak John F. Kennedy. Tylko że teraz już nie żył.

25 listopada, 1963

Szanowny Panie Kennedy!

Nie mogę uwierzyć, że Pan nie żyje. Nikt nie może w to uwierzyć. Po tym, jak pani Quinn przekazała nam wiadomość, kanonik Quinn odwołał tańce i wszyscy poszliśmy do biblioteki państwa Quinn i oglądaliśmy tele-wizję. Jakiś człowiek, Dan, powiedział, że strzelono do Pana trzy razy. Po-myślałam sobie, że szkoda, iż gubernator Connally, który towarzyszył Pa-nu w limuzynie, nie siedział trochę wyżej. (Choć nie mam nic przeciwko niemu).

Nie rozumiem jednej rzeczy, Panie Prezydencie. Dlaczego nie mógł Pa-na ktoś uratować? Był przecież na to czas. Sekunda czy coś koło tego między drugim i trzecim strzałem. Dlaczego Jackie nie pociągnęła Pana na swoje kolana? Tak przecież zrobiła żona pana Connally. Wiem, że Jackie wydostała się z limuzyny po bagażniku. Domyślam się, że chciała szukać pomocy, ale wydało mi się to głupie. Jakby uciekała. I na dodatek wystawi-ła się na ewentualny strzał.

Lubię sobie wyobrażać, Panie Prezydencie, że mogłam coś dla Pana zro-bić, na przykład założyć kuloodporną kamizelkę i Pana osłonić. Jestem tyl-ko Myszka Bradford i nawet gdyby mnie trafiono, dla świata nie miałoby to wielkiego znaczenia. Tylko że kamizelki kuloodporne chyba nie zakrywają szyi, prawda? Właśnie tam, gdzie został Pan trafiony. I jeszcze w tył Pana pięknej głowy.

Staram się nie płakać, kiedy piszę ten list, Panie Kennedy. Chciałabym przyjąć to ze spokojem, jak Pan by to zrobił. Ale bez Pana świat przestał wydawać się bezpieczny. Pan sprawiał, że świat był przyjemniejszy. Zawsze zachowywał się Pan tak, jakby wszyscy mieli dobre zamiary, przynajmniej na początku, niezależnie od tego, co zrobili później. Żadna spośród znanych mi osób taka nie jest. Mam oczywiście w domu Morleya i Sal, ale pisałam

142

Panu o problemach z nimi. Zwłaszcza z Morleyem. Od kiedy tu jestem, nie napisał do mnie ani razu. A Pan wysłał mi list, i to bardzo dobry list.

Piszę ten list na lekcji. Dziewica patroluje korytarze. Słyszę tra-ta-ta--ta jej kanonierek na posadzce. Od czasu, gdy to się stało, żadna z nas nie jest w stanie się uczyć.

Tego wieczora, gdy Oswald strzelił do Pana, moja ciotka i wuj nie spa-li do późna, by wysłuchać wiadomości na CBC. Pan Pearson (nasz premier — to ten w muszce) powiedział, że wszyscy powinniśmy podjąć postanowie-nie, by stawać się lepszymi, ponieważ naszą planetę opuścił młody, dobry człowiek. Ciocia Margaret i ja płakałyśmy troszkę, Panie Prezydencie, i na-wet mój głupi wujek wyglądał na bardzo zasmuconego.

Potem przełączyliśmy na amerykański kanał CBS, by obejrzeć wywiad z ludźmi na ulicach.

Nie pamiętam nic z tego, co mówili, ale wszyscy w tłumie mieli otwarte usta i wydawali z siebie jeden rozpaczliwy jęk, jakby w tej samej chwili ktoś uderzył wszystkich w głowę drewnianą kłodą.

Staram się żyć dalej, Panie Prezydencie. W poniedziałek na przykład mam sprawdzian z fizyki. Ale kiedy muszę myśleć o czymś innym, czuję się wobec Pana niełojalna.

Lekcja kończy się za kilka minut. Potem będę przygotowywać się do roli w „Jak bez trudu odnieść sukces w interesach”\*. Gram biurowego gogusia, który cały czas podlizuje się przełożonym, a Straszna Ismay jedną z sekretarek. Wszystkie śmiejemy się jak wariatki, gdy Ismay ma zaśpiewać swoją partię o tym, że nie chce się bawić w lekarza. To naprawdę świetna zabawa, gdy ktoś taki jak Ismay mówi coś nieprzyzwoitego. Muszę (brrr!) trzymać ją za rękę, kiedy się kłaniamy. Czas już na mnie. Nie mogę uwierzyć w Pana śmierć, Panie Prezydencie. Mam nadzieję, że obudzę się jutro rano i dowiem, iż wydarzenia z 22 listopada były straszliwą, straszliwą, straszliwą pomyłką.

Pańska na zawsze, Myszka Bradford

\* „How to succeed in business without really trying” (Jak bez trudu odnieść sukces w interesach) — tytuł musicalu z 1961 roku, reżyseria: Abe Burrows.

143

;H

Na kilka tygodni przed zakończeniem semestru Paulie i ja uciekłyśmy z zajęć. Ukryłyśmy się niedaleko płotu odgradzającego teren szkoły od wąwozu. Nieopodal woźni kopali dół, by wrzucić do niego tajemniczo otrute gołębie, których ciała leżały na małym wózku przyczepionym do traktora Willy'ego. W dole na pustym boisku do koszykówki kilka dziewczyn odbijało piłeczkę tenisową. Patrzyłam na nie z podziwem — sama nigdy nie miałam wystarczająco energii, żeby tak się męczyć. Brakowało mi siły nawet do tego, by w czasie spaceru wokół żywopłotu dotrzymać kroku dziewczynom z internatu, które szły zebrane w małe grupki, pochylając głowy w obronie przed wiatrem. Była to moja najmniej ulubiona pora roku — późny listopad. Liście opadły już z większości drzew w wąwozie. Zwiewało je na szkolne żywopłoty, do których przyczepiały się jak kłębki splątanych brązowych włosów. Siedziałyśmy z Paulie w kryjówce Virgiii Woolf, chociaż sama Virginia miałaby pewnie ochotę zabić się na miejscu, gdyby zobaczyła, jak smutno i pusto się tu zrobiło. Jedno spojrzenie na zwiędłe astry i suchą, srebrną od mrozu trawę, i pobiegłaby na łeb na szyję ku rzece Ouse z kieszeniami pełnymi kamieni. Biedna Virginia... Lubię sobie wyobrażać, jak znajduje kamyk płaski i gładki jak powierzchnia jeziora Huron, i puszcza nim kaczkę, plum plum plum, zanim wykona swój numer Ofelii. Tego popołudnia było mi naprawdę smutno, bo dostałam od Sal list z niewesołymi wiadomościami na temat Bożego Narodzenia.

24 listopada, 1963 Kochana Myszko,

Czy to nie straszne, co stało się z prezydentem Kennedym? Wiem, że bardzo go lubiłaś, więc wysłałam Ci wycinki z „Biuletynu”. Jak powiedział

Lester Pearson, prezydent Kennedy był wielkim przyjacielem Kanady i je-go stratę odczuwamy prawie tak mocno jak Amerykanie. Nasi sąsiedzi z południa to niedouczeni pozerzy, ale prezydenta mieli prawie że porząd-nego, trzeba im to przyznać.

Całuję, Sal

PS Spodziewam się, że wuj Winnie powiedział Ci już o Bożym Narodze-niu. Umówiłam się z nim, że zabierze cię na ferie do siebie, do Point Ed-ward. Zawiadomiłam już pannę Vaughan, że będziesz pod dobrą opieką. Nie smuć się, Myszko. Wiesz dobrze, że traktujesz wszystko zbyt poważnie. Morley i ja odwiedzimy Cię w mieście przed wyjazdem. Obiecuję.

Byłam zła na Sal, że wyjeżdżają na Gwiazdkę, więc jej uwagi na temat naszego wspólnego bohatera wydały mi się sztuczne. Może dorastałam, a może Sal zawsze taka była. Lubiła się zwierzać, więc można było odnieść wrażenie, że znamy się jak tyse konie (by użyć jednego z jej powiedzonek). Tymczasem wtedy, kiedy najmniej moż-na się tego spodziewać, zachowywała się tak, jakby nic się dla niej nie liczyło. Potrafiła na przykład wbrew twej woli wysłać cię do szkoły. Czy nie zabrać na obiecane wakacje. Zwierzenia Sal nie mia-ły nic wspólnego z jej uczuciami. Jej tajemnice znaczyły tylko tyle, że lubiła dzielić się tajemnicami.

Jedyna dobra rzecz

Jedyną dobrą rzeczą w moim życiu był Jack O'Malley, którego poznałam na przyjęciu w Kings College. Napisał do mnie list.

29 listopada, 1963

Droga Mary,

Jak się masz, do ch...? (Wybacz mi tę łacinę.) Mam w sypialni adapter i ciągle puszczaemy rock and rolla jak wariaci. Zeszłej nocy urządziliśmy po-tańcówkę z miotłami. Za hałasy zostaliśmy razem z Bo Johnsonem wychło-stani. Tyłki nas swędziały! Ale przecież musieliśmy jakoś odreagować po nabożeństwie żałobnym na cześć prezydenta Kennedy'ego w Auli Głównej. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, kiedy stary Kanonier cytował fragment z expose Kenned/ego: „Obyśmy nigdy nie musieli negocjować ze strachu. Ale oby strach nigdy nie zabraniał nam negocjować”. Poważnie mówiąc, Mary, dużo czasu upłynie, zanim na świecie pojawi się ktoś taki jak on.

Przy okazji, mam nadzieję, że w twojej szkole posiłki są jadalne. My wczoro-raj znów dostaliśmy „ropuchę

w dziurze"\*. Drugi raz w ciągu tygodnia. Te cierpienia, jakie musimy znosić w imię wykształcenia! Zastanawiałem się, czy wybierasz się w weekend, 2 grudnia, obejrzeć „Szalony, szalony, szalony jest ten świat"\*\*\*? Jeśli będziesz mogła wtedy wyjść, chętnie Cię zaproszę.

Pozdrowienia, Jack

PS Tory powiedziała mi, że jesteś z Madoc's Landing. Czy ten świat nie jest mały? Ja pochodzę z Orillia, gdzie urodził się Stephen Leacock\*\*\*, naj-zabawniejszy kanadyjski nieboszczyk! I wiesz co? W najbliższą sobotę, po meczu hokeja, będę pokazywał „Godzillę".

Dwa dni po tym, jak dostałam list, Jack zadzwonił. Przez telefon wydawał się zdenerwowany, nie mógł złapać tchu. A ja zaskoczyłam samą siebie, gdy całkiem spokojnie powiedziałam, że z nim wyjdę, choć nigdy wcześniej nie umawiałam się z chłopcami i nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Czy będzie próbował mnie dotykać, tak jak Paulie kazała mi zrobić z dziewczyną ze szkoły St. Mary? Myśl o tym by go pocałować, była jak myśl o całowaniu gwiazdy czy czubka sosny. Co nie znaczy, że chciałam iść na całość czy coś w tym rodzaju. Sal lubiła mawiać, iż seks występuje w dwóch postaciach: hamburgerów i kolacji z homarem. Skoro jest wybór między wy-śmienitymi owocami morza a kotлетem mielonym, po co rzucać się na kiepskie żarcie, jeśli można delektować się czymś naprawdę wy-bornym? Jedyną wadą tego porównania jest to, że skoro seks jest jak jedzenie, to czy nie lepiej zjeść hamburgera, niż zagłodzić się na śmierć? Po co czekać, aż trafi się homar? Oczywiście nie miałam ochoty rozmawiać o tych sprawach z Paulie, która siedziała obok mnie i z nienawiścią patrzyła na woźnych.

Wyglądało na to, że kopanie grobu dla gołębi to ciężka robota. Ziemia już stwardniała od zimna, więc Sierżant i Willy musieli dźgać ziemię szpadłami, jakby mieli do czynienia z wieczną zmar-liną. Gdy dół był już gotowy i gołębie w środku, Sierżant podniósł

\* ropucha w dziurze —plastry kiełbasy zapiekane w cieście. \*\* „Szalony, szalony, szalony jest ten świat" —tytuł filmu z 1963 ro-ku, reżyseria: Stanley Kramer, w roli głównej Spencer Trący.

\*\*\* Stephen Leacock —kanadyjski pisarz i krytyk literacki, humorysta.

146

swego psa, Elegancika, owiniętego w kraciasty koc. Biedny Elegan-cik nie ruszał się. Zjadł pewnie jakiegoś zdechłego ptaka i też się otruł. Sierżant tulił go do siebie, łzy spływały mu po policzkach. Willy dotknął jego ramienia, a Sierżant położył Elegancika między pta-kami. Ze smutkiem patrzyłam, jak Willy zasypywał ziemią pieska, a potem gołębie. Ich trzęsące się jak galareta główki przywodziły mi na myśl masowe groby, jakie alianci odkryli w Oświęcimiu. Wreszcie skończyli. Sierżant przysiadł ciężko na przyczepie traktora i Willy ruszył, mówiąc coś głośno po czesku, jakby próbował go pocieszyć.

— Mężczyzna nie powinien się tak załamywać — orzekła Pau-

lie. — Ale te dupki to nie mężczyźni.

Osobiście się z tym nie zgadzam. Z mojego doświadczenia wynika, że mężczyźni często tracą ducha. Weźmy na przykład zachowanie Morleya na meczach hokejowych, rozgniatającego kapelusze siedzącego obok niego kibica (zupełnie jakby był kimś innym niż osoba, którą Sal i ja znałyśmy) i wspinającego się po ogrodzeniu za bramką, kiedy sędzia niesłusznie ukarał Dave'a Keona.

— Każdy czasem płacze — odparłam. Sama miałam trochę mokre oczy, więc próbowałam myśleć o czymś zabawnym, na przykład

o pani Phillips z wałkami na głowie, żeby nie wyobrażać sobie, jak musiał czuć się Elegancik po połknięciu trucizny.

Paulie zapaliła papierosa i podała mi go. Zawahałam się.

— Daj spokój — powiedziała. — Nikt nas tu nie zobaczy.

— Ale jestem w mundurku.

— Bądź sobie tchórzem, jak chcesz. — Splunęła mi na but, chybając o ułamek cala.

Westchnęłam i wyciągnęłam dwa palce.

— No dobrze — nienawidziłam się za to, że się boję. — Daj mi też.

— To mi się bardziej podoba — Paulie uśmiechnęła się szeroko

1 zapaliła dla mnie papierosa. — Słuchaj, Bradford. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Musimy dziś zakończyć ten test. Rozkaz Konga.

— To są jeszcze jakieś inne testy? — spytałam, usiłując wypuścić dym nosem jak Paulie.

— Chłosta, pamiętasz? — Paulie podniosła stary wskaźnik do tablicy leżący pod ogrodzeniem. Był tak zniszczony, że wyglądał, jakby miał się zaraz rozpaść na kawałki. — Ukradłam z laboratorium fizycznego. Będziemy rzucać monetą, która pierwsza.

Paulie zdjęła mundurek i zsunęła szkolne spodenki. Pod nimi miała chłopięce bokserki. Odwróciła się, zsunęła je i pochyliła się, tak że dłońmi dotykała palców u nóg.

— Tak właśnie robią to w Kings College, Myszko. Chłopcy co prawda nie zdejmują spodni, ale my pójdziemy o krok dalej.

Stałam ze zniszczonym wskaźnikiem w dłoni, patrząc na jej mały, goły tyłek. Nie miałam pojęcia, co robić.

— No dobra, Bradford — powiedziała Paulie. — Dawaj.

Zamachnęłam się powoli, jakbym trenowała uderzenie kijem baseballowym pod okiem starej Ryby-młot. Czubek leciutko uderzył Paulie w pośladek.

— Chryste, Myszko! Nic nie czuję! — krzyknęła. — Mocniej!

Machnęłam jeszcze raz, ale w ostatniej chwili odsunęłam się, żeby nie zrobić jej krzywdy.

— Paulie, nie mogę tego zrobić.

Opuściłam wskaźnik i, szczerą prawdą, zaczęłam chichotać. Czułam się tak samo jak wtedy, gdy czasami droczyłam się z Lady, przykrywając ją poduszkami z sofy i kładąc się na niej, żeby zaczęła warczeć.

— Śmiesz cię to, tak? — Paulie odwróciła się i wyrwała mi wskaźnik z ręki.

Bokserki wciąż jeszcze zwiślały wokół kostek. Nie mogłam odebrać wzroku od meszku między nogami. Nabrałam głęboko powietrza. Chyba tak bardzo wierzyłam w Paulie, że spodziewałam się zobaczyć penisa.

— Gap się na siebie — warknęła. — Pochyl się. Pokażę ci, jak to się robi.

148

Przyszła moja kolej. Zdjęłam sukienkę, spodenki i bawełniane majtki. Schyliłam się. Ze względu na Alicję nie mogłam się mocno zgiąć, więc Paulie mnie przycisnęła. Nic się nie stało. Byłam pewna, że Paulie zaraz przestanie i powie, że to głupkowaty pomysł. Nagle usłyszałam świst i coś długiego i cienkiego wbiło mi się w górną część ud. Jakby ugryzło mnie naraz tysiąc much końskich. Całym ciałem poleciałam ku Paulie. Alicją też szarpnęło. Z trudem złapałam oddech.



— Paulie, przestań! — krzyknęłam. Znow poczułam ból i pieczenie w górnej części ud. Zaczęłam płakać. Mocz spłynął mi po nogach.

— Zamknij się, Bradford! — wrzasnęła Paulie. — Chociaż raz wykaż trochę odwagi!

Złapała mnie swoją silną dłoń za kark i ponownie usiłowała zmusić mnie do schylenia się. Nie mogłam zgiąć się mocniej, więc z całej siły walnęła w Alicję. Krzyknęłam i z płaczem osunęłam się na kolana. Usłyszałam kolejny świszczący odgłos zza głowy. Tym razem uderzyła mnie w pośladki. Pisnęłam i zaczęłam uciekać na czworakach najszybciej jak mogłam, ale Paulie złapała mnie za włosy. Ciach! Znow uderzyła z całej siły w tyłek.

— Paulie, przestań! Przestań! — Położyłam rękę na pupie, by się ochronić. Dostałam po palcach. Ciaaaach!

— To dla twojego dobra! — skrzeczący głos Paulie brzmiał wyśoko i piskliwie.

Zrozumiałam, że mówi do siebie, nie do mnie. Nienawiść, która się z niej wylewała, brała się z jej własnych strachów, które nie miały ze mną nic wspólnego.

— Kłamiesz! — krzyknęłam. — To nieprawda! To wcale nie dla mojego dobra!

— Kong żyje! Niech żyje Kong! Kong żyje! Niech żyje Kong! — Paulie przycisnęła mi policzek do ziemi, złapała mnie za włosy i szarpała moją głowę, gdy próbowałam się uwolnić. Ciach! Ciaaaach! Cięła wskaźnikiem przez pośladki i uda, piekące i mokre od moczu.

W pewnym momencie przestałam czuć ten dotkliwy ból, choć wciąż słyszałam straszny świst wskaźnika w powietrzu. Zwinęłam się w kłębek i głośno płakałam z twarzą przy ziemi, która miała smak minerałów, błota, zimna, ciemności i jakby dżdżownic. Och, Myszko, biedna Myszko, usłyszałam w głowie cichy, jakby dochodzą-

cy z bardzo daleka, wystraszony głosik: nikt ci teraz nie pomoże. Dołączył do niego okrutny, karcący głos

Sal: Sama jesteś sobie winna, Myszko Bradford, nie zasługujesz na naszą miłość... Nagle wskaźnik pękł. Paulie uniosła złamany kij, by uderzyć po raz kolejny. Na-sze oczy spotkały się. Patrzyłyśmy na siebie, nic nie mówiąc. Nie spuszczać ze mnie wzroku, opuściła ramię.

— Beksa — rzuciła wreszcie. Odeszła, przeklinając i waląc po-zostałością wskaźnika w każde mijane drzewo.

Z zaskoczeniem patrzyłam, jak odchodzi. Policzki miałam mokre od łez. Tyłek aż pękał z bólu, nogi umazane miałam moczem i krwią. Zdarzyło się coś bardzo dziwnego: im dłużej Paulie mnie biła, tym stawała się podlejsza, a ja bardziej niewinna. Niewinna mego nie-zgrabnego ciała, tego, że nie zdobyłam miłości Morleya, czy braku przyjaciół.

150

Dlaczego nie przestałam zadawać się z Paulie, gdy testy zaczęły się robić coraz mniej zabawne? Dlaczego nadal robiłam to, co chciała? Nie tylko z potrzeby akceptacji. Fascynowała mnie jej wyobraźnia — której sąd usiłował jej odmówić. Zwłaszcza powołany przez pan-nę Whitlaw główny świadek obrony, doktor Torval. By móc uznać winę Paulie, oskarżyciel musiał udowodnić, że oskarżona nie była chora umysłowo. Zgodnie z dawną ustawą o przestępczości nielet-nich za dzieci uważano osoby poniżej szesnastu lat. A zatem Paulie, która w momencie popełnienia zbrodni miała lat siedemnaście, by-ła sądzona jak osoba dorosła. Oznaczało to, że im bardziej zwariowa-ną osobą przedstawią świadkowie obrony, tym większe szansę Paulie na uniknięcie wyroku. Wydaje mi się, że doktor Torval nie spodo-bał się pannie Whitlaw i sędziemu bardziej niż mnie.

WYSOKI SĄD: Doktorze Torval, powróćmy jednak do sprawy. Powie-dział pan, jak rozumiem, że oskarżona cierpi na zaburzenia płciowości.

DR TORVAL: Niezupełnie, wysoki sędzie. Z punktu widzenia psycholo-gii jest osobą nietypową. To właśnie usiłuję wytłumaczyć...

WYSOKI SĄD: Tak, zauważyłem pańskie wysiłki w tym kierunku. Czy mógłby pan jednak powrócić do kwestii zdrowia psychicznego oskarżonej? Czy ponosi odpowiedzialność za swoje czyny?

DR TORVAL: Ująłbym to tak, wysoki sędzie: ponosi i nie ponosi.

WYSOKI SĄD: Proszę wybaczyć, doktorze Torval, ale wydaje mi się, że nie odpowiedział pan na moje pytanie. Czy może nam pan powiedzieć, czy panna Sykes była odpowiedzialna za swoje czyny?

DR TORVAL: Właśnie staram się to zrobić, wysoki sędzie. Schizofrenię można badać przy pomocy testu przysłów. Przy czym test ten nie służy do określania inteligencji, lecz raczej do oceny zdolności abstrakcyjnego myśle-

151

nia. Rozgarnięty człowiek o stabilnej osobowości potrafi interpretować przysłowia. Czy mogę przeczytać głośno odpowiedzi, jakich udzieliła Pauline Sykes, wysoki sędzi? To nie potrwa długo.

WYSOKI SĄD : Czy może pan po prostu kontynuować, doktorze Torval?

DR TORVAL: Tak, przepraszam. Proszę się nie martwić, wysoki sędzi, jeśli interpretacja jest zbyt trudna. Przy przysłowiu „Wozić drewno do lasu”, Pauline Sykes powiedziała...

WYSOKI SĄD: Proszę mówić trochę wolniej.

DR TORVAL: Przepraszam. Przy przysłowiu „Wozić drewno do lasu”, Pauline Sykes powiedziała: „drewnem można spalić papier”. Przy przysłowiu „Duma jest przyczyną upadku” oskarżona odrzekła: „Jeśli nie patrzysz pod nogi”. Przy „Żaden człowiek nie jest samotną wyspą”, stwierdziła, że „na wyspę trudno się dostać”.

WYSOKI SĄD: Nie pojmuję, doktorze Torval. Czy sugeruje pan, że oskarżona jest chora? Jej odpowiedzi wydają się całkiem inteligentne.

DR TORVAL: Jeśli będę mógł dokończyć, powinno się to wyjaśnić, wysoki sędzi.

WYSOKI SĄD: Miejmy taką nadzieję, doktorze Torval.

DR TORVAL: Przy przysłowiu „Mądrość liczy się bardziej od klejnotów” oskarżona powiedziała, że „klejnoty są bardzo ładne”. Natomiast przysłowia „W czasie burzy każdy port jest dobry” oskarżona nie była w stanie zinterpretować.

WYSOKI SĄD: Dziękuję, doktorze Torval. Czy przeprowadził pan jakieś inne badania?

DR TORVAL: Nie. Z testu przysłów wynikało jasno, wysoki sędzi, że oskarżona nie potrafi myśleć abstrakcyjnie. Świat jest dla niej czarno-biały. Oskarżona nie jest w stanie dokonywać skojarzeń, chociaż nawet prości ludzie są do tego zdolni.

Pauline niezdolna do abstrakcyjnego myślenia? Brak jej wyobraźni? Czym więc, pytam, był ten dziwny i przerażający akt, jeśli nie dowodem jej wyobraźni?

152

Panna Vaughan chce się z tobą zobaczyć po przedstawieniu — rzuciła Straszna Ismay, gdy wychodziłyśmy na scenę przed rozpoczęciem szkolnego przedstawienia. Nie dała mi szansy zapytać, w jakim celu.

Przedstawienie odbywało się w sali gimnastycznej udekorowanej przez uczennice podstawówki na przyjęcie bożonarodzeniowe. Na ścianach pomiędzy witrażowymi oknami przyczepiono brzydkie

bi-bułowe choinki o pniach w kolorze piasku. Na ogromnych podwój-nych drzwiach wejściowych do szkoły podstawowej wisiała siatka do tenisa, do której przyczepione były małe ośnieżone domki z brysto-lu i waty. Na jednym końcu znajdował się duży szary budynek z igli-cą — Bath Ladies College, na drugim — replika wieży zegarowej Kings College, po środku zaś postaci Dzieciątka, Marii i Józefa.

Czułam, że dłonie mi się pocą, gdy kłaniałam się, trzymając Is-may za rękę. Dziewczyny klaskały i wołały: bis, bis!, bo wydawało im się, że tak zachowuje się publiczność w prawdziwym świecie. Dziewica nawet się nie poruszyła. Przypatrywała mi się i szeptała coś do pani Peddie. Co złego zrobiłam tym razem? To prawda, że znów malowałam paznokcie podczas lekcji, ale upewniłam się, że nikt mnie nie widzi. I do perfekcji opanowałam sposób, w jaki star-sze dziewczyny kradły ciasteczka „Oreo” — trzeba było jednym ru-chem schować je w rękawie szlafroka. Występki te były jednak zbyt błahe, by Dziewica patrzyła na mnie w tak dziwny sposób. Może do-wiedziała się o Lewisie i Nicku.

Wszystkie te okropne, krępujące uczucia

Dziewica wstała z krzesła, gdy tylko wyszłam. Czekałam, sie-dząc przed lustrem w przebieralni. Za mną Ismay walczyła z brzyd-

153

kimi, czarnymi nylonami, których szwy biegly wzdłuż ud jak linie na autostradzie. Chciałam dać jakiś znak Paulie, która była jedną z inspicjentek, ale od czasu chłosty nie rozmawiałyśmy ze sobą. Cho-ciaż, gdyby mieli mnie wyrzucić, czy Dziewica miałaby taką smutną minę? Może jednak nie była bez serca. Głupia jestem! Przecież wie-działam, że nie, podobnie jak panie Peddie. Wyczytałam to z ich li-stów. Na własne oczy widziałam, że te dwie paniusie były zdolne do najbardziej zawstydzających uczuć: miłości, gniewu, upokorzenia — tych naprawdę okropnych, krępujących uczuć, od których aż roiło się w ich sercach.

Najpierw weszła Dziewica, a trzy kroczki za nią —jak księżę Fi-lip za królową Elżbietą — pani Peddie. Nie odezwały się ani słowem. Dziewica wyciągnęła rękę. Nie był to gest zachęcający do tego, bym i ja to zrobiła.

— Mary, dostałyśmy niedobłą wiadomość. Czy możesz przyjść

do mego gabinetu?

Ismay szybko wyszła, nawet na mnie nie patrząc. Pani Peddie i ja podążyłyśmy za niedźwiedziołą figurą Dziewicy prowadzą-cym do gabinetu ciemnym korytarzem za sceną. Minęłyśmy tajem-ny kącik, w którym panna Vaughan pozwalała Clare, przewodniczą-cej internatu, wypłakiwać się, gdy pomoc wychowawczyniom przera-stała jej siły. Może i teraz Clare siedziała tam skulona i płakała jak bóbr.

Przy drzwiach pani Peddie odsunęła się na bok z przepaszają-cym uśmiechem, jakby mówiła: wybacz, Mary Beatrice, nie mogę iść z tobą dalej, każdy z nas podróżuje samotnie po cuchnącym siarką wnętrzu piekła. Dziewica trzasnęła drzwiami prosto w przejętą twarz pani Peddie. Wskazała mi krzesło. Sama

usiadła i oparła łokcie na biurku. Ciężko westchnęła. Wszystko skończone, Mysko, po-myślałam.

— Mary Beatrice, twój ojciec nie żyje — powiedziała wreszcie.

— Nie znamy szczegółów, ale twoja macocha prosi, byś do niej zadzwoniła.

Przez chwilę nie reagowałam. Potem kiwnęłam głową. Dwa razy, na wypadek, gdyby panna Vaughan nie zrozumiała pierwszego kiwnięcia. Nie widziałam powodu jej zdenerwowania. Wszyscy przecież uważali, że Morley za dużo pracuje. Wiedziałam, że któregoś dnia kopnie w kalendarz i dlatego właśnie napisałam do Normana

154

Vincenta Peale'a. Nikt mnie jednak nie słuchał. A teraz nie będę mogła pójść na randkę z Jackiem O'Malley'em.

Dziewica popatrzyła na mnie i odwróciła się, by wykręcić numer. Chwilę później podała mi słuchawkę. Ustyszałam Sal. Brzmiała jak dziwne echo tej Sal, którą znałam. Szloch tłumił jej głos, więc musiałam się bardzo skupić, żeby zrozumieć, co mówi.

— Opuścił nas, Mysko. — Długa cisza. Nic nie odpowiedziałam. Sal znów zaszlochała. — Mysko, jesteś tam?

— Tak — powiedziała wreszcie.

— Zmarł w drodze do Barry Island. Jakaś kobieta miała rodzić.

Żaden inny lekarz nie chciał tam pojechać. — Sal znów zaczęła płakać tak głośno, że prawie nie słyszałam, co mówi. — Czy to nie ty powe?

Nie powiedziałam ani słowa. Barry Island to rezerwat Indian w pobliżu Madoc's Landing. Podałam słuchawkę Dziewicy. Miałam dosyć rozmów na odległość. Patrzyłam na Dziewicę, gdy rozmawiała z Sal.

— Tak, tak, bardzo zdenerwowana. Zbyt zdenerwowana, by teraz z panią pomówić, pani Bradford.

Dziewica powiedziała, że bardzo jej przykro. Potem mówiła coś w tym rodzaju: — Samochód ugrzązł w śniegu, tak? Rozumiem. Je-chał z pomocą, tak? I nagle atak serca. Tak. Zimno. To zbyt wiele dla niego. Tak... Proszę poczekać... Pyta mnie o coś.

— A Lady? Nasz pies?

— Zginął, obawiam się — odpowiedziała Dziewica. Dodała jeszcze do słuchawki: — Nie, nie teraz. Zajmę się zorganizowaniem jej wyjazdu do Madoc's Landing.

Odłożyła słuchawkę.

— Bardzo mi przykro, Mary Beatrice.

Wstałam i wyszłam, nie czekając na jej pozwolenie.

## Część druga

W dole oblodzonego wzgórza, poprzez okryte śniegiem gałęzie widziałam dom lekarza. Tak ludzie z Madoc's Landing mówili o naszym dużym domu ze spiczastym dachem. Tylko tu na drzwiach widział wieniec. Najpierw pomyślałam, że to dekoracja świąteczna, ale zdałam sobie sprawę, że na to jeszcze za wcześnie. Był dopiero początek grudnia. Wieniec powieszono ze względu na Morleya.

Nasz dom zbudowany był z nowej czerwonej cegły, zdobiły go bogato rzeźbione listwy nad oknami. Duże, ceglane kominy wystawały z dachu w najmniej oczekiwanych miejscach. Moje ulubione wykuszowe okno na pierwszym piętrze zastąpiła nowa dobudówka z wielkim oknem. Pomysł Sal. Pozostałe domy powstały ponad sto pięćdziesiąt lat temu. Wzniesiono je dla oficerów brytyjskiej marynarki, którzy przybyli do Madoc's Landing, by powstrzymać inwazję Amerykanów w Kanadzie. Teraz te dwupiętrowe domki z drewnianym poszyciem należały do nauczycieli i sklepikarzy z Landing.

Na wschód od naszego domu, za świerkowym lasem, skrywał się budynek szpitala psychiatrycznego. Było to ogromne mauzoleum z cegły, osiem czy dziesięć razy większe od naszego domu, z przeszkloną werandą i dwiema kopułami. Zbudowano je w tym samym roku co nasz dom, który należał kiedyś do dyrektora wariatkowa (określenie Sal). Obecnie pracownicy szpitala mieszkali w betonowej dzielnicy położonej w niższej części wzgórza, bliżej zatoki. Jeździli nowymi, błyszczącymi buickami, bo zarabiali mnóstwo pieniędzy za nadgodziny. Ludzie w Landing plotkowali, że stosują wobec pacjentów gaz łzawiący i szczują wilczurami, tak jak strażnicy w prawdziwych więzieniach.

Morley uważał, że to bzdury. Grywał kiedyś z pacjentami w tenisa. Czasami nazywano go lekarzem wariatów, bo leczył pacjentów

z psychiatrika za darmo. W salonie powiesił obrazy swojej ulubionej pacjentki, starszej kobiety, która uważała się za mistrzynię tenisa. Te obrazy, przedstawiające zamrznięte jeziora i samochody porzucone na starych drogach, namalowano szerokimi pociągnięciami pędzla, jakby autorka naśladowała Van Gogha. Często myślałam, że gdybym tylko przyjrzała się im wystarczająco dokładnie, odkryłabym jakąś straszliwą tajemnicę, którą chciała mi przekazać.

Taksówka wspinająca się po podejździe, koła buksowały na śliskiej nawierzchni. Napadało już dużo śniegu — sięgał prawie do parapetu okna w dobudówce. Zapłaciłam kierowcy z pieniędzy, które dała mi Dziewica. Weszłam powoli po schodach i zapukałam do drzwi własnego domu. Otworzyły się i ujrzałam ogromny, wysoki pokój. W kominku palił się ogień. Miałam wrażenie, jakby to był dom kogoś, kogo nie znałam. Nagle Sal otoczyła mnie ramionami. Za nią zbliżyły się dwie niewyraźne postacie, wuj Winnie i ciotka Margaret. Weszłam i stanęłam przy kominku, by ogrzać dłonie. Wujek podszedł do mnie, uśmiechając się po przyjacielsku.

— Jest wiele rzeczy, które mógłbym powiedzieć, Kocurku. Wiesz na pewno, co to za rzeczy, więc nie ma sensu, bym je mówił.

Popatrzył na mnie, jakby wyświadczył mi przysługę. Ale tym razem chciałam, żeby mówił. Potrzebowałam, żeby mnie pocieszył, powiedział, jak dobrym człowiekiem był Morley. Wydawało mi się, że Sal też na to czeka. Stała koło mnie, łkając. Pachniała płynem do płukania ust — zły znak.

— Może zmówisz modlitwę, Winnie? — zaproponowała ciotka.

— Boże, daj nam duchową siłę, by żyć naszym codziennym życiem, gdy nie ma już pośród nas naszego ukochanego ojca i szwagra, Morleya Bradforda. — Zamilkł na chwilę, by poprawić ułożenie rąk na brzuchu. — I obdarz tę dziewczynkę łaską i hartem ducha w jej nowym życiu z Margaret i ze mną.

Zaczęłam coś mówić, ale nagle podłoga pode mną zadrżała. Kiedy otworzyłam oczy, znajdowałam się wraz z Sal w pokoju gościnnym, w którym kładła mnie i Morleya, gdy byliśmy chorzy. Powiedziała, że bym nie brała propozycji wujka na poważnie, bo zachował się tak dlatego, że myślał, iż tego od niego oczekujemy. Ale w głębi serca tak nie myślał. Przysłuchiwałam się z powątpiewaniem. Wsłuchnęłam moim starym Mysim sposobem, gdy położyła się koło mnie na łóżku i znów zaczęła szlochać.

160

— Och, Myszko. To było takie cudowne, gdy wracał ze szpitala

i mówił: Sal, jak wspaniale cię widzieć. Lubił, kiedy się nim zajmowałam, ale przecież nie mogłam wyleczyć jego chorego serca, prawda, Myszko?

— To nie twoja wina, Sal — powiedziałam. — To nie twoja wina, że tak dużo pracował.

Wpatrywałam się w sufit. Sal była pijana, więc nie mogłam jej powiedzieć, żeby nie opowiadała mi o tym, jak Morley ją kochał. Po prostu miłości Morleya nie mogło wystarczyć dla nas obu i ja nie dostałam swojej części.

161

Jechaliśmy tuż za karawanem. Nagle zarzuciło nim na wąskiej drodze prowadzącej na cmentarz św. Patryka, tak że kratownica uderzyła w ścianę stwardniałego śniegu. Wznosiły się one wysoko po obu stronach drogi. Wyglądały, jak zrobione z zamrożonego kremu do golenia. W Madoc's Landing śnieg spadł wcześniej niż w Toronto. Mieszkańcy mego rodzinnego miasta zdążyli przeżyć już dwie odwilże i dwa przymrozki. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, ale po chwili karawan znów był już na drodze. Wujek odetchnął z ulgą. Dłońmi nadal mocno ścisnął kierownicę. Prowadził Oczko. Obok niego siedział wysoki rudowłosy mężczyzna z wąsikami. Sal mówiła, że takie wąsy noszą tylko sprzedawcy pędzli „Fuller Brush”.

Sal siedziała koło mnie z tyłu. Z drugiej strony ciotka pocierała zamarznąłą szybę, żeby zrobić sobie „okienko” do wyglądania. Było poniżej zera.

W Oczku czułam się bezpiecznie, jakby Morley był razem z nami. Wiedziałam, że byłby zniesmaczony, gdyby zobaczył, jak wujek hamuje na śliskiej, wiejskiej drodze. Każdy, kto dorastał w północnym Ontario, wie, jak posługiwać się hamulcem, żeby nie wpaść w poślizg.

Pożegnanie z Morleyem

Przedsiębiorca pogrzebowy najpierw pomógł wyjść ciotce. Potem podał rękę Sal. Zauważyłam, że udał, iż patrzy gdzie indziej, kiedy lekko się zatoczyła. Wygramoliłam się najszybciej, jak mogłam, i zła-pałam ją za łokieć, na wypadek gdyby się pośliznęła. Czułam się, jakby Morley patrzył na mnie z karawanu, uśmiechając się w swym ubraniu do zakopania. Sal powiedziała, że przedsiębiorca pogrzebowy tak właśnie wyraził się o wełnianym garniturze w paski, w jaki

162

ubrał mego ojca. Nie mogę znieść słowa „zakopanie”. To słowo rolników i Sal powtórzyła to jako



dowcip, bo tak właśnie w jej stronach mówi się na zakładane na zwłoki ubranie.

Na pogrzeb Morleya przyszli prawie wszyscy mieszkańcy Ma-doc's Landing. Wsiadali teraz z samochodów. Farmerzy w wysokich gumowych butach, właściciele sklepów z żonami, okutany w zimowe ubrania, że wyglądały jak ludzik z reklamy Michelin. Zauważyłam lekarzy i pielęgniarki ze szpitala ogólnego, a także kilka dawnych koleżanek ze szkoły. Patrzyły na mnie ze współczuciem spod pomponów wełnianych czapek. Nie chciałam ich litości i miałam za złe Morleyowi, że umarł i że przez niego jesteśmy wystawione na litościwe spojrzenia całego miasta. Czułam się, jakby jego śmierć pozabawiła mnie skóry, jakby pozostały tylko krew i wnętrzności, które tak łatwo zranić.

Spojrzałam ponad głowami żałobników na małe jezioro w dole cmentarza. Również było pokryte śniegiem. Trudno byłoby jeździć na łyżwach. Byłam tam tylko raz, z Sal. Nogi strasznie mi się trzęsły i cały czas płakałam. W końcu Sal kazała mi zdjąć łyżwy.

Wiedziałam, że od tej chwili muszę zachowywać się jak dorosła i postępować w taki sposób, by ludzie mówili, że Mysza Bradford ma zdrowy rozsądek. Morley będzie wreszcie mógł być ze mnie dumny.

Zaczęliśmy ustawiać się w długim rzędzie za wujkiem. Nie zwracał uwagi na to, co mówił do niego przedsiębiorca pogrzebowy i machał ręką do ludzi, by podeszli bliżej. Na płaszczu miał kościelny szal z frędzlami, żeby nie było wątpliwości, kim jest. Sal dała mu kapelusz Morleya i jego eleganckie beżowe rękawiczki z kozłej skóry. Wyglądał jak karykatura mego ojca z beczki śmiechu. Był o połowę od niego niższy, a twarz miał rozepchaną z przejedzenia. Zastanawiałam się, co pomyślałby o nim Kong i jak poradziłby sobie z testami Paulie. Mężczyźni zawsze mają lepiej: są mężczyznami tylko dla tego, że się nimi urodzili. Wuj skrzywił się, jakby słyszał moje myśli. Chwiejnym krokiem wyminął przedsiębiorcę pogrzebowego, który stał w nie dopiętych butach z kozuszką w środku. Zatrzymał się i pomachał ręką. Zobaczyłam grób Morleya. W odległości około pięciu kroków od nas w na pół wykopanym prostokątnym dole dymił żeliwny piec na drewno. Obok dwóch mężczyzn wbijało kilofy w zamrzniętą ziemię. Wujek znów pomachał ręką i mężczyźni zginęli

163

w tłumie jak dwa czarne ptaki. Śnieg przy grobie zamienił się w brzydką czerwonawą masę. Spojrzałam na dół, w którym Morley miał już zostać, i odwróciłam wzrok. I nagle, ku memu zdumieniu, kogo zobaczyłam, jak patrzy na mnie ponad dziwnym, niedokończonym dołem? Dziewicę. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Nie mogłam uwierzyć, że przyjechała taki kawał drogi do Madoc's Landing na pogrzeb mojego ojca. Uśmiechnęła się również i wskazała na kogoś. Była to Paulie. W granatowym szkolnym płaszczu i kapeluszu, w jakich chodziłyśmy do kościoła, żuła gumę i wpatrywała się w grób Morleya, jakby patrzyła na dół wykopany przez Sierżanta i Willy'ego dla gołębi.

W swych bezkształtnych ubraniach Dziewica wyglądała jak, używając określenia chłopców z Kings College, niewypał. Ktoś, z kim za nic się nie umówisz, bo musiałbyś mu założyć papierową torbę na głowę. A Paulie, której silne ciało skrywało niedzielne ubranie, wyglądała na niższą, niż pamiętałam, i

niedojrzałą.

Kiedy wracaliśmy do domu, znów zaczął padać śnieg. Wuj powiedział, że ciało Morleya będzie spoczywać w kamiennej kapliczce na początku cmentarza do czasu, gdy piec rozpuści ziemię i wykopany zostanie przyzwoity grób. To opóźnienie jakoś mnie pocieszyło. Nie mogłam znieść myśli, że Morley będzie leżeć pod ziemią i śniegiem. Gdybym była na jego miejscu, wołałabym zostać na zawsze w ka-plicy.

Gdy wujek wyszedł przez bramę cmentarza, ciotka podała mi paczkę listów od dziewczyn ze szkoły.

— Ta wysoka dystygowana kobieta prosiła, by ci je przekazać.

Ciotka spojrzała na Sal ponad moim ramieniem. Powiedziałam, że Sal jest wyczerpana po pogrzebie. Uśmiechnęła się. Ciocia nale-żała do tego rodzaju ludzi, którzy chcą myśleć o innych jak najlepiej. Wystarczyło podać jakieś wyjaśnienie, w miarę do przyjęcia, a ona je przyjmowała. Oznaczało to, że mam jakieś zabezpieczenie przed dezaprobatą wujka — przynajmniej jeden z członków tej rodziny starał się zobaczyć sprawy z mojej perspektywy.

W samochodzie przejrzałam pobieżnie wymuszone listy z kon-dolencjami od przewodniczących klas. Na białym papierze z wytło-czonymi srebrnymi liśćmi paproci pytały, czy mogą coś dla mnie zro-bić. Pomyślałam, że to głupie. Co mogą dla mnie zrobić, skoro jestem teraz w Madoc's Landing? A nawet gdybym była znów w szkole, to

164

co mogłyby zrobić? Zrobiło mi się za nie głupio, jakbym patrzyła na listy wysłane do kogoś innego i jakbym była tylko pośrednikiem w tym rytuale.

Przeczytałam w całości tylko jeden list — od Tory.

13 grudnia, 1963

Kochana Myszko!

Bardzo nam wszystkim przykro z powodu Twego taty. Dziewica powie-działa nam o tym na nabożeństwie. Wydawała się bardzo smutna. Nawet stara Peddie wyglądała na poruszoną! Jak się domyślasz, wróciłam do ciu-py. Nogi już prawie wyzdrowiały i śmigam na kulach jak nie wiem co. Śpię teraz w Twoim łóżku, ale nie martw się, Myszko! Nie zajmę Twojego miej-sca! Nie mogę się doczekać przyszłego semestru, kiedy znów będziemy wszystkie razem!!! Ismay i Paulie nienawidzą się i robię, co mogę, żeby pa-nował tu spokój. Po Bożym Narodzeniu panna Vaughan przeniesie Ismay do pojedynczego pokoju. Najgorsze, że Paulie myśli, iż lubię Ismay bardziej niż ją. Tylko dlatego, że w listopadzie Ismay przyniosła mi zadanie domo-we!! Sama wiesz, jak trudno przekonać Paulie, jeśli sobie coś ubzdura. Pew-nie właśnie dlatego tak ją lubimy!

Poza tym dziewczyna, która zastępuje Cię w przedstawieniu, zapomina tekstu i w ogóle nie wygląda jak biurowy goniec. To było naprawdę denerwujące, patrzeć, jak na końcu wszystkie się kłaniają, a Ciebie tam nie ma. Wszystkie o Tobie myśliły i trzymamy za Ciebie kciuki.

Buziaki, Tory

PS Chciałam dopisać „kałuże purpurowej namiętności”, ale potem się zastanowiłam. Na takich listach chyba nie powinno się tak pisać.

Moja kochana Tory. Zawsze udawało jej się przewyciężyć kon-wenanse. Gdyby tylko chciała, mogłaby rządzić całym światem. Włóżyłam list to kieszonki ohydne, starego, tweedowego płaszcza i zaczęłam się zastanawiać, jak poradzę sobie z Sal podczas przyjęcia.

165

Stałyśmy z Sal przy kominku. Pierwsza żona Morleya, moja mama, zawiesiła nad nim lustro. Mnóstwo lusterek nad kominkiem i wzdłuż zachodniej ściany. Dzięki temu wszystko wydawało się większe. Zaś tego dnia wyglądało to tak, jakby wszyscy ludzie z Madoc's Landing byli u nas w dwóch salonach. Nasza sąsiadka, pani Florie Buck, mówiła innym paniom, gdzie postawić zapiekanki z tuńczyka wraz serami, piklami, jajkami na twardo i biszkoptowymi ciastkami. Na przyjęciu miał być alkohol. Martwiło mnie to. Nie wiedziałam, jak długo Sal wytrzyma na kawie, którą pani Buck przynosiła jej filiżankami. Uśmiechała się do wchodzących, spoglądając zapłakanymi oczyma na brązowe torebki, które mieli w rękach. Była to tylko kwe-stia czasu. A wtedy wujek zobaczy to, co najgorsze. Nietrudno będzie mu udowodnić, że Sal nie jest dobrą opiekunką.

Zaczęłam wnosić torebki z trunkami do spiżarni. Wiedziałam, że Sal nie będzie pić od razu, więc miałam czas, by opróżnić butelki, a potem napełnić je wodą, tak że tego nie zauważy. Szło mi szybko, bo robiłam to już wcześniej.

Beznadziejny przypadek

W jednym z lusterek zobaczyłam beznadziejny przypadek z wysuniętą do przodu głową i krzywymi ramionami. Upewniłam się, czy bluzka w kropki nie wyłazi spod okropnej, połyskliwej, czarnej atłasowej spódnicy. Miałam na sobie rzeczy Sal, bo nie wzięłam nic od-powiedniego. Sal powiedziała, że nie musimy być spowite w czerń jak za czasów królowej Wiktorii. Wystarczy mieć na sobie jedną czy dwie ciemne rzeczy. Oczywiście coś spokojnego, by każdy widział, że traktujesz te sprawy tak, jak powinnaś.

166

W lustrze zobaczyłam Paulie wchodzącą razem z Dziewicą. Miała spuszczoną głowę, jakby czuła się nieswojo. Nic dziwnego. Ludzie pomyślą pewnie, że są rodziną. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się poważnie nad tym, jak Paulie czuła się z tym, że nie miała ma-my. Ja miałam przynajmniej Sal, nawet

jeśli nie byłam dla niej najważniejsza. A Paulie miała tylko chorego dziadka i Dziewicę, w przypadku której trudno było powiedzieć, czy naprawdę ją lubi, czy pomaga jej z poczucia obowiązku. Jak mogłam złościć się na Paulie, która nie miała prawdziwej rodziny? Dałam jej znak, żeby do mnie podeszła. Zamachała i ruszyła przez tłumek zebranych wokół Sal pacjentek Morleya, które właśnie robiły z siebie idiotki.

— Doktor Bradford był dla mnie jak ojciec. Przychodził, mówił: dzień dobry, pani Tierney, zaraz pani pomogę. I był taki wielki. Wierzyłam mu. — Zaczęła płakać, a Sal razem z nią.

— To właśnie cały Morley...  
Dobry stary Morley i jego czcicielki.

W spiżarni Paulie dmuchnęła mi w twarz dymem z papierosa zza granatowej woalki.

— Kong ci to przesyła — rzekła, podając mi pakunek. — Powie-  
dział, że możesz ich tu potrzebować.

Odwinęłam brązowy papier. Były to rzeczy Nicka. Dziwnie było zobaczyć tę czapkę i okulary w spiżarni, do której Sal odstawiała do ostygnięcia dżem truskawkowy, gdy była na tyle trzeźwa, by robić przetwory. Mieszać życie w Madoc's Landing z życiem w Bath La-dies College? Te dwa miejsca nie były z tej samej planety. A ja mu-siałam żyć w obu, jak szpieg, który nie należy do żadnego z nich. To, kiedy założę strój Nicka, było bez znaczenia. Wiedziałam, że nie chcę znów nim być — ani dla Paulie, ani dla samej siebie. Skończyłam z Kongiem i jego głupimi testami.

Zabrałam się do wylewania dżinu i napełniania butelek wodą. Paulie pomagała mi trochę. Nagle przestała. Złowieszczo wypuściła dym przez nos.

— Pamiętasz brata Tory? Ten chłopak znad rzeki z jasnymi włosami — spytała cicho.

. — Rick? — również ściszyłam głos.

— Tak. Próbuje nastawić Tory przeciwko mnie.

— No to co? — Myślałam cały czas o dwóch pozostałych jeszcze butelkach.

— Tory go uwielbia — właśnie to, Bradford. — Paulie zdjęła kapelus i dopiero teraz zauważyłam, że ma opuchnięte oczy.

— Ciii, Paulie. Idzie moja macocha.

Skończyłam akurat napełniać ostatnią butelkę i szybko się odwróciłam. Sal uśmiechała się dziwnie. Musiała gołnąć sobie w łazience. Poklepała Paulie po ramieniu, jakby zdawało jej się, że trzeba ją pocieszyć. Mnie nawet nie dotknęła. Powiedziała, że trzeba zanieść alkohol do salonu. Wyglądała na zadowoloną z siebie. Widziałam, jak Paulie na nią patrzy, wyczuwając, że coś jest nie tak. Nagle otworzyły się drzwi do kuchni i weszła Dziewica. Spojrzała na dym wydobywający się zza pleców Paulie. Poruszyła niecierpliwie głową i Paulie zgasiła papierosa z nachmurzoną miną. Teraz Dziewica zwróciła swe czarne oczy o nie znoszącym sprzeciwu spojrzeniu na Sal. Patrzyła tym swoim wzrokiem inkwizytora, od którego wszystkimi drżałyśmy. Ale Sal była już wstawiona, więc wcale się nie przestraszyła. Patrząc śmiało na Dziewicę, zaoferowała jej moją pomoc, zgodnie ze swym starym zwyczajem. Bardzo tego nie lubiłam, ale nie miałam pojęcia, jak to powiedzieć.

Dziewica wyglądała, jakby o tym wiedziała. Powiedziała, że sama naleje sobie wody. Podeszła do zlewu i odkręciła kran. Oparła się o blat. Czekwała chyba, aż do głupiutkiego łepka Sal dotrze, że powinna się jej bać, ale ta tylko nalała sobie z butelki, w której była już woda, po czym wrzuciła ramionami i bez słowa wyszła. Ustawiłam butelki z wodą na tacy, a Paulie zaniósła je do salonu. Zostałam z Dziewicą sama.

— Mary Beatrice, chciałabym ci tyle powiedzieć. — Zastanawiałam się, czy zamierza wygłosić mowę w stylu wujka. — Po tym, co sama czułam po śmierci mojej matki, mogę sobie wyobrazić, co teraz przeżywasz.

Wyciągnęła dłoń, jakby chciała mnie dotknąć. Wzdrygnęłam się. W tej chwili dzieliły nas najtrudniejsze do pokonania bariery: mój wiek i moja tajemna Mysia wola. Spytałam, czy życzy sobie filiżankę herbaty.

— Świetna z ciebie gospodyni — uśmiechnęła się. — Nie, dziękuję.

Usta jej drżały, a oczy patrzyły nieruchomo gdzieś w dal. Taki wyraz twarzy widywałam często u Morleya. To było to: rodzinne podobieństwo. Melancholijna nuta u nich obojga. Nigdy nie myś-

lałam, że Morley może być naprawdę smutny. Mógł mieć jakieś tam smutki, ale nie prawdziwą rozpacz jak ja. Dziewica odwróciła się do okna, tak że nie widziałam jej twarzy. Wyglądała jak ktoś, kogo ktoś zranił.

— Znalazłaś pewne dokumenty należące do mnie i ważnej dla mnie osoby. Przyniosła mi je panna Phillips. Czy mogę prosić, byś zachowała dla siebie to, co w nich przeczytałaś?

— Tak — odpowiedziałam.

— Musisz być wielką pociechą dla swej macochy, Mary Beatrice

— rzekła jeszcze i wyszła do salonu.

169

Mąż Florie Buck, Lyall, odkrył wodę w butelkach dzinu i szeptem oskarżył Florie o rozwadnianie alkoholu. Niedługo później wszyscy wyszli, szepcząc do siebie o wodzie w drinkach. Nikomu nie przyszło do głowy, że to moje dzieło. Uśmiechnęłam się, kiedy wujek powie-dział, że chciałby uścisnąć dłoń tego mądrali, który wie, co jest dla ludzi najlepsze.

Sal zauważyła ten uśmiech i zaczęła mi się przyglądać. Znalazła jakąś zapasową butelkę dzinu „Gilbey” i zabrała ją do łóżka, zostawiając sprzątanie mnie i wujowi oraz ciotce. Ja powiedziałam, że idę odwiedzić koleżankę ze szkoły. Wyszłam do garażu, gdzie przebrałam się szybko w ubrania Nicka. Wiedziałam, że zakładam je po raz ostatni. Włożyłam długie majtki i kilka swetrów, bo trudno być Nic-kiem w Madoc's Landing, gdy w nocy temperatura spadała do dzie-sięciu stopni poniżej zera.

Pożegnanie z Nickiem

Szłam ulicami, zaglądając do domów niektórych osób, które przyszły na pogrzeb Morleya. Widziałam Lyalla Bucka siedzącego w salonie z naburmuszoną miną. Dwa domy dalej zobaczyłam panią Tierney, tę, która powiedziała Sal, że Morley był dla niej jak ojciec. Mieszkała sama. Stała w kuchni w samej tylko halce, pijąc piwo i oglądając mecz hokeja.

W bieliźnie wyglądała młodziej niż na stypie. Zastanawiałam się, czy podobała się Morleyowi. Może nawet była jego kochanką.

Poczułam się nieswojo na myśl o tym, jak Morley wchodzi do jej kuchni z czarną lekarską torbą z krowiej skóry. To bardzo dobry pre-tekst, jeśli chce się złożyć komuś potajemną wizytę. Ciekawe, czy szczypał ją w policzek, czy może klepał wierzchem dłoni tak jak

170

mnie? A może się myliłam. Biedny stary Morley był chyba zbyt zmę-czony, by bawić się w coś tak wymagającego wysiłku jak romans. Pani Tierney chciałaby, żeby to się wydarzyło. Morley był taki...

wielki.

Spacerowałam po Pelster Avenue. Nazwano ją tak na cześć nie-mieckiego barona, który zrobił fortunę na tartakach. Cały czas padał śnieg. Zapaliłam papierosa i odważnie zajrzałam do gabinetu Morleya. Wuj wyciągnął się wygodnie na sofie Morleya. Ciotka siedziała z robótką w fotelu. Oglądali mecz hokejowy. W kominku mi-gotał ogień. Wujek spojrzał raz czy dwa w moją stronę, ale chyba mnie nie zauważył. Odsunęłam się trochę, żeby lodowaty oddech nie zostawiał śladów na szybie. Wróciłam na ulicę i rzuciłam śnieżką w okno państwa Buck. Lyall wyrżał i pogroził mi pięścią. Poszłam do domu rozwódki i przewróciłam kosz na śmieci. Potem wróciłam do domu.

171

Dwa dni po Nowym Roku Billy Bugle przyniósł nam puste pudła ze sklepu spożywczego. Billy to miejscowy włóczęga, pozostał u nas po Wielkim Kryzysie. Położył kartony w gabinecie Morleya, rozglądając się smutno. Nawet on go kochał. Sal zdążyła już zdjąć kalendarz Morleya z dziwolągami o wyłupiastych oczach i czułkach zakończonych kulkami wielkości piłki do golfa. Lubiłam ich. Czułam, że są ja-koś związani ze mną, a nie z Morleyem. Dziwiło mnie, że podobał mu się ten ich głupkowaty wygląd. Zdjęła też tabliczkę z napisem: „Wreszcie, gdy trzeba dokonać zapłaty, spogląda (pacjent) z przerażeniem. Do diaska! Jestem dla niego jak diabeł rogaty z najgłębszych czeluści piekła”. Stwierdziła, że nie wie, co zrobić z prezenta-mi od pacjentów. Zamierzała urządzić w naszym domu pensjonat. Usiadła na krześle z filizanką wzmocnionej dżinem kawy i mówiła mi, jak mam pakować rzeczy.

Weszłam na taboret lekarski i zabrałam się do wyjmowania z przeszklonych szafek niechcianych książek. Do pierwszego pudła włożyłam powieść Mortona Thompsona „Żaden obcy”. Z okładki pa-trzył na mnie surowo lekarz w maseczce. Następnie książkę Thora Heyerdahla o wyprawie Kon Tiki i powieść Thomasa B. Costaina „Tontyna”.

— Chciał to wszystko przeczytać — Sal była w nastroju „B”, na wpół realnym. — Nie zdążył. Nigdy nie miał na nic czasu, prawda, Myszko?

Nie odpowiedziałam. Dalej wkładałam rzeczy Morleya do pudeł. Niemiecki podręcznik lekarski, który Morley czytywał, by rozu-mieć niemieckich imigrantów opisujących swoje dolegliwości. Starą książkę do geometrii (Morley rozwiązywał zadania dla rozrywki) i tabliczkę od ministra obrony narodowej z nominacją na kadeta

172

morskiego w stopniu porucznika. Nie miałam pojęcia, że był kade-tem morskim.

Sal podniosła głowę znad ogłoszenia do „Medical Post” o sprze-daży gabinetu Morleya, które właśnie

układała. — „Urocze miasteczko nad Great Lakę”. Dobrze brzmi, Myszko?

— Osobiście nie użyłabym słowa „urocze”.

Na chwilę przerwałam pakowanie, by spojrzeć na stary raport z sekcji zwłok nabazgrany na recepcie. Morley przeprowadzał czasami sekcje, kiedy miejscowy koroner potrzebował pomocy, na przykład gdy po wypadku łódki lub rodzinnym samobójstwie miał zbyt wiele ciał do zbadania. Ten mężczyzna został zastrzelony na polowaniu na jelenie, więc Morley napisał, że zrobił w skórze głowy nacięcie od szwu wieńcowego do wyrostka sutkowatego, by wyciągnąć kule.

— Myszko, nie uważasz. Chcę, żeby z ogłoszenia wynikało, że nowy doktor będzie zarabiał mnóstwo pieniędzy jak Morley.

— Intratna praktyka lekarska — rzuciłam.

Teraz Morley pisał, że rozciął klatkę piersiową w kształcie litery Y, a nie prosto. Taką właśnie metodę preferował, ponieważ potem łatwiej było zszyc ciało, by pokazać je krewnym.

— Urocze miasteczko nad Great Lakę. Intratna praktyka lekarska. To chyba przyciągnie klientów, Myszko, jak myślisz?

— Przyciągnie.

Gdy odkładałam raport Morleya, zdawało mi się, że zaraz zemdleję.

Tymczasem Sal zaczęła zdejmować zdjęcia. Zostawiła portret Morleya z czasów, gdy miał dwadzieścia lat. Gęste włosy układały się w mocno przetłuszczone fale. W dłoni trzymał fajkę, do której uśmiechał się czule, jakby był to ktoś znany i kochany.

Szybkim ruchem zdjęła portrety Morleya i Alicji, mojej mamy, w togach absolwentów. Na zdjęciu Morley spoglądał w lewo, jakby wiedział, że obok wisi portret mamy. Mama nie patrzyła na niego. Wpatrywała się prosto przed siebie, troszkę nadąsana, jakby miała dosyć siedzenia w gorącym świetle lamp w atelier. Miała jaśnieńskie włosy, mięciutkie jak bawełniana wata, a usta lekko otwarte, jakby chciała coś powiedzieć. Wyglądała, jak ktoś bardzo delikatny, nieśmiały, kto zrobi wszystko, byle tylko nie zranić czyichś uczuć.

Sal powiedziała, że mama nie miała wystarczającej siły charakteru, by być żoną lekarza. Nie do tego była stworzona. Była po prostu przestraszona uczennicą, która nie potrafiła zaprzyjaźnić się z mieszkańcami Madoc's Landing. Trzeba należeć do specjalnego rodzaju ludzi, takich jak Sal, by znieść samotność, jaka wiąże się z byciem żoną wspaniałego Morleya Bradforda. Nazywała moją zmarłą matkę „blond pięknością Morleya”, jakby była jego kucykiem. Wiedziałam, że nie podoba jej się, iż w korytarzu



wisi zdjęcie mamy. Ani to, że oczy Morleya są na nią skierowane. Na jej miejscu zawiesiła zdjęcie swoje i Morleya zrobione trzydzieści lat później. Patrzył prosto w aparat. Włosy i oczy miał takie, jakie zapamiętałam. Siedzieli z Sal i parą znajomych, których poznali na Bahamach. Morley ubrany w koszulkę polo z krótkimi rękawami, zbyt wysoko zapiętą pod szyją. Zwróciłam uwagę na to, że bardzo źle wyglądał. Pod miłymi, ciepło patrzącymi oczyma miał błyszczące ciemne sińce, jakby ktoś go uderzył. Zęby długie i żółte, wręcz zaniedbane. Morley po prostu umierał na naszych oczach, a Sal i ja byliśmy bezradne. Morley pracował dwanaście godzin dziennie z godzinną przerwą na pośiłki, po czym jechał wraz z Sal na południe i pozował do zdjęcia takiego jak to. Wszyscy uśmiechali się do aparatu i udawali, że nie wiedzą, iż jest z nim coraz gorzej.

Wzięłam do ręki podręcznik patologii. Bezmyślnie przewracałam kartki, aż coś przyciągnęło mój wzrok. Zatrzymałam się na zdjęciu niemowlęcia z poparzeniami wielkości dwudziestopięć-centówki na twarzy. Jego matka brała bromki. Dziecko patrzyło na mnie ze złością, jakby miało zaraz się rozplakać. To był świat Morleya — świat nerek, chorych krtani i wrzeszczących, poparzonych dzieciaków. Podziemny świat dziwnych, oszpeconych pacjentów, pokazujących swe choroby, które w podręcznikach opisywano jako ostre, podostre i chroniczne, tak by lekarze tacy jak Morley wiedzieli, które z nich traktować poważnie. Tutaj Morley czuł się u siebie. Mógł zanurzyć się w tej krainie zniekształconych ciał i poszukiwać objawów z małą, zakładaną na głowę lampką podobną do światełka górnik. Mógł położyć swe duże dłonie chirurga na rozkrzyczanym bachorze i ostrożnie opatrzeć ranki, by nie naruszyć skóry. Zdejmować delikatnie bandaż, nie jak ten twardy, nieczuły ksiądz z Hemingwayowskich opowieści Nicka Adamsa, który kroił ciężarne Indianki, nie przejmując się ich krzykiem tak

174

głośnym, że ich mężczyźni, leżący na górze piętrowego łóżka, popełniali samobójstwo.

Morley był miłszy. I bardziej beznadziejny. Za bardzo godził się z losem. Uprawiał swą sztukę, jakby sam był półżywy. Troszczył się o chorych trup, z którego życie ucieka przy każdym ruchu. Był w stanie kroczyć ciemnym korytarzem chorób i bólu i bez słowa przykładać stetoskop do chorego serca tylko dlatego, że ktoś musiał to zrobić, a on wiedział jak i sprawiało mu to satysfakcję. A ja nie mogłam pójść za nim. Nie mogłam pójść tam, gdzie on szedł na swych powolnych umierających nogach. Nie ja. Nie Myszka Bradford. Nie mogłam być taka jak on ani uratować go przed nim samym.

Robi mi się niedobrze

Morley właśnie coś piłował. Nie szło mu zbyt dobrze, bo nie robił tego przy pomocy elektrycznej piły „Stryker” czy nowej maszynki, którymi mógł przeciąć najtwardszy gips w kilka chwil. Miał w rękach staroświecką ręczną piłę. Odłożył ją i zabrał się do tego, co piłował, gołymi rękami. Była to głowa. Twarz zakrywały fałdy zdjętej skóry. Usłyszałam dźwięk zasysanego płynu. Morley odsunął się, kołyszając kawałek czaszki w swych długich palcach — były tak długie, że potrafił zawiązać kawałek sznurka na kokardkę w pudełku od zapalek. Gdy wrzucił go do stojącego u jego stóp wiadra, rozległ się ciuchy plusk.

Teraz zobaczyłam ciało na stole operacyjnym. Viola Higgs. Pochylił się i w klatce piersiowej zrobił nacięcie w kształcie litery Y, za-czynając od ramion i kończąc na pępku. Zasłoniłam twarz dłońmi, bo wiedziałam, co się teraz stanie. Wyciągnie mostek, żeby dostać się do wnętrza. Używając jej języka jak uchwytu, Morley wyjął całą zawartość w jednym kawałku.

Minęła minuta. Morley zawołał mnie swym dudniącym głosem i kazał mi patrzeć. Zrobiło mi się niedobrze. Szczeka trupa obwisła. Miałam przed sobą dziurę gardła. Nagle, tak że Morley nie zdążył mnie złapać, wpadłam do środka głową w dół, lecąc w ciemność na łeb, na szyję przez pustą tchawicę...

175

### Kapliczka Sal

Ja miałam swoją kapliczkę ku czci Morleya — ojca, a Sal swoją poświęconą Morleyowi i Sal — parze. We frontowym hallu, na miej-scu fotografii mojej mamy, powiesiła swoje zdjęcie w pielęgniarskim stroju. Jest na nim młodsza i szczuplejsza, a czepek na ciemnych włosach wygląda jak gałka waniliowych lodów. Ja dostałam ten por-tret mamy i jej jedyne zdjęcie, na którym się uśmiecha. Ma na sobie długą flanelową spódnice. Stoi na trawniku przed domem babci, trzymając mnie za rękę. Beztroska i szczęśliwa. Ja mam błyszczące, głęboko osadzone oczy jak Morley i wachlarzowate uszka. Myszka Bradford. Byłam myszką, zanim zachorowałam na polio. Jest też in-ne zdjęcie, na którym jesteśmy razem, już po mojej chorobie. Siedzę na wysokim, białym murku. Ramiona mam na wysokości uszu, a jedna noga dziwnie wystaje do przodu. Mam na sobie biały bezrę-kawnik. Dłoń mamy leży na moim ramieniu. Ona sama patrzy pro-sto w aparat ponad moją głowę. I jest smutna.

I moja

Niech Sal ma sobie swoją kapliczkę, bo ja dostałam to, czego chciałam. Wykrałam to wtedy, gdy Sal wyszła, by powstrzymać Billy'ego Bugle'a, palącego śmieci w specjalnym piecu, przed pu-szczeniem z dymem naszego garażu. Lekarski kuferek Morleya. Za-chowałam go, by Morley mógł powrócić i zażądać jego zwrotu, na wypadek, gdyby zdecydował, że zmartwychwstanie. Kuferek był wielkości damskiej torebki; miał zgrabne skórzane przegródki na buteleczki i ostre narzędzia, na przykład nożyczki chirurgiczne i nóż amputacyjny z ostrzem długości siedem i pół cala, elegancki jak nóż do sera. Nie wyrzuciłam nic z tego, co znalazłam. Chciałam mieć

176

wszystko, włącznie z groźnie wyglądającymi skalpelami i nożyczka-mi. Wcale nie zamierzałam ich używać. Myślałam tylko o tym, żeby wszystko, co należało do Morleya, schować w jego kufierku. Kleszcze żołądkowe i jelitowe, szczypce podobne do tych, którymi Sal wycią-gała z wrzątku parówki do hot dogów, i oczywiście stetoskop. Chcia-łam wziąć też elektryczną piłę do piłowania kości „Stryker”, ale jej nożny przełącznik nie mieścił się w torbie, więc zostawiłam ją na le-żance w gabinecie. Taka zagadka dla

Sal.

177

Tego ranka, gdy wyjeżdżałam do szkoły, Sal była na granicy nastroju „C”, ale przygotowała mi moje ulubione śniadanie: gotowane jajka bez białek. I nie kazała mi dokończyć mleka. Nie cierpię mleka. Jest takie białe — jak kości. Nie lubię też białka jajka — za bardzo przypomina skórę. Sal mówi, że wymyślani, by zrobić jej na złość, i że wszyscy lubią mleko i białka jajek. Tego ranka nie powiedziała nic w tym rodzaju, więc pomyślałam, że mogę bezpiecznie zadać jej kilka pytań.

PYTANIE: Dlaczego Morley nie spędzał ze mną czasu?

ODPOWIEDŹ SAL: Dlaczego miałby robić dla ciebie coś, czego nie robił dla mnie? Miałymy w rodzinie lekarza. Musiałymy godzić się z tym, że zawsze byłymy na drugim planie.

P: Czy to w porządku, że ojciec nie rozmawia z własną córką?

O. SAL: Jak możesz oczekiwać, że człowiek, który spędził cały dzień na nogach, wróci do domu i będzie z tobą gawędzić? Kiedy praktycznie w każdej chwili mógł paść ze zmęczenia? A może jeszcze miał grać z tobą w nastę, co?

P: Czy to moja wina, że Morley nie zwracał na mnie uwagi?

O. SAL: Myszko, za bardzo się zamartwiasz. Nigdy nie słyszałam, żeby mówił, że wolałby mieć syna, mimo że nie grasz w baseball i nie umiesz rzucać piłką. Bądź rozsądna. Jak z twoim ramieniem mogłabyś być dobra w sporcie?

Nie zadawałam Sal więcej pytań. Odwiozła mnie na przystanek autobusów „Greyhound” przy głównej ulicy w Madoc's Landing. Nie pocałowałam jej na pożegnanie. Zamiast tego odwróciłam się i powiedziałam:

178

— Domyślam się, że żałujesz, że nie urodziłaś Morleyowi syna. Wtedy pewnie spędzałby więcej czasu w domu.

Sal siedziała za kierownicą z otwartymi ustami. Wiedziałam, że dotknęłam dawnej rany. Wsiadłam do autobusu z walizką w dłoni, nie oglądając się.

Tego popołudnia, gdy w taksówce przejeżdżałam przez bramę szkoły, w radiu grali piosenkę Beatlesów „She loves you”.

Zdziwiło mnie, że nie było już śniegu. Liście opadły z drzew i gdy zbliżaliśmy się do szkoły, wawóz wyglądał niezbyt zachęcająco. Wi-doczny zza ogołconych gałęzi wiązów przypominał więzienie bar-dziej niż kiedykolwiek. Gdy kierowca otwierał drzwi, z wieżyczek nie sfrunął ani jeden gołąb. Zastanawiałam się, czy wykończył je wszystkie tajemniczy truciciel. Za boiskiem do hokeja leżała wielka kupa śmieci i gruzu. Robiono wykopy pod budowę nowego skrzydła. Mówiono, że zleciła ją Dziewica, by pomieścić chłopców z internatu po połączeniu Bath Ladies College z Kings College. Ciemna bryła skojarzyła mi się z grobem Morleya. Zastanawiałam się, czy ziemia rozmarzła na tyle, żeby można go było pochować. Rozejrzałam się wokół, zdziwiona, że mieszkam w tak staroświeckim miejscu. Bath Ladies College byłby świetnym tematem, gdyby pani Peddie kazała nam wykorzystać opis miejsca dla wywołania atmosfery grozy. Po-myślałam o moim wypracowaniu na temat „Wichrowych Wzgórz”. „Burzowa pogoda i silny północny wiatr pochylały rosnące za domem skarłowaciałe jodły. Ich nagie ciernie wyginały się w tę samą stro-nę.” Nieźle. Co bym napisała o naszej szkole? „Lodowate, zimowe de-szcze znad jeziora wymalowały złowieszcze kształty na ścianach z gładko ciosanych kamieni polnych, którym światło słoneczne nig-dy już nie przywróci bieli”. Brzmiało jak z Charlesa Dickensa. Wolę jednak Bronte.

Gdy tylko weszłam, uderzył mnie zapach świeżo woskowanych podłóg. Tory bardzo lubiła ten zapach, opisując go, używała takich słów jak „uderzający do głowy” i „pełny”. Mówiła też, że kojarzył jej

183

się z rozpoczynaniem na nowo. Mnie nie. Zapach środków do czy-.. szczenią wywoływał u mnie depresję.

Chociaż raz przyjechałam jako jedna z ostatnich. Panna kshutt siedziała na swoim miejscu. Wkładała i wyciągała kabelki! centrali telefonicznej i ze złością odpowiadała na pytanie nieznaney! mi uczennicy. Wspinałam się powoli kręconymi schodami, ciągnąc walizkę. Klatka schodowa wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamię-tałam. Pośrodku każdego stopnia czerwona farba była odrapana. To tysiące dziewcząt przede mną zostawiło tu po sobie ślad. Zauważy-g łam, że nogi nie męczą mi się tak łatwo jak kiedyś. Pomyślałam |

0 Tory i o tym, czy już wróciła.

W moim pokoju stało czwarte łóżko. Jakaś nowa dziewczyna z ciemnymi włosami skręconymi jak u pudła czytała, siedząc na krześle. Zauważyłam szeroko otwarte okna. Westchnęłam. To była Straszna Ismay. Zrobiła sobie trwałą.

— Zgadnij, kto wyleciał z pokoju? — spytała. Czytała „Dosię-gnąć nieba”.

— Paulie?

— Brawo, Bradford. I mamy nową współlokatorkę, Asę Abrams.

Wygląda na to, że Asa poprosiła o przeniesienie do pokoju twojego

1        Wiktorii.

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się tyłem.

—        Bardzo nam przykro z powodu twego ojca, oczywiście — do-  
dała. Ku memu zaskoczeniu usłyszałam w jej głosie prawdziwe  
współczucie.

Nagle otworzyły się drzwi, weszły Tory i Asa. Kuśtykająca Tory wcisnęła mi do ręki Biblię Gideona\*. Nie chodziła już o kulach, ale wyglądała na szczuplejszą i starszą. Była trochę roztargniona, jak-by myślała o czymś smutnym. Natychmiast przypomniałam sobie to, co Paulie powiedziała mi na pogrzebie Morleya o Ricku. Zastana-wiałam się, czy to właśnie było przyczyną tego nowego, zakłopotane-go wyrazu twarzy Tory. Chciałam ją objąć i przytulić, ale wstydziłam się. Stałam więc po prostu, uśmiechając się i odczuwając tę samą wdzięczność, którą zawsze czułam w jej obecności: po prostu pełnia szczęścia, że ktoś tak miły i łagodny jak Tory ma dla mnie czas.

\* Nazwa pochodzi od The Gideons International — instytucji zajmującej się dystry-bucją bezpłatnych egzemplarzy Biblii, głównie w hotelach i innych miejscach publicznych.

184

Otworzyłam Biblię na pierwszej stronie, gdzie Tory napisała: „Dla Mary Beatrice Bradford, która ma prawdziwe powody do smutku — modlitwa Wielebnego Petera Marshalla dla pogrążonych w żałobie". To było tak bardzo w jej stylu, podarować mi współczesną wersję No-wego Testamentu z pocieszającą modlitwą. Przeczytałam dwa pierwsze wersy: „Obiecałeś, Panie, obetrzeć łzy z naszych oczu. Bła-gam Cię, wypełnij tę obietnicę."

Usiadłam ciężko na łóżku i starałam się myśleć o czymś przy-jemnym, na przykład o Jacku O'Malleyu, żeby nie zacząć płakać. Chwilkę później nasz pokój zapełnił się dziewczynami wyciągający-mi z kieszeni szlafroków moje ulubione „Oreo" z nadzieniem mięto-wym. Ustawiły się w rzędki, jakby szły na nabożeństwo, i po kolei wykładały ciasteczka na poduszkę. Zaskoczyło mnie to i wzruszyło; nie byłam w stanie zmusić się do choćby jednego Mysiego skubnię-cia, by pokazać im, że to doceniam.

Przeprosiłam je, wzięłam piżamę i wyszłam do łazienki, by się przebrać. Usłyszałam jeszcze głos Tory:

— Biedna Myszka. Będzie teraz płakać.

W małej ciasnej łazience było wilgotno od suszących się na sznurkach czarnych pończoch i fioletowych spodenek. Było bardzo cicho. Czułam, że dziewczyny przysłuchują się z mojego pokoju. Nie chciałam się rozpłakać, żeby nie denerwować ludzi bez powodu, ale nie mogłam się powstrzymać.

Pochyliłam głowę i zaczęłam szlochać. Krótkie wybuchy płaczu przypominały czkawkę. Płacz i czekanie. Płacz i czekanie, byle tyl-ko panna Phillips mnie nie usłyszała. Czułam współczucie Tory i po-zostałych

dziewczyn zebranych w moim pokoju. Od tego jeszcze bardziej chciało mi się płakać. Nagle usłyszałam, jak Tory usprawiedliwia mnie przed wychowawczynią. Jedyna dobra rzecz w śmierci Morleya: specjalne traktowanie. Przynajmniej przez jeden dzień.

185

Ciiii, Bradford. Tutaj — usłyszałam czyjś głos. Dochodził z pokoiku, w którym kiedyś mieszkała Asa Abrams. Rozpoznałam tabliczkę na drzwiach. Był to cytat z hymnu autorstwa Frances Ridley Havergal, angikańskiej autorki hymnów. „Dlaczego Bóg obiecał nam nowe serca? Bo nasze stare serca są tak złe, że nie można ich naprawić, pomóc nam mogą tylko nowe serca.” Zajrzałam do środka.

W radiu grali „Big Girls Don't Cry” zespołu Four Seasons. Paulie podśpiewywała słowa piosenki, stojąc na łóżku i wystawiając głowę przez wysoki, wąski otwór, udający okno. Podobne były w większości pokoi w wieży. Śmierdziąco lakierem do włosów. Paulie odwróciła się powoli i wypuściła kółko z dymu papierosa. Przez chwilę nic nie mówiła. Zdawało mi się, że mnie nie poznaje. Miała małe złośliwe oczka. Zastanawiałam się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam. A może była to kwestia niesamowitego światła. Paulie wkręciła do lampki błękitną żarówkę, aż King Kong na plakacie nad łóżkiem zrobił się niebieski.

— Widziałaś ją?

— Kogo?

— Tory, ty głupku. — Paulie rzuciła we mnie papierosem

i uśmiechnęła się szeroko, tak jak kiedyś. Poczułam się lepiej. —

Słyszałam, jak mówiła, że jej przykro z powodu twojego starego.

Podobała ci się Biblia? Kupowała ją razem ze mną w zeszły week-

end...

Paulie sięgnęła za okno i wyjęła butelkę „Old Vienna”.

— Chodź do mnie. Piwko chłodzi się na twój powrót.

Powoli wdrapałam się na łóżko. Obiecałam sobie przecież, że w tym semestrze przestanę być na jej posyłki, a tymczasem właśnie

186

do tego wracałam. Oczywiście nie wynikało to wyłącznie z mojej słabej Mysisiej woli. Byłam też ciekawa.

— No chodź. Zobaczymy, czy dasz radę wypić całe na raz. —

Paulie klepnęła mnie w zdrowe ramię, tak jak Morley witał się z wujem Winnie. — No duszkiem, jak prawdziwy mężczyzna.

Podziękowałam potulnie. Wiedziałam, że piwo było oznaką współczucia. Tyle że nie miałam ochoty, by ktoś walił mnie po ramieniu i dawał mi piwo. Chciałam, żeby Paulie chociaż raz zachowywała się jak inne dziewczyny.

Z grzeczności wypitałam łyczek. Wyglądałyśmy przez okno, podając sobie na przemian butelkę. Paulie opowiedziała mi, dlaczego przeniesiono ją do innego pokoju. W czasie przerwy świątecznej wdała się w bójkę z bratem Tory i zraniła go nożem myśliwskim. Dziewica zabrała jej nóż i powiedziała, że nie ma innego wyboru (własne słowa Dziewicy) jak odizolować Paulie od Tory i pozostałych dziewczyn do czasu, gdy udowodni, że potrafi spokojnie współżyć z innymi ludźmi.

— Zraniłaś jej brata? To straszne. Tory musi być na ciebie wściekła.

— Drasnęłam go tylko w rękę. Mogłam zrobić coś gorszego —  
Paulie przyłożyła dłoń do gardła.

Zrobiła taki ruch ustami, że zapalony papieros stał prosto na dolnej wardze jak przyklejony. Nowa sztuczka. Westchnęłam.

— No dobra. Tory trochę się zdenerwowała. Ale przejdzie jej.  
Tym razem mu się udało. Nikomu nie ujdzie na sucho nazywanie mnie bandziorem.

— Co to znaczy tym razem?

Paulie znów uśmiechnęła się szeroko.

— Nic. Żartowałam. Nie jesteś na mnie zła, co, Bradford?

Nie wierzyłam własnym uszom. Paulie martwi się, czy nie jestem na nią zła? Gdy teraz o tym myślę, rozumiem ją. Paulie bała się, że mnie straci. Utraciła już swoje miejsce współlokatorki Tory i nie mogła sobie pozwolić, by i nasze stosunki się pogorszyły. Wyczuwała to, co zaczęło się wraz ze śmiercią Morleya. Mimo woli odsuwałam się od niej.

— Myszko, słyszałaś ten o kobiecie w samolocie? Mój najgorszy kawał o penisie.

— Daj mi spokój. Nadszedł czas, by odtworzyć zdarzenia nocy, kiedy popełniono zbrodnię...

— Mężczyzna siedzi obok kobiety w samolocie i pytają, co czyta. Ona mówi, że czyta książkę o penisach. I czego się pani dowiedziała? A ona na to, że piszą tam, że czarni mężczyźni mają długie i cienkie penisy, a Żydzi krótkie i grube. A jak pan się nazywa? Benjy Goldstein.

— Zgadza się. To twój najgorszy kawał o penisach.

— Jesteś mną zmęczona, prawda?

— Nie, po prostu pewna część mnie nigdy mnie nie opuści— będzie ze mną na zawsze. Przez całe życie. Niektóre rzeczy po prostu nigdy się nie kończą.

— Powiedz to głośno. Masz mnie dosyć.

— Ciebie, Alicjo? Nigdy.

— Masz, masz. Widzę przecież.

— No dobrze. Ty to powiedziałaś. Alicjo, komu przyszłoby do głowy, że męski organ można tak po prostu odciąć i użyć go ponownie?

— Wiem, co masz na myśli. Jakby penis był gumowym nosem Groucho Marxa, który dziewczyny mogą zakładać, kiedy tylko mają ochotę.

— Dokładnie. Tylko że to nie było takie proste. Nie, jeśli się wie, co naprawdę się wydarzyło...

W styczniu Dziewica ogłosiła połączenie z Kings College. Wszystkie nas to przybiło. W lutym rozpoczęła się podziemna rewolta. Na ścianach długich korytarzy pojawiały się kartki z żądaniami bezwyznaniowych porannych modlitw i potępiające system przymusowych zajęć. Dopatrywałam się buntowniczek pośród mijanych każdego ran-



ka w korytarzu starszych dziewczyn. Tych, które pisały: „Żądamy klubów prowadzonych przez uczennice bez kontroli nauczycieli! Trzeba zmienić ducha szkoły! Chcemy politycznej analizy i działania — precz z burżujskim podejściem!” Nie mogłam uwierzyć, że takie słowa czaiły się za tymi wesołymi buziami. Nie sądziłam, że te dziewczyny miały je w sobie.

Aby rozluźnić atmosferę, Dziewica ogłosiła, że doroczne tańce odbędą się wcześniej niż zwykle, zaraz po egzaminach. Nie minęło wiele czasu, a nikt już nie myślał o manifestach. Dziewica była bardzo sprytna. Zawsze wyprzedzała swoje „podopieczne” o krok. Tak nas właśnie nazywała, ku mej rozpacz. To słowo zawsze kojarzyło się z sierotami.

Leżałam na łóżku w podomce, słuchając, jak uczennice, które z nami nie mieszkały, plotkują na korytarzu z dziewczynami z inter-natu. Miały prawo przychodzić do internatu przed tańcami, ale żadna z nich nie zajrzała do naszego pokoju. Nie lubiły Ismay, a Tory pojechała do domu pomagać mamie w przygotowaniach do uroczystego śniadania. Asa była w łazience w trakcie mycia głowy po okropnej fryzurze, jaką zrobili jej w salonie „Crescendo's”. Ismay stała w samym gorsecie i rozjaśniała sobie włosy na rękach przy pomocy wody utlenionej. Z powodów estetycznych oczywiście. Żadna z dziewczyn nie chciała mieć ciemnych włosów na rękach albo na nogach. Nasze uroczyste stroje, zawieszane na karniszu i wirujące na wietrze w plastikowych opakowaniach z pralni, przypominały ludzkie postaci.

Czekałam na swoją kolej w łazience, przeglądając podręcznik anatomii Morleya. W chwilach zdenerwowania często brałam do ręki książki ojca, bo mi o nim przypominały.

— Słuchasz mnie, Mary Beatrice? — Ismay skończyła rozjaśnianie włosów na rękach i teraz nakładała wodę utlenioną na słaby wąsik nad górną wargą.

— Wiesz, że Paulie kradła różne rzeczy. A teraz ta cholerna dziewczucha chce zająć moje miejsce.

— Przesadzasz — odparłam. Przeleciałam już przez jakieś tysiąc stron (kto by pomyślał, że ciało może zajmować tyle miejsca!) i miałam przed sobą rysunek przedstawiający kobiece narządy płciowe. Zrobiła mi się gęsia skórka: główka z dzikimi, kręconymi włosami jak płomienie. Twarz bez rysów, tylko z dwoma małymi,

otwartymi, zawodzącymi z rozpaczki usteczkami. Jakby tego było mało, po obu stronach znajdowały się

cylindryczne klapki podobne do strączków groszku. Za nic w świecie nie mogłam zrozumieć, jak coś tak dziwnego może podobać się chłopcom. Nie znaczy to, iż uważam, że penis miałby szansę na nagrodę w konkursie piękności. Pomyślałam o Jacku. Z niezdrowym podnieceniem przekładałam kartki, szukając rozdziału o męskich narządach płciowych.

— Ktoś zabrał mi wszystkie partytury. A wczoraj znalazłam nad łóżkiem okropny rysunek.

— Rysunek?

— Zrobiony szczyrzykiem albo czymś podobnym.

Teraz Ismay pocierała wacikiem czarną szczecinkę pod wygoloną pachą. Jej zdaniem to wygląda okropnie.

— Uważam, że Paulie jest niebezpieczna. Wiesz, że nie ma normalnej rodziny. Jej matka nie żyje.

— Ja też nie mam normalnej rodziny — odpowiedziałam, cały czas szukając rozdziału o penisie.

Ktoś go wyrwał. Zdziwiona zamknęłam książkę. Najpierw pomyślałam, żeby zapytać o to Paulie, ale potem się zastanowiłam. Być może Morley wyrwał te strony z jakiegoś powodu. Może, uśmiechnęłam się sama do siebie, niepokoił się, że będę kiedyś czytać tę książkę i nie chciał, żebym to zobaczyła.

— Myszko! Posłuchaj! Musisz mi pomóc.

Odłożyłam podręcznik. Ismay skończyła rozjaśnianie i nad górą wargą zaczęły wyskakiwać czerwone plamy.

— Mam chyba uczulenie na wodę utlenioną! — Ismay zaczęła płakać i z krzykiem pobiegła szukać panny Phillips.

Podeszłam szybko do łóżka Ismay. Na ścianie nad głową ktoś wyciął dziwny rysunek chłopaka i dziewczyny. Postać dziewczyny składała się z trzech kótek: głowy i groteskowo wielkich piersi. Chłopiec miał równie karykaturalne genitalia. Pod spodem był napis: I.T. robi loda.

— Co się znowu stało tej frajerce?

Nie zauważyłam, kiedy Paulie weszła do pokoju. Zamknęła okno, które wcześniej szeroko otworzyła Ismay, i położyła się na łóżku Ismay, splatając ręce pod głową. Warkocz leżał na piersi. Wyglądała prawie ładnie. Szkoda tylko, że miała na sobie chłopięce bo-

kserki i koszulkę z krótkimi rękawkami, która odkrywała mięśnie ramion i duże ręce.

— Rozjaśniała sobie włosy na rękach. Chyba jest uczulona.

Paulie zaczęła się śmiać.

— Mówiła o mnie coś złego?

— Taaa. Że ukradłaś jej partytury.

— Gdyby to była prawda, byłabyś na mnie zła?

— Chyba tak.

Paulie uśmiechnęła się.

— Nie ukradłam. Wymyśla, żeby zrobić mi na złość.

191

W lusterku wstecznym szkolnego autobusu, który Sierżant wypożyczył nam na wieczór, widziałam czubek swojej głowy. Prowadziła Paulie, to znaczy Lewis. Powoli podniosłam wzrok, żeby zobaczyć, jak wyglądam. Pod niedzielnym granatowym płaszczem miałam krótką taftową sukienkę bez ramiączek, która lepiej wyglądała na sklepowym wieszaku niż na mnie.

Poszłam na zakupy z pielęgniarką, która miała mi pomóc coś wybrać, i to ona namówiła mnie na tę sukienkę ze względu na taftowy żakiecik-pudełeczko, pod którym mogłam ukryć Alicję. Na zaczesanych do tyłu i upiętych w wysoki kok włosach miałam brokat. Dzięki fryzurze a la Pompadour wyglądałam na starszą i niesamowicie szykowną. Ciekawe, co Jack O'Malley myśli o dziewczynach, które noszą upięte włosy?

Autobus zapisał na parkingu przed głównym podjazdem Kings College. Jack stał na schodach, w dłoni trzymał pudełeczko z orchideą. Miał na sobie starą budrysówkę, w której wyglądał na jeszcze wyższego. Gdy nas zobaczył, pomachał i ruszył w naszym kierunku, poruszając sztywno ramionami, jakby połąkł kij.

Lewis otworzył drzwi. Jack schylił się i wszedł do środka. Na Lewisa, który miał na sobie stary cylinder i znoszony garnitur Willy'ego, prawie nie spojrzał. Aż podskoczyłam, gdy koło mnie usiadł. Uśmiechnął się niepewnie i położył ramię na moim oparciu. O mało nie dotknął Alicji.

— Ładnie wyglądasz — powiedział.

Odsunęłam się troszkę, żeby przez przypadek jej nie dotknął. Wiedziałam, że zauważył Alicję na obiedzie na cześć księcia, ale chyba nie miał nic przeciwko. W końcu, jeśli nie przeszkadzała Tory ani Paulie,

dlaczego miałyby przeszkadzać jemu? Ponieważ jednak nie

192

chciałam wszystkiego zepsuć, po prostu siedziałam, nic nie mówiąc, zadowolona, że idziemy razem na tańce. Bałam się cokolwiek powiedzieć, by nie zrazić go do siebie. Ku memu zaskoczeniu, pięknie pachniał. „English Leather”, zdaje się. Morley używał tego na specjalne okazje. Potem podał mi pudełko. Wiedziałam, że powinnam je otworzyć, ale nie starczyło mi śmiałości. Pozwoliłam, by Lewis mówił za mnie, gdy wjeżdżaliśmy na drogę prowadzącą do domu Tory.

— Coś nie tak? — spytał Jack, bo kiedy przejeżdżaliśmy obok żywoptotu okalającego posiadłość kanonika Quinna, Lewis nagle przyspieszył.

— Bradford, to znaczy, Mary, nie mówi zbyt dużo — rzucił Lewis ponad ramieniem. — Wiesz, jakie są niektóre dziewczyny.

— Domyślam się, że wy, chłopaki ze średniej szkoły, znacie się na tym — stwierdził Jack poważnym głosem.

Spojrzałam na niego, żeby sprawdzić, czy żartuje. Patrzył na swoje buty. Miał bordowe dziurkowane półbuty, takie, jakie nosił mój ojciec. Oto ktoś tak samo zacofany jak ty, Myszko, pomyślałam. Ktoś, kto nie jest snobem.

Lewis nie dosłyszał uwagi Jacka, ale wątpię, czy zrobiłaby na nim takie wrażenie, jak na mnie. Był zbyt zajęty prowadzeniem rozklekotanego starego autobusu. Podskakiwaliśmy na koleinach. Siedziałam wyprostowana, patrząc przed siebie, ze skrzyżowanymi stopami i z dłońmi na kolanach. Doskonała postawa. Dziewica byłaby ze mnie zadowolona.

Autobus szarpnął jeszcze raz i zatrzymaliśmy się przed domem Tory. Lewis wyskoczył i zostaliśmy z Jackiem sami. Uśmiechnął się jeszcze raz, a jego długie ramię opadło na oparcie mojego siedzenia. Zawstydzona odsunęłam się trochę. Wiedziałam, że powinnam się uśmiechnąć, jakbym była przyzwyczajona do względów okazywanych przez chłopców, jakby były one hołdem, który przyjmowałam za pewnik. Jego ręka przesunęła się w kierunku zdrowego ramienia. Leżała tam przez chwilę. Była ciepła. Jack opowiadał nerwowo o sytuacji na drogach tego wieczoru. Miała być burza i miało zrobić się zimniej.

Śnieg zaczął padać. Zegar na wieży Kings College wskazywał za piętnaście ósmą. Nie przyszło mi do głowy nic inteligentnego na temat śniegu, więc nic nie odpowiedziałam. Jack westchnął ciężko

193

i siedzieliśmy tak bez słowa, patrząc na dom Tory. Dwie lampy jasno oświetlały portyk w greckim stylu. Widzieliśmy frontowe schody, a na nich kanonika Quinna, panią Quinn z Tory i Rickiem, rozmawiających z Lewisem. W pierwszej chwili nie poznałam Tory w długim do ziemi futrze z nerek jej matki. Gdy tak się przyglądałam, Tory odwróciła się i przytuliła do ramienia matki, a kanonik Quinn położył rękę o okropnych, podobnych do robaków, palcach na jej głowie i pogłaskał ją. Pani Quinn otoczyła Tory ramieniem i poszły za kanonikiem do domu. Przez padający śnieg widziałam, jak Rick pochylił lekko Lewisa, jakby wyrzucał go z ich terenu, i Lewisa, jak mu oddał.

Chwilę później Lewis wskoczył do autobusu i trzasnął drzwiami. Był taki wściekły, że ich nie zamknął. Przeklął i trzasnął jeszcze raz. Gdy próbował ruszyć, zablokował mu się kluczyk.

— Czy twoja dziewczyna nie jedzie? — spytał Jack.

— A na co, do cholery, wygląda, panie Kings College? Widzisz ją tu ze mną?

Jack spojrzał na mnie zza nowych okularów. Kupił je chyba specjalnie na to wyjście. Miały czarne oprawki, jak okulary Buddy Holly'ego. Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co się stało, i wolałam się nie domyślać.

194

W drodze na tańce żadne z nas nic nie mówiło. Lewis gapił się w przednią szybę jak zombie. Kilka razy wpadliśmy w poślizg i wtedy kląłem, że droga jest śliska. Padało coraz bardziej. Kiedy przy „Starym Młynie” Lewis ostro dodał gazu, Jack stwierdził cicho, że wolałby wyjść i pójść dalej piechotą. Patrzył na mnie, jakby czekał, aż coś zrobię.

Gdy zatrzymaliśmy się przed Bath Ladies College, szepnęłam, że chciałabym porozmawiać z Lewisem na osobności. Jack kiwnął głową, ale przed drzwiami szkoły obrócił się i spojrzał podejrzliwie. Bałam się, że pomyślał sobie, że żałuje, że ze mną przyjechał. Może chciał mnie porzucić, a może zdawało mu się, że chcę pójść z Lewisem, a nie ze nim. Lewis siedział teraz koło mnie, paląc papierosa i machając ręką w stronę Jacka.

— Idź, idź, ty dupku. Zejdź mi z oczu, pieprzony panie Kings

College. Tobie, do cholery, nikt nie każe pokazywać interesu. Przeważnie, Myszko? To jego sprawa.

— O czym ty mówisz? — Patrzyłam na znikającego w drzwiach szkoły Jacka.

Lewis splunął i wyrzucił papierosa przez okno.

— No. Kazali mi. Brat Tory, ta ciota. Jakie on ma prawo, żeby mi kazać pokazywać małego. Założę się, że sam ma wielkości ołówka.

— Chce, żebyś mu pokazał penisa?

— Do cholery, Bradford! Chce zobaczyć mojego pe-ni-sa!

— I co teraz zrobisz?

— A co, do cholery, myślisz, że teraz zrobię? Może zapytamy twojego kulawego chłopaka. Jest chyba prawdziwym mężczyzną, co?

— O Boże, strasznie mi przykro. — Było mi przykro i trochę wstyd, że tak bardzo przejmowałam się Jackiem.

1QE

— Akurat.

Lewis, to znaczy Paulie, uderzyła głową w kierownicę. Plecy jej zadrżały i zaczęła płakać jak mała dziewczynka, nie jak Paulie, którą znałam. Jej gra się skończyła i Paulie o tym wiedziała, choć nigdy nie powiedziała tego głośno. Położyłam jej dłoń na ramieniu. Zawsze bałam się jej dotykać, obawiając się, że źle to zrozumie, pomyśli, że uważam ją za miłą. Tym razem nie mogłam się powstrzymać. Chciałam ją pocieszyć, bo jeszcze nigdy nie widziałam jej tak smutnej i zagubionej.

To było takie niesprawiedliwe, że Paulie potrzebowała penisa, by być mężczyzną. John Wayne byłby Johnem Wayneem również wtedy, gdyby miał pochwę, prawda? Nie powiedziałam tego Paulie, ale nie-nawidziałam kanonika Quinna i Ricka, brata Tory, za to, że nie pozwolili jej się z nią spotkać. To nie było tak, że Paulie robiła coś złego. Gdyby świat nie zapewniał chłopcom tylu przywilejów, Paulie nie chciałaby być jednym z nich. W każdym razie ja to tak widziałam. Paulie miała na ten temat inne zdanie, bo jeśli o nią chodzi, była po prostu chłopcem, koniec, kropka.

Ktoś zapukał w okno. Dziewica stała na krawężniku i dawała nam znak, żeby przestawić autobus i zrobić miejsce dla innych samochodów. Była ubrana w workowatą fioletową suknię, która nie była nawet całkiem długa, i płaszcz z piżmaków. Na policzkach robiła sobie różem dwie idiotyczne plamy. Wyglądała jak kłown. Czy nie mogła nauczyć się przyzwoicie malować?

— Dziewica — szepnęłam.

Paulie usiadła prosto, z głową odwróconą tak, by Dziewica nie widziała, że płakała. Dziewica spojrzała na nas gniewnie przez szybę. Paulie ruszyła i pojechałyśmy do przodu. Wersję Quinnów odnośnie zdarzeń

tego wieczoru usłyszałam dopiero w czasie procesu. Wcześniej wiedziałam tylko to, co powiedziała mi Paulie.

196

WYSOKI SĄD: Spisał pan oświadczenia Richarda Quinna i Wiktorii Quinn na temat znajomości z Pauline Sykes w owym czasie. Czy tak?

INSPEKTOR GEORGE: Tak, wysoki sędzie. Rozmawiałem także z ich ojcem, kanonikiem Bruno Quinnem.

WYSOKI SĄD: Czy może pan przeczytać oświadczenie kanonika Bru-nona Quinna?

INSPEKTOR GEORGE: Oczywiście. Oto oświadczenie kanonika Bru-nona Quinna:

„Mam pięćdziesiąt trzy lata. Jestem żonaty, mam dwoje dzieci: dzie-więtnastoletniego syna i córkę, która ukończy osiemnaście lat w tym mie-siącu. Pracuję w Kings College, szkole dla chłopców, którą niedawno połą-czono z Bath Ladies College...”

WYSOKI SĄD: Może nam pan darować szczegóły dotyczące historii szkoły.

INSPEKTOR GEORGE: Tak, wysoki sędzie.

„Okolo ośmiu miesięcy temu dowiedziałem się, że moja córka Wiktorja spotyka się z chłopcem o imieniu Lewis. Po raz pierwszy spotkałem Lewi-sa na jesieni 1963 roku. Przyjechał na popołudniową herbatę odwiedzić mo-ją córkę. Potem spotkałem go w Bath Ladies College, gdzie pracował jako ogrodnik.

Jak już mówiłem innym policjantom, nie byłem zachwycony tym zwią-zkiem. Wydawało mi się, że moja córka miałaby więcej wspólnego z kimś z Kings College, ale Wiktorja jest bardzo uparta. Mówiła, że ci chłopcy nie mają takiego doświadczenia życiowego jak Lewis. Myślałem wtedy, że rozu-miem, co ma na myśli, i uważałem, że sama powinna sobie z tym poradzić.

Rozmawiałem czasami z Lewisem, kiedy zajmował się pracą na terenie szkoły. Wydawało mi się, że jest oddany mojej córce i że zależy mu na mo-jej akceptacji dla ich znajomości.

197

Nigdy nie miałem powodów, by wątpić, że Lewis nie jest chłopcem. Pod każdym względem zachowywał się jak młody mężczyzna. Muszę powie-dzieć, że przez ostatnie dwadzieścia lat zajmowałem się uczeniem chłopców i mimo to dałem się kompletnie zwieść. Sądzę, że moja córka również, ale ona nie chce ze mną o tym rozmawiać. Nadal zachowuje się bardzo lojalnie wobec Lewisa i odwiedziła go kilka razy w więzieniu.

W każdym razie, w dniu szkolnego balu mojej córki policjant z wydzia-łu Richmond Hill przyszedł do

mego biura i poinformował, że wezwał ostatnio Lewisa Sykesa na przesłuchanie. W czasie przerwy świątecznej Lewis i mój syn wdali się w bójkę. Richard nie powiedział mi o tym, bo wie, że nie pochwalam takiego zachowania. Oczywiście wiedziałem już wcześniej, że nie podoba mu się to, że Wiktoria spotyka się z Lewisem. Traktowałem to zawsze jako typową braterską opiekuńczość.

Policjant powiedział, że zastanawiał się już od kilku tygodni, czy do mnie przyjść. Miał mi do powiedzenia coś, co mogło mną wstrząsnąć. Powiedział, iż na posterunku przeszukał chłopaka i odkrył, że Lewis nie jest chłopcem, a raczej dziewczyną. Nie wierzyłem własnym uszom. Lewis — dziewczyną? To było... to było nie do pomyślenia. Zapytałem o to córkę, która upierała się, że Lewis jest chłopcem. Sprawa ta spowodowała poważne napięcia w naszej rodzinie. Dobro Wiktorii jest bardzo ważne dla mojej żony i mnie. Zdecydowaliśmy uniemożliwić Wiktorii spotkania z Lewisem, dopóki sprawa się nie wyjaśni."

WYSOKI SĄD: Rozumiem, że tu właśnie zaczęły się wszystkie kłopoty.

INSPEKTOR GEORGE: Obawiam się, że tak, wysoki sędzie.

198

Gdy po rozmowie z Paulie poszłam do szkoły, Jack czekał na mnie w kamiennym foyer. Nie chciałam mu tłumaczyć, co się stało, bo był chłopakiem, a chłopak, nawet jeśli jest tak miły, że nie zwraca uwagi na Alicję, po prostu nie potrafiłby tego zrozumieć. Wymyśliłam więc jakieś idiotyczne wytłumaczenie, że Lewis pokłócił się ze swoją dziewczyną. Nie umiem kłamać i Jack chyba mi nie uwierzył. Opowiadał kawały jeden za drugim, mówił, że „Godzilla” to straszna kłapa. Co jakiś czas znikał w toalecie. Gdy wracał, czuć było od niego dżinem i papierosami. Rozpoznałam alkohol ze względu na doświadczenie z Sal. Nie pachniał już ładnie, a jego nieświeży oddech kazał mi się zastanawiać, czy i mój jest taki.

— Lubisz mnie? — szepnął, gdy usiedliśmy na jednej ze starych

ław Sir Jonathona.

Pochylił swą dużą głowę i powiedział to do orchidei na moim dekolcie, tak że dopiero po chwili zorientowałam się, iż mówi do mnie. Zerknęłam na kwiat, jakbym spodziewała się, że poda mi odpowiedź. Oparłam się i rozkrzyżowałam nogi.

— Trochę — odparłam cichutko.

— No, to już coś — westchnął i pocałował mnie w ucho.

Zakryłam je szybko dłonią. Spodobało mi się, ale bałam się, że

Dziewica mogła to zauważyć. Zbliżała się właśnie do nas w towarzystwie pani Peddie w obcisłej koronkowej bluzce i czarnej taftowej spódnicy, których nikt normalny by nie założył. Można było umrzeć ze wstydu od samego patrzenia na te dwie kobiety ubrane w coś, co uważały za odpowiednie stroje wieczorowe. Co gorsza, Dziewica położyła dłoń na ramieniu pani Peddie. Bałam się, że zrobią coś



szalo-nego, na przykład wezmą się za ręce. Byłam pewna, iż Jack również uważał ich ubiory za beznadziejne i w związku z tym pogardzał ni-

-ma

-^----- X t/1/ -----

mi, a przez to i mną. Wiedziałam, co myśli o mnie i wszystkich dziewczynach i kobietach z mojej szkoły. Byłyśmy wszystkie Dama-mi z Bath: począwszy od nauczycielek, które terroryzowały nas dzwonkami i karami, poprzez przekarmione mieszkanki internatu i snobki spoza, skończywszy na Paulie i mnie, które próbowałyśmy postępować według własnych zasad. Niezależnie od tego, jak zacie-kle walczyłyśmy, w oczach kogoś takiego jak Jack nadal wyglądały-śmy głupio, ponieważ Bath Ladies College był tylko lennem w króle-stwie mężczyzn.

Czułam się strasznie zawiedziona. Jedyne, co mogłam zrobić, to przedstawić Dziewicę Jackowi. Przyglądała mu się podejrzliwie. Przypomniałam sobie, że nie lubi chłopców. Jack podniósł się, ale za-raz usiadł, by nie poczuła jego oddechu. Tyczkowate nogi miał sze-roko rozstawione. Przez chwilę wydawało mi się, że Dziewica każe mu złączyć nogi i położyć ręce na kolanach. Ale chłopakom nikt nie mówi takich rzeczy.

— Widziałaś gdzieś Sierżanta? — zapytała mnie Dziewica. —

Obiecał, że zademonstruje nam jazdę na trójkołowym rowerze.

— Jeśli tylko zdąży z niespodzianką na czas — dodała pani Ped-die, uśmiechając się w jej tylko właściwy sposób.

— Może to dobrze, że Sierżanta tu nie ma — Dziewica pokaza-ła na foyer pełne dziewczyn i przyszczatych chłopaków ustawiających się do zdjęcia pod drzwiami biblioteki. Większość chłopców miała na sobie blezery Kings College. — Pomyślałby, że to inwazja Kings Col-lege, prawda, Mary? — mrugnęła do mnie, a ja poczułam, jak się czerwienię.

Na szczęście Ismay i jakiś chłopak z Kings College wyratowali nas z towarzystwa Dziewicy. Uciekliśmy razem na zewnątrz. Gałę-zie wiązów pokrywała warstwa śniegu. Ismay i jej chłopak schowa-li się w autobusie Sierżanta, by się tam całować. Ja przytrzymywa-łam Jacka za poły marynarki, kiedy zwymiotował w śnieg. A potem całkiem zapomniałam o Paulie, bo napiłam się trochę dżinu i zaczę-liśmy się wygłupiać. Staliśmy bardzo blisko siebie. Nie wiem, co o tym wszystkim myślał Jack, ale dla mnie było

to dosyć męczące. Przede wszystkim musiałam pilnować, żeby stać bliżej niego zdrowym ramieniem, tak by nie poczuł Alicji. Do tego Jack przyciskał się do mnie krocem, a był tak wysoki, że miednicą dotykał mnie w pa-sie. Przyszło mi do głowy, że chyba będę musiała przejść jakąś ope-

200

rację, żeby pogrzebacz wielki jak ten zmieścił mi się w środku. Czy to oznacza, że jesteśmy zaręczeni? — pomyślałam, gdy spojrzałam w jego bladą twarz misia pandy. Zdjął okulary, żeby mnie pocałować. Zauważyłam, że pod nimi ma drugą, ładniejszą twarz, którą tylko niektórzy mogą zobaczyć. Na szczęście Jack chyba też mnie lubił, bo okazywał większą wdzięczność niż Sal, gdy robiłam to, co chciała. Ulżyło mi. Oto ktoś, kto docenia twoją skłonność do niesienia pomocy, Myszko.

Gdy na nie dmuchniesz, umierają

Wciąż mam zdjęcie z balu. Patrzymy w aparat jak wyczerpani żołnierze pod wielkim godłem szkoły wyciętym z brystolu. Wymalowane przez szablon litery napisu „Bath Ladies College” i zielone li-stki laurowe przypominały ślady łapek królika. Asa w czarnej, dopasowanej sukni w stylu empire z różową satynową szarfą jest zupełnie nie do rozpoznania. Zmysłowa Ismay uśmiecha się do swego chłopaka. Wszyscy mają twarze zaczerwienione od tańca. Pasemka ze sztywnego koka Ismay i mojej fryzury a la Pompadour oblepiają nam twarze. Jack i ja stoimy jak Mutt i Jeff\*, uśmiechając się do ja-kiegoś punktu gdzieś ponad głową fotografa. W oczach mamy takie same gwiazdki — odbicie lampy błyskowej — a Jack obejmuje mnie swą dużą ręką w talii. Moja orchidea zwiędła. Przypięta do ramie-nia, wygląda jak kawałek gumy z fioletową wstążeczką. Nie wiem, dlaczego mężczyźni dają kobietom orchidee, które umierają, gdy na nie dmuchniesz.

\* Mutt i Jeff — komiks Buda Fishera o dryblasowatym pechowcu Mutcie i ma-łym, noszącym cylinder Jeffie. Ukazywał się w latach 1907-1957.

201

Poszłam do łazienki w wieży i tam ją spotkałam. Była w piżamie. Zrywała ze sznurków ubrania innych dziewczyn. Na podłodze le-żały już w nieładzie białe podkoszulki, fioletowe spodenki, czarne pończochy, marynarskie bluzy i białe bawełniane majtki. Zgodnie z regulaminem szkoły na wszystkich były naszywki z nazwiskami. Lustro było rozbite. W najbliższej kabinie zauważyłam pływające w klozecie podpaski.

Paulie odwróciła się, jakby chciała mnie uderzyć, ale gdy zorientowała się, że to ja, opuściła pięści. Obcięła sobie warkocz. Na lewym policzku miała trzy okropne zygzakowate zacięcia. Poprzyklejała na nie kawałki papieru toaletowego, które zdążyły już nasiąknąć krwią. Drugi policzek był cały w pianie, jakby jeszcze nie zdążyła się do niego zabrać. Przypomniało mi się, jak w moim pierwszym dniu w szkole zaskoczyłam Lewisa w łazience. Zdałam sobie sprawę, że Paulie goliła się w nadziei, że wyrośnie jej broda.

— Patrzcie, kogo tu mamy. Twój ohydny chłopak zostawił cię i poszedł do domu?

— Paulie, wszystko w porządku? — spytałam. Oddychałam z trudem. Przed chwilą zauważyłam w umywalce zakrwawioną brzytwę.

— Do cholery, Bradford, a wygląda, że wszystko w porządku?

— Zacięłaś się.

— Skądże. Brzytwa podeszła i sama mnie ciachnęła. To samo z praniem na podłodze. Pieprzone ubranka same pospadały ze sznurków — Paulie uśmiechnęła się szyderczo. — Jeśli twoim zdaniem to jest bałagan, to poczekaj, zobaczysz, jak jutro będzie wyglądać pokój nauczycielski.

202

— Paulie, jesteś zdenerwowana. Chodźmy na papierosa — zaproponowałam.

— Paulie, jesteś zdenerwowana — powtórzyła po mnie. — Chodźmy na papierosa.

— To okropne, ale może, może powinnaś zrezygnować z Tory.

— Tak po prostu zrezygnować? To jest twoja odpowiedź, Bradford? A co ze mną? Czy kogokolwiek obchodzi, jak ja się czuję? Albo chcą mnie przesłuchiwać, albo zamknąć w tej cholernej szkole. Już za późno. Jeśli teraz się poddam, stracę wszystko.

Zupełnie zapomnieliśmy o pannie Phillips czy innych wychowawczyniach zajętych sprzątniem na dole czy żegnających się z dziewczętami, wybierającymi się na uroczyste śniadania w domach uczennic spoza internatu. Gdy więc usłyszałyśmy jakiś dźwięk, aż podskoczyłyśmy. Ktoś zbliżał się do nas, klnąc i sapiąc jak jakiś sportowiec, który stracił kondycję. Odwróciłyśmy się. Przez chwilę zdawało mi się, że śnię.

Korytarzem nadjeżdżała Viola Higgs. Ramiona pochyliła w pozycji rajdowca. Długie żółtawobiałe włosy powiewały wokół głowy jak u młodej dziewczyny. Na widok jej upudrowanej twarzy, na której malowały się wysiłek i determinacja, zlodowaciały mi dłonie i stopy. Schowałyśmy się za drzwiami i przyglądałyśmy się, co będzie dalej.

Wydawało się, że duch ma kłopoty z opanowaniem swego starego roweru. Znów zakłęta, zatrzymując się i przenosząc nieporęczną maszynę za zakręt korytarza wieży. Ponownie wsiadła na rower w południowym hallu. Zaczęła nabierać prędkości, jakby przyzwyczajała się do pojazdu. Światelko migotało na ścianie, dokładnie tak jak wtedy, gdy śniła mi się po raz pierwszy. Przestała pedałowac. Po-dniosła się i pędziła prosto przed siebie — latająca wiedźma. Cięż na ścianie przypominał cięż nietoperza. Z przerażenia zaparło nam dech jak dzieciom, którymi nie chciałyśmy być. W końcu pisk kół ucichł. Zniknęła.

— Nie stój tak jak idiotka. Gońmy ją. — Paulie gwizdnęła i po-kazała na korytarz. — Ja idę tędy, ty tamtędy.

Zrobiłam to, co kazała. Szłam powoli, powłócząc nogami, bo nie chciałam zostać sama, ale też bałam się jej przeciwstawić. Zaraz po tym, jak Paulie zniknęła za rogiem, usłyszałam jakiś straszny trzask. Na palcach zesłam schodkami na piąte piętro. Podo mną znajdowała się podstawówka. Na zewnątrz szalała zamieć, nie było

203

widać Kings College ani dachów domów znajdujących się w pobliżu, szkoły. Ponownie wsłuchałam się w ten dziwny odgłos i zaśmiałam się. To flaga na dachu łopotała na wietrze. Zawróciłam, by odnaleźć Paulie. Nie było jej. Zajrzałam do jej pokoju. Był pusty. Krzyknęłam jej imię, ale nie odpowiedziała. Po raz pierwszy miałam w tej Bab-skiej Ciupie trochę samotności. Na komodzie zauważyłam pęk kluczy Paulie. Był wśród nich wytrych, którym można było otworzyć wszystkie pokoje internatu, a także klucz do jej kufra. Nie zastanawiając się, otworzyłam kufer Paulie. W środku znalazłam partytury Ismay i wyrwane kartki z podręcznika anatomii Morleya. Roz-dział o penisie.

Na dole strony, przy ustępie zatytułowanym Anatomia chirurgiczna Paulie napisała wielkimi drukowanymi literami: BARDZO WAŻNE. Ustęp zaczynał się tak: „W przypadku chorób złośliwych może zaistnieć konieczność usunięcia penisa. (...) Czasami niezbędne jest usunięcie narządu w całości od miejsca połączenia z gałęziami kości łonowych i kulszowych. Operacji tej dokonuje się poprzez wycięcie całej przedniej części penisa jednym ruchem noża”. To zdanie było podkreślone długą falistą linią.

Przyglądałam się temu z niepokojem. Zastanawiałam się, czy zabrała też inne rzeczy Morleya, których braku nie zauważyłam. W tym właśnie momencie powinnam była domyślić się wszystkiego, ale tak się nie stało. Zmęczona i lekko wstawiona dżinem Jacka poszłam do swojego pokoju i położyłam się do łóżka.

Gdy się obudziłam, w wieży słychać było tylko chrapanie Ismay i wiatr hulający w trzeszczących gałązkach wiązów. Zamieć uspokoiła się. Zrobiło się bardzo zimno, zimniej niż zwykle. Wyszłam po ci-chutku z sypialni, przemykając się obok pokoików, w których spały dziewczyny. W sypialniach leżały krynoliny i długie białe rękawiczki, a tu i ówdzie zniszczone, kolorowe pantofelki na wysokich obcasach, z zaciekami od chodzenia po śniegu. Łóżko Paulie było puste. Gdzie się podziewała? Gdzieś w tunelu łączącym szkołę z ciepłownią? Drzwi do pokoju pani Peddie były otwarte. Przypomniało mi się, że po balu miała mieć wolne. Obeszłam fortepian Heintzmana i zatrzymałam się przy drzwiach do tunelu. Nasłuchiwałam odgłosu rur grzewczych. Może Dziewica kazała wyłączyć dla oszczędności ciepłownię na noc. To byłoby w jej stylu. Nagle doleciało mnie znajome bulgotanie. Przestraszona wyszeptałam:

— Paulie, Paulie, jesteś tam?

Usłyszałam czyjeś dyszenie. Głośne dyszenie. Uspokój się, Myszko, to ty dyszysz — upomniałam samą siebie. Ten dźwięk to ty sama. Znów zawołałam Paulie. Nikt nie odpowiedział. Ale w powietrzu czuło się coś dziwnego. Jakbym nie była sama w pokoju pani Peddie. Jakby za drzwiami coś na mnie czekało. Nie wiedziałam co. Ale coś.

W głowie słyszałam głos Paulie: Myszko, nie bądź tchórzem. Otwórz drzwi i wejdź do środka. Przekreśliłam gałkę, mając cichą nadzieję, że drzwi są zamknięte. Czy jeśli otworzę, znów zobaczę ducha Violi Higgs? A może czeka mnie tam jeszcze coś gorszego, czego nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić? Cała drżąc, zesłam po-woli po schodkach. Musiałam zatkać sobie nos, żeby nie zakrztusić się unoszącym się w powietrzu kurzem. Robiłam się coraz lepsza

w myszkowaniu. Zatrzymałam się raz i drugi, by zawołać Paulie. Dźwięk mego głosu rozbrzmiewał w mrocznym tunelu, jakby szkolny dzwon dźwięczał pod wodą.

Wejście do kolejnego tunelu. Poczułam na twarzy podmuch ostrego, lutowego wiatru. Zadrzałam mocno. Skąd tak wiało? Tunel opadał w dół, stawał się coraz bardziej kręty, ciemny i wąski. Pełno tam było dodatkowych krzesel, które przy szczególnych okazjach ustawiano w auli, więc gdybym nagle chciała się ukryć, nie mogła-bym nawet przycisnąć się do ściany. Usłyszałam głos Sal, zalecającej ostrożność i besztającej mnie za głupotę. Ale mój własny Myszko-waty głos kazał mi iść dalej.

Wysoko przede mną żółte światelko wielkości oka połyskiwało na zardzewiałych rurach podobnych do tłustych robaków. Zatrzymałam się, znów dysząc ze strachu. Nagle zobaczyłam robiony na zamówienie rower Violi. Promyk światła pochodził z zabytkowego reflektor-ka na kierownicy. Na podłodze wokół roweru leżały porzucane rozmaite przedmioty z bagażnika dawnej dyrektorki: błotniki, kła-kson w kształcie trąbki i klej do dętek.

Pośród narzędzi i starych części rowerowych klęczała Paulie. W dłoniach trzymała jakieś pudełko. Kiedy mnie zobaczyła, ukryła je w cieniu.

— To ty, Bradford?

Podeszła do mnie i złapała mnie za ramię.

— Stało się coś straszego... — Jej głos brzmiał nienaturalnie poważnie. Przeszedł mnie lekki dreszcz.

— Stało ci się coś złego?

— Nie, nie mnie. Sierżantowi. Wpadł na rurę.

— Sierżant? — Z trudem łapałam oddech.

— Musisz go uratować, tak jak Tory.

— O czym ty mówisz?

— No wiesz, usta-usta. Pierwsza pomoc. — Ciągnęła mnie tak mocno za rękę, że aż bolało.

— Gdzie on jest?

— Tam dalej, w tunelu. Pospiesz się, Bradford. Może jeszcze żyje...

Począłam starym korytarzem, starając się nadążyć za idącą wielkimi krokami Paulie.

206

Ciało Sierżanta znalazłyśmy jakieś czterysta jardów dalej. Leżał z rozrzuconymi rękami i nogami w poprzek złamanej rury dopływowej, przebrany za Violę Higgs, w dziwnej czarnej sukni z koronkowym śliniaczkiem. Nie miał już peruki, w której widziałyśmy go w wieży. Trudno było sprawdzić, co mu się stało, bo w tunelu unosiły się kłęby pary i było bardzo gorąco. Szum wydobywającej się pary sprawiał, że zdawało mi się, że jestem wewnątrz czajnika z gotującą się wodą. Miałam wrażenie, że z małego ciała emanuje jakieś światło. Czuć też było jakiś zapach, jakiego nigdy jeszcze nie czułam. Nie chciałam nawet myśleć, skąd pochodził. Wiedziałam, że od niego.

— O Boże, Paulie! O Boże! — jęknęłam.

Pochyliłam się nad nim, starając się zachować pewność siebie, jak Morley. Uniosłam małą dłoń, by sprawdzić puls. Ręka leżała jakiś czas na bardzo gorącej rurze i wierzchnia warstwa skóry odpała jak

natłuszczony papier. Upuściłam dłoń. Zadrżałam, ale nie powiedziałam ani słowa. Usta karzełka były otwarte i lekko wykrzywione, jakby coś mu się nie podobało. Miał otwarte oczy. Zauważyłam, że prawie było fioletowoczarne i opuchnięte, jakby ktoś go uderzył.

— Taaa — odezwała się Paulie — Bim bam, kotek wpadł do studni.

— Nie mów tak! To okropne! — nagle zaczęłam krzyczeć. — Musimy komuś o tym powiedzieć!

— Jeśli powiemy, pomyślą, że my to zrobiliśmy.

— Zwariowałaś, Paulie? Musimy powiedzieć pannie Vaughan.

On nie żyje!

— No to idź i jej powiedz.

— Chyba nie przejęłaś się specjalnie...

207

Paulie nie odpowiedziała. Złapałam Sierżanta za nogę.

— Odsuńmy go, żeby nie sparzył się jeszcze bardziej.

Paulie syknęła, jakbym zrobiła coś głupiego, ale wzięła go za drugą nogę. Próbowaliśmy ciągnąć, ale dziwnie wyslizgiwał nam się z rąk, jakbyśmy wyciągali materac z łóżka. Każda z nas złapała go dodatkowo za rękę i to trochę pomogło. Odsunęliśmy ciało od rury. Krzywe nóżki ciągnęły się po podłodze. Głowa kręciła się na szyi jak ciężka główka kapusty. Ułożyliśmy go za bagażnikiem rowerowym. Kiedy okrywałam go kocem, żeby ochronić przed ulatniającą się parą, znów zaczęłam płakać.

Paulie wskazała na daleki koniec tunelu.

— Idź po Willy'ego. Jest w garażu. Ja tu poczekam...

Pobiegłam tunelem najszybciej, jak mogłam. Znalazłam go drzemiącego w pokoju nad garażem, który dzielił z Sierżantem.

Poszedł ze mną bez gadania. Wziął ze sobą łopatę, jakbyśmy mieli pochować Sierżanta na miejscu albo odeprzeć wroga — nie jestem pewna czy jedno, czy drugie.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Paulie zniknęła. Zawołałam ją kilka razy. I wtedy już wiedziałam. Powoli

uniosłam suknię Sierżanta.

Zanim zrobiło mi się niedobrze, poczułam coś jakby respekt. Willy powiedział coś po czesku i przeżegnał się.

Pomiędzy nogami Sierżant miał ranę długości blizny po wycięciu wyrostka robaczkowego. Widać było warstwy czerwonej tkanki mięśniowej i tłuszczu. Znów poczułam ten straszny zapach. Miednica po lewej stronie była koloru jasnioletowego. Biegły w sądzie nazwał to potem plamieniem pośmiertnym. W pachwinie i na udach nie było praktycznie krwi. Umarli nie krwawią, bo krwawienie to reakcja organizmów żywych. Tego też dowiedziałam się w sądzie. Koroner powiedział, że nie miałam możliwości go uratować. Pierwsze uderzenia kijem do hokeja były śmiertelne. Nie żył już wtedy, gdy schodziłam po schodkach do tunelu.

Przez kilka minut staliśmy z Willym przy zwłokach Sierżanta, jak zabłąkani nieznajomi. Znów zrobiło mi się niedobrze i nie wiedziałam, co robić.

Wreszcie Willy zabrał mnie do Dziewicy, która — ubrana w po-domkę — parzyła właśnie poranną herbatę.

208

^p

Przez chwilę wydawała się zirytowana, jakby nie chciała, żeby jej przeszkadzano, ale gdy zobaczyła, kto przyszedł, uśmiechnęła się. Czułam, że jestem po jej stronie, tak jak zawsze wtedy, gdy okazywała uczucia wobec mnie. Wiedziałam, że nie muszę być dłużej lojalna w stosunku do Paulie. Potrzebowałam jednak dużo czasu, by zacząć mówić.

209

Podczas procesu Paulie siedziała obok swojej prawniczki, panny Whitlaw, starszej kobiety, której głos jak ze studni zawstydziłby samą Dziewicę. Wydawało się, że lubi Paulie. Cieszyło mnie to. Paulie uśmiechała się, gdy protokolant podawał jej liściki ode mnie, ale nigdy ich nie czytała. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Zgniatała je i kładła obok na ławce. Ani razu nie odwróciła się, by na mnie spojrzeć. Ani razu. Uważała mnie za zdrażczynię, chociaż to, co powiedziałam policji, pomogło przekonać przysięgłych, że była psychicznie nieźrównoważona i że nie można uznać jej za winną morderstwa. W tym czasie miałam tylko trzynaście lat, więc szkoła po-rozumiała się z sądem, dzięki czemu nie musiałam zeznawać w czasie procesu. Natomiast odczytano moje oświadczenie. Codziennie siedziałam trzy rzędy za Paulie, patrząc na tył jej głowy. Obcięła włosy na krótko, w stylu rycerzy Okrągłego Stołu. Pasowało jej to. W przedostatnim dniu procesu inspektor przeczytał moje oświadczenie.



WYSOKI SĄD: Czy nie myślę się, przypuszczając, że oskarżona, Pauline Lee Sykes, w momencie aresztowania miała szesnaście lat?

PAN JOCELYN: Tak, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: I że przez kilka lat Pauline Sykes chciała być chłopcem i używała nazwiska Lewis Sykes?

PAN JOCELYN: Tak jest, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Oraz że zaprzyjaźniła się z dziewczynką o nazwisku Wiktoria Queen, również szesnastolatką?

PAN JOCELYN: Tak, wysoki sędzie. Spotykali się przez okres około jednego roku. W tym czasie Pauline przekonała Wiktorię, że jest chłopcem i nazywa się Lewis Sykes.

210

WYSOKI SĄD: Czy nikt nie wiedział o tej przyjaźni?

PAN JOCELYN: Tylko jedna osoba, wysoki sędzie. Uczennica tej samej szkoły, która mieszkała z oskarżoną w jednym pokoju.

WYSOKI SĄD: Nie chce pan chyba powiedzieć, że oskarżona była w stanie udawać chłopca, mieszkając z dziewczętami? (Hałas na sali sądowej.)

PAN JOCELYN: Tak było, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Dysponuje pan oświadczeniem uczennicy, która wiedziała o przyjaźni pomiędzy oskarżoną i Wiktorią Queen?

PAN JOCELYN: Tak, wysoki sędzie. Oto oświadczenie Mary Beatrice Bradford:

„Na jesieni 1963 roku mieszkałam w tym samym pokoju z Pauline Sykes. Nie miałam powodów, by przypuszczać, że nie jest zdrowa psychicznie...”

PANNA WHITLAW: Sprzeciw, wysoki sędzie. Nacisk, jaki pan Jocelyn kładzie na to zdanie, jest niewłaściwy, ponieważ oświadczenie panny Bradford kończy się stwierdzeniem, że oskarżona często, cytując: „zachowywała się dziwnie”.

WYSOKI SĄD: Dziękuję, panno Whitlaw. Proszę kontynuować, panie Jocelyn.

PAN JOCELYN: „Pauline Sykes była moją nauczycielką zachowywania się po męsku.”

PANNA WHITLAW: Sprzeciw, wysoki sędzie. Zachowania się w sposób, w jaki, jak jej się zdawało, powinni zachowywać się chłopcy.

WYSOKI SĄD: Dziękuję, panno Whitlaw. Proszę kontynuować, panie Jocelyn.

PAN JOCELYN: „Na polecenie Pauline Sykes przesłałam serię testów, między innymi musiałam bić oskarżoną drewnianym wskaźnikiem i pozwo-lić, by Pauline Sykes biła mnie, chodzić po murach szkoły z zawiązanymi oczyma...”

WYSOKI SĄD: Czy te dziewczęta rzeczywiście były się wskaźnikiem?

PAN JOCELYN: Tak, wysoki sędzie. Męczyły też wspólnie zwierzęta.

WYSOKI SĄD: Znęcanie się nad zwierzętami, moczenie łóżka, zabawy z ogniem — czyż to nie są wczesne objawy zaburzeń psychicznych?

PAN JOCELYN: To triada Macdonalda, wysoki sędzie, stosowana, by badać skłonności do przemocy u chłopców. Uczennica Mary Beatrice Bradford miała wyrzuty sumienia z powodu tego, co razem robiły, natomiast oskarżona — nie.

211

WYSOKI SĄD: Oskarżona miała duży wpływ na tę małą Bradford, czyż nie?

PAN JOCELYN: O tak, wysoki sędzie, bardzo duży. Zacytuję: „Potrze-bowałam akceptacji Paulie, to znaczy Pauline Sykes, ponieważ w szkole nie byłam specjalnie lubiana.”

WYSOKI SĄD: Rozumiem. Ta dziewczynka ma jakieś upośledzenie na ciele, czy tak?

PAN JOCELYN: Lekko skrzywione ramię, wysoki sędzie. Wydaje mi się, że jej stan poprawił się dzięki terapii rozpoczętej staraniem szkolnej pielęgniarki.

WYSOKI SĄD: A teraz inspektorze George, proszę przeczytać nam oświadczenie osoby, którą spotkał pan w nocy 23 lutego 1964 roku w wąwo-zie w pobliżu Wilbury Hollow.

INSPEKTOR GEORGE: Tak, wysoki sędzie. Zapytałem: Gdzie mie-szkasz? W Bath Ladies College — odpowiedziała. Następnie spytałem: Ja-ki jest twój numer telefonu? Sześćset dziewięćdziesiąt dwa jedenaście jede-naście — odrzekła. Kolejne pytanie: Czym się tam zajmujesz? — Jestem ogrodnikiem. Wtedy powiedziałem: Pauline, aresztuję cię pod zarzutem morderstwa. Czy chcesz odpowiedzieć na ten zarzut? Masz prawo nic nie mówić. Natomiast wszystko, co powiesz, może zostać zapisane i wykorzy-stane przeciwko tobie. Rozumiesz? Odpowiedziała, że tak. Potem spytała, co się teraz z nią stanie. Odpowiedziałem, że zabieram ją na posterunek, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

WYSOKI SĄD: Czy może pan opowiedzieć pokrótce, o czym pan z nią rozmawiał, inspektorze?

INSPEKTOR GEORGE: Oczywiście, wysoki sędzie. Na miejscu poste-runkowy zapytał oskarżoną, czy wie, co zrobiła. Odrzekła: Zabiłam face-ta, był pedałem. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i dokończyła paczkę chi-psów.

WYSOKI SĄD: W tej chwili nie interesuje nas dieta oskarżonej, inspektorze.

INSPEKTOR GEORGE: Tak, oczywiście, wysoki sędzio. Zapytaliśmy, dlaczego to zrobiła. Powiedziała, że rodzina jej dziewczyny dowiedziała się, że nie jest chłopakiem, więc zabiła tego mężczyznę, by zabrać mu penisa, wysoki sędzio.

WYSOKI SĄD: Czy może pan przeczytać oświadczenie brata, sierżancie?

212

INSPEKTOR GEORGE: Tak, wysoki sędzio. Proszę wybaczyć, wysoki sędzio. Jest to oświadczenie Richarda Quinna, brata Wiktorii Queen.

WYSOKI SĄD: Inspektorze George, zakładam, że oskarżona znała tego chłopca?

INSPEKTOR GEORGE: Tak, wysoki sędzio. Nie podobała mu się jej znajomość z jego siostrą. Zażądał, by oskarżona udowodniła swoją męskość. Dlatego właśnie zabiła szkolnego woźnego, by zdobyć męskie narządy płciowe.

WYSOKI SĄD: Kiedy dokonała wycięcia narządów płciowych?

INSPEKTOR GEORGE: Po jego śmierci, wysoki sędzio. Zanim z pomocą przyszła jej Mary Bradford. Czy mam przeczytać oświadczenie?

WYSOKI SĄD: Jak najbardziej.

INSPEKTOR GEORGE: „Jak tylko zrobiło się jasno, usłyszałem pukanie do drzwi mojego pokoju. To była Wiktoria, moja siostra. Powiedziała, że Lewis chce udowodnić mi, że jest chłopakiem. Postanowiliśmy nie mówić

O tym ojcu. Poszliśmy do sali gimnastycznej w Kings College. Była sobota,

wcześnie rano, więc nikogo tam nie było. Powiedziałem: dobrze, chcę, żebyś

zrobił to co ja. Opuściłem spodnie i pokazałem penisa. Lewis zgodził się.

Opuścił spodnie tylko trochę. Zdenerwowałem się i spytałem, czy zdaje sobie

sprawę z kłopotów, jakich narobił mojej siostrze. Powiedziałem, że jego

wstyd przede mną jest niczym w porównaniu z tym, przez co przeszła Wik-

toria.

Kazałem mu bardziej opuścić spodnie. Zazaczyłem, że jeśli chce nadal spotykać się z Wiktorią, nie ma wyboru. Ponownie zdjąłem spodnie i kazałem mu zrobić to samo jeszcze raz porządnie. Ale Lewis

odpowiedział, że ma tego dosyć, że powinno mi to wystarczyć. Wyszedł z sali.

Powiedziałem Wiktorii, że dowód jest niewystarczający. Moja siostra pobiegła za nim i prosiła, by całkiem się obnażył. Słyszałem, jak płakała

1 tak dalej. Wreszcie Lewis wrócił i powiedział, że to zrobi. Zsunął spodnie aż do kolan. Miał tam coś przyklejonego. Nie wyglądało to jak prawdziwy penis, tylko jakoś blado, sztucznie, jakby z gumy czy czegoś podobnego. Powiedziałem więc: Do cholery, jest sztuczny. Jesteś dziewczyną.

Wtedy Lewis po prostu się wściekł. Zaczął wrzeszczeć: Jestem chłopakiem, jestem chłopakiem. Podszedłem do niego, podniosłem mu genitalia do góry i powiedziałem, że widzę, że pod spodem jest dziewczyną. Lewis ciągle krzyczał: Nie jestem dziewczyną, jestem chłopakiem".

WYSOKI SĄD: Dziękuję, inspektorze George. Te narządy płciowe znaleziono później w torbie lekarskiej w szkole dla dziewcząt...?

INSPEKTOR GEORGE: Dokładnie tak, wysoki sędzie. W kuferku lekarskim w szkolnej szopie na sprzęt do hokeja. Ubrudzone klejem, wysoki sędzie.

WYSOKI SĄD: Klejem?

INSPEKTOR GEORGE: Użyła kleju do dętek, by przytwierdzić genitalia, wysoki sędzie. Moim zdaniem była to substancja w rodzaju zaczynu cementowego.

Co wydarzyło się później

Wróciłam do Madoc's Landing rok po tym, jak sąd wydał orzeczenie, iż ze względu na chorobę umysłową Paulie nie zdawała sobie sprawy ze swego postępku. Za to Sal zdała sobie sprawę, że beze mnie sobie nie poradzi. Zaczęła rozumieć, iż to, co się stało, nie miało ze mną nic wspólnego, gdyż była to wyłącznie sprawa Paulie. Paulie, której psychiatrzy odmówili zdolności abstrakcyjnego myślenia i która zgodnie z Artykułem 16-2 (b) starej wersji kanadyjskiego Kodeksu Karnego została uznana za niepczytalną.

Choć żaden z psychiatrów nie był w stanie określić, na co chorowała Paulie, wszyscy byli zgodni co do istnienia takiej choroby oraz że właśnie to zaburzenie, którego nie byli w stanie zidentyfikować, wpłynęło na jej zdolność do oceny skutków własnego postępowania w nocy 23 lutego 1964 roku.

Czy Paulie odczuwała jakieś wyrzuty sumienia z powodu Sierżanta i jego zbyt krótkiego życia? Nie jestem pewna. Mam natomiast przeświadczenie, że Paulie nie mogła znieść myśli o utracie Tory, więc odcięła Sierżantowi genitalia i je sobie przykleiła. Zrobiła to z miłości. Stało się tak nie dlatego, że zazdrościła mężczyznom, ale dlatego, że nie szanowała kobiet.

Jeśli chodzi o Sierżanta, mogę się tylko domyślać, jak się czuł. Odwiedził mnie we śnie po nabożeństwie żałobnym na jego cześć w Bath Ladies College, podczas którego Dziewica wychwalała go za ważne zadanie, które wykonywał, a które wszyscy uważali za całkiem oczywiste, jak choćby pilnowanie, by szkolny zegar się nie spóźniał.

To samo powiedział Sierżant w moim śnie, czy raczej — jeśli mam być dokładna jak Sal — to, co wydaje mi się, że powiedział:

Posłuchaj dobrze, Myszko Bradford — mówił, unosząc się nad moim ciałem. — Przedstawmy całą tę sprawę uczciwie. Bycie uczi-

214

wym kształtuje charakter. Znasz już prawie całą historię, nie słyszałaś jeszcze tylko, co ma do powiedzenia ofiara. Nie wiesz, jak to jest zostać zamordowanym przez kogoś takiego jak Pauline Sykes, która zaskoczyła mnie w tunelu i uderzyła śmiertelnie. Mimo mojego ni-skiego wzrostu nigdy nie spodziewałem się nic złego ze strony jakiej-kolwiek dziewczynki.

Kiedy więc wyskoczyła z cienia, wymachując kijem do hokeja, tylko zaśmiałem się głośno i zagwizdałem jakąś melodyjkę czy dwie, by pokazać jej, jak głupio wygląda — niemądre dziecko, które chce mnie nastraszyć. Czyżby nie wiedziała, że ma do czynienia ze sta-rym marynarzem, nie mniej odważnym niż jego kapitan?

— Zmykaj — powiedziałem. — Myślisz, że się wystraszę, bo ja-  
kaś dziewczyna grozi mi kijem?

I odwróciłem się, żeby zrobić jej na złość. Cały czas siedziałem na rowerze. Wtedy zdzieliła mnie po raz pierwszy. Zeskoczyłem więc z roweru i wyciągnąłem rękę, by zabrać jej kij. Znów mnie uderzyła, tym razem w lewą stronę głowy, nad samym okiem. Coś w nim trzasnęło. Spuchło w przeciągu kilku sekund. Przystałem widzieć na lewe oko. Walnęła mnie jeszcze raz, i jeszcze raz. Złorzeczyła mi, jak-bym był kimś obcym, a nie osobą, którą widywała na co dzień.

— Ty cholerny pedale! — krzychała. — Nigdy więcej nie zoba-  
czysz dziennego światła.

— Paulie Sykes. Nie jestem pederastą. Nie rozumiesz? Przebra-  
łem się, żeby zrobić niespodziankę dziewczynom z internatu.

Nie słuchała mnie. Zwariowała, to się czasem zdarza dziewczyn-  
kom w szkole. Nie mogą znieść dyscypliny. Podobnie jak w wojsku, gdzie pozbawiają cię osobowości, by łatwiej cię kontrolować. Widzia-łem nie raz, jak te kobiety niszczą ducha w tych dziewczętach, które przyjeżdżają tu dzięki jak  
konie wyścigowe.

No cóż, zacząłem się szybko wycofywać, ale to był błąd, bo kiero-wałem się do części tunelu za rurami. Paulie szła za mną, przekli-nając i wałąc kijem w co popadnie. Roztrzaskała żeliwny element rury dopływowej (bo wspornik przerdzewiał) i ta cholerna rura pę-ła. Nagle wszędzie zrobiło się pełno pary. W tym przebraniu było mi goręcej niż w piecu.

Przez to gorąco zrobiłem się nieostrożny i trochę się wystawiłem. Goniła mnie, wałąc w rury na prawo i lewo. Nagle jak mnie nie trzaśnie! Dostałem w oko, poczułem, jak coś mi pęka w głowie. Bo-

1      ZXO      |-----

łało bardzo. Udało mi się jakoś podnieść, ale za chwilę znów upa-dłem, tym razem do tyłu, i uderzyłem w rury.

— Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! — Ale nie było nikogo.

Chwilę potem byłem już pewien, że pora zamknąć i drugie oko. Miałem nadzieję, że nie potrwa to długo. Pomyślałem sobie, że mo-gę odejść równie dobrze tu, jak gdzie indziej, nawet jeśli niektóre dziewczyny nie doceniają pracy, jaką dla nich wykonuję, bo zdaje im się, że należą do wyższej klasy...

Byłam zadowolona, że Paulie nie była przebrana za Lewisa, kiedy zabiła Sierżanta kijem hokejowym Tory. Przynajmniej nie czuł się zdradzony przez kogoś, kogo uważał za przyjaciela. Cieszę się też, że Morley nie zobaczył artykułów o Paulie i mnie w gazetach. Choć ga-zety, z im tylko znanych powodów, zatuszowały tę historię.

Być może zbrodnia Paulie była zbyt wielkim skandalem.

Niedługo po zakończeniu procesu Sal, moja macocha, wyszła za mąż za kierowcę karetki pogotowia z Madoc's Landing. Odwiedza mnie czasami w Point Edward, gdzie mieszkam z ciotką i wu-jem, Margaret i Wielebnyim Winniem Holmesem. Co jeszcze? Ismay Thom rzuciła szkołę i uczy się zawodu maklera giełdowego. Wikto-rię Queen posłano do szkoły dla dziewcząt na zachodnim wybrzeżu Kanady. Od czasu procesu nie miałam od niej żadnych wiadomości. Asa Abrams napisała mi w liście, że wszyscy mówią, że Tory jest les-bijką, ale wcale nie jestem tego pewna. Dla mnie Tory to po prostu Tory. Może wiedziała, że Lewis to Paulie, i udawała, że nie wie, bo też grała w tę grę. A może nie. W latach szkolnych wiele z nas pod-kochiwało się w dziewczynach, ale one posunęły się trochę za dale-ko.

Jest jeszcze Kong. Czasem chodzę na wieczorne seanse, by go zo-baczyć. Zastanawiam się wtedy, czy wie, że w czasach przed śmier-cią prezydenta Kennedy'ego dwie dziewczynki założyły jego fan klub. Jeśli chodzi o Paulie, posłano ją do zakładu niedaleko King-ston. W zeszłym miesiącu dostałam od niej list. Pisała, że leczenie w szpitalu St. Agnes idzie dobrze i że niedawno była na tańcach, i pozwoliła mężczyźnie prowadzić. Miałam wrażenie, jakby ten list pisała zupełnie inna osoba.

Z kolei ja staram się nie rozmawiać już z Alicją. Mam teraz szes-naście lat i jestem prawie dorosła. Bycie dziewczyną to najtrudniej-

sza rzecz na bożym świecie, ale jak już raz złapiesz, o co w tym chodzi, nie jest wcale takie złe. Moje ramię wygląda całkiem znośnie dzięki poduszkom w ubraniach i robionym na miarę butom, jakie ciocia chętnie mi kupuje. Są szykowniejsze od tych ortopedycznych półbutów, jakie musiałam nosić w szkole. Jednakże dzięki temu, że pielęgniarka wysłała mnie do kręgarza, gdy jeszcze rosłam, kąt wygięcia kręgosłupa zmniejszył się. Przynajmniej to jedno zawdzięczam szkole.

Aha, jeszcze jedno. Ze względu na to morderstwo połączenie z Kings College przesunięto w nieokreśloną przyszłość. A kiedy ojciec Dziewicy zmarł i zostawił jej cały dom, pani Peddie zamieszkała razem z nią. Są pewnie szczęśliwe, że wreszcie mogą być razem. Wiem, to brzmi dziwnie w moich ustach, ale na swój sposób obie te kobiety mają w sobie coś wielkiego. Udało im się żyć w zgodzie ze sobą. A przecież właśnie tego pragnęła Paulie, zanim sprawy posunęły się za daleko.

Tak czy inaczej, dały mi odwagę, by być Myszka Bradford. Tak właśnie zamierzam żyć, jako ja, a nie ktoś inny, teraz i zawsze, w wielkim sercu świata. Ale, ale, bardzo przepraszam. Z powrotem do sedna, jakby powiedziała Sal. Opowiedziałam, jak najlepiej potrafiłam, wszystko, co wiedziałam o postępkach Paulie, i nie ma co się dalej rozgałęziać. Przynajmniej na razie.

M.B.